Kronika miasta Łodzi

2/2003

Struktura branżowa ulicy Piotrkowskiej

Ulicę Piotrkowską zasiedlać zaczęto w roku 1824. Zgodnie z polityką władz początkowo mogli tam zamieszkiwać tylko sukiennicy i tkacze. Z czasem osiedlali się również, przybyli do Łodzi przedstawiciele innych profesji, a także osoby bez wyuczonego zawodu, zachęcane wizją szybkiego zarobku w dynamicznie rozwijającym się mieście.

Z roku na rok Piotrkowska stawała się ulicą elitarną. Zaczęto budować przy niej luksusowe i drogie kamienice, powstały eleganckie sklepy tylko dla zamożnych.
Ale Piotrkowska była nie tylko ulicą bogatych. Także miejscem ścierania się dwóch światów: małych drewnianych domów tkaczy i ogromnych kamienic, niewielkich warsztatów oraz monumentalnych fabryk.

Ulica piękniejsza nad wszystkie

We wrześniu 1988 roku, popularna zachodnioniemiecka stacja telewizyjna SW 3, zapowiedziała film prezentujący kolejną ważną ulicę europejską – ulicę Piotrkowską w Łodzi. Wywołało to poruszenie w kręgu dawnych łodzian od dziesięcioleci mieszkających po zachodniej stronie Łaby.

Jeden telefonował do drugiego, ten do następnego.

Wieczorem 7 września 1988 r. zasiedli przed telewizorami razem ze znajomymi i przyjaciółmi.

O 20.15 na ekranie pojawił się napis: „Petrikauer Straße, Łodz", czyli – Ulica Piotrkowska w Łodzi. Śniła się im niejeden raz, teraz mieli sny porównać z rzeczywistością.

WiMBP
im.
J. P
w Łodzi

I-106568/03

P R

Kronika miasta Łodzi

2/2003

Łódź 2003

REDAKCJA:
Gustaw Romanowski - redaktor naczelny
Małgorzata Golicka-Jabłońska - sekretarz redakcji
Mieczysław Gumola
Marek Strąkowski - redaktor prowadzący

Projekt typografii i okładki - Andrzej Chętko
Skład - Paweł Kawiński

Druk i diapozytywy: BiK Zakład Poligraficzny Spółka Jawna,
90-353 Łódź, ul. Kilińskiego 169

Wydawca: Urząd Miasta Łodzi

Adres redakcji: Biuro Prasowe UMŁ
Kronika Miasta Łodzi 90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 110 (wejście od Al. Schillera)
tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Szanse naszego miasta

pierwsze kolumny 9

Łódzkimi śladami Papieża
Struktura Branżowa ulicy Piotrkowskiej
„Mnie teatr publicystyczny nie nęci"

nauka 29

Brama otwarta na świat
Podziemne ciepło ogrzeje Politechnikę

kultura 45

„Prawda jest w sztuce zdarzeniem subiektywnym"
Rio-de-la-plajta „Ziemi obiecanej"
Od Gozziego do Moliera
Najwybitniejsze filmy faktu powstawały w Łodzi
Wehikuł do Europy

historia 81

Zapomniany strajk
Dyskretny urok iluzji
„Zeitungi", „Kuriery", „Expressy" (1)
z cyklu: czarne dziury, białe plamy
Likwidacja Cygańskiej Spółdzielni Pracy „Novo Drom" (2)
Akcja „Podhale" w Łodzi

łodzianie 117

Bożenna Banasik
Eugeniusz Bodo, zapomniany łodzianin.
Artur Brauner
Jadwiga Kucharska
Stanisław Łukawski

kościoły, religie, wyznania 141

Wierni biblijnej tradycji

osiedla, domy, ogrody 151

Architektoniczny chaos przedmieść Łodzi

jak nas widzą, tak nas piszą 167

Ulica piękniejsza nad wszystkie

kroniki rodzinne 173

Czesko-niemiecka rodzina polska

z łódzkiego raptularza 183

Szanse Naszego Miasta

Wchodzimy do Unii: Komitet Regionów w Parlamencie Europejskim

Bruksela, 8. października 2003 r., godz. 10 przed południem. Stoję przed wejściem do wielkiego gmachu Parlamentu Europejskiego. Przyjechałem na sesję Komitetu Regio-nów. Jestem jednym z 21 polskich obserwatorów w tej instytucji. Sesja zaczyna się jutro rano o 9.00. Dziś powinienem się zarejestrować i wziąć udział w posiedzeniu Klubu Europejskiej Partii Ludowej. Udział w jego pracach zadeklarowałem w czasie poprzedniej sesji w lipcu br.

Instytucja w procesie

Komitet Regionów jest stosunkowo młodą instytucją w Unii Europejskiej. Decyzja o jego utworzeniu zapadła w 1991 roku podczas szczytu w Maastricht. Przywódcy państw członkowskich UE postanowili powołać 222 – osobowe ciało przedstawicielskie reprezentujące regiony i miasta Unii. Miało to być ciało doradcze i opiniodawcze w stosunku do Rady UE i Komisji Europejskiej w sprawach dotyczących społeczności regionalnych i lokalnych. Kandydatów wg ustalonego klucza zgłaszały rządy krajów członkowskich a nominacji na czteroletnią kadencję dokonywała Rada. Decyzja musiała być jednomyślna. Prace przygotowawcze trwały dość długo, skoro pierwsza sesja plenarna odbyła się dopiero wiosną 1994 roku. Siedzibą Komitetu jest Bruksela.

Rok 1997 przyniósł pierwsze zmiany. Na szczycie w Amsterdamie uzgodniono, iż z opinii Komitetu Regionów powinien także korzystać Parlament Europejski. Jednocześnie szefowie państw członkowskich UE wprowadzili zakaz łączenia mandatu posła do Parlamentu UE z członkostwem w Komitecie.

Bardzo poważne zmiany przyniósł szczyt w Nicei (2000 r). Wprowadzono wymóg, by członkowie Komitetu byli członkami regionalnych i lokalnych władz samorządowych – tzn., by byli wybierani w bezpośrednich lub pośrednich wyborach. Kandydatury nadal zgłaszają rządy krajów członkowskich UE i nadal nominacji dokonuje Rada UE – ale decyzje te podejmuje zwykłą większością głosów.

Szczyt w Laeken postanowił włączyć Komitet w prace Konwentu na Rzecz Przyszłości Europy. Komitet otrzymał 6 miejsc w tym zgromadzeniu – ale na prawach obserwatorów, tj. z prawem zabierania głosu, zgłaszania wniosków i pro-

jektów, jednak bez prawa głosowania. Wprawdzie decyzje Konwentu zapadają w consensusie ale czy sprzeciw delegatów Komitetu miałby znaczenie, gdyby tylko oni sprzeciwiali się jakiejś decyzji Konwentu?

Polska w Komitecie Regionów

W ubiegłym roku państwa kandydujące do członkostwa w UE uzyskały status obserwatora w instytucjach tej organizacji. Polska delegacja pojawiła się w Komitecie Regionów wiosną tego roku. Liczba obserwatorów z poszczególnych państw jest równa liczbie uzgodnionych w Nicei posłów do Parlamentu Europejskiego – bo też wielkość Komitetu i Parlamentu są sobie równe. Każdy z nich będzie miał po rozszerzeniu po 344. Mamy zatem 21 obserwatorów – i tylu będziemy mieli członków po nabyciu przez Polskę pełni praw członkowskich. Tyle samo będzie miała Hiszpania. Więcej od nas będą miały tylko największe państwa europejskie – Francja, Niemcy i Wielka Brytania (po 24). Najmniej przedstawicieli będzie miała Malta (5). Takie zasady reprezentacji uzgodniono w Nicei. Dziś są one kwestionowane i jeśli nasz rząd nie wykaże odpowiedniej determinacji, to stracimy kilka głosów i w Parlamencie i w Komitecie.

Mamy więc obecnie 21 obserwatorów. Wyłonieni oni zostali przez organizacje samorządowe, takie jak Związek Województw czy Unia Metropolii Polskich. Do Brukseli ich nazwiska zostały przekazane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w imieniu Rządu RP. Na dotychczasowych sesjach nigdy nie było nas więcej niż szesnastu. Niektórzy nie byli tu ani razu. Trudno zrozumieć, dlaczego dali się wybrać w swoich środowiskach.

Na razie uczymy się. „Terminujemy". Otrzymujemy takie same zestawy dokumentów jak regularni członkowie. Jesteśmy w gorszej od nich sytuacji, bo nie uczestniczymy w pracach komisji roboczych, gdzie odbywa się praca merytoryczna nad dokumentami i oficjalnymi opiniami o nich. A ponieważ swoją porcję papierów otrzymujemy dopiero po wejściu na salę – to i nie ma możliwości przestudiowania ich treści. Formalnie biorąc – mamy prawo uczestniczyć w dyskusji (choć nie mamy prawa głosować), ale chwilowo to prawo jest puste. Może z chwilą wyboru koordynatora poprawi się przepływ informacji i zaczniemy otrzymywać dokumenty odpowiednio wcześnie. A na razie słuchamy, nawiązujemy kontakty, wymieniamy opinie i przygotowujemy się do roli pełnoprawnych członków. Bo wówczas na naukę będzie już za późno. Będziemy uczestniczyli w formułowaniu opinii i w podejmowaniu decyzji. I będzie to miało skutki dla naszego kraju oraz dla naszych miast i regionów. A to już niedługo. Już za rok.

Każda delegacja narodowa wybiera swoich przedstawicieli – koordynatora (przewodniczącego grupy) oraz sekretarza. Do ich obowiązków należy zapewnienie płynnego przebiegu informacji i dokumentów między Biurem Komitetu

Regionów w Brukseli a polskimi obserwatorami. To warunek dobrego przygotowania się do poszczególnych sesji Komitetu. Polacy wzbudzili pewien niepokój i zdumienie trudnościami w wyłonieniu swego przedstawicielstwa. Wreszcie udało się dokonać wyboru koordynatora (w głosowaniu tajnym) – na okres jednego roku. Inni uczynili to jeszcze wiosną. Kandydowało dwóch kandydatów z naszego grona. Uzyskałem większe poparcie. Sekretarza nie wybraliśmy ani nie uzgodniliśmy. Nie było chętnych. Trochę głupio.

Tylko socjaliści i chadecy?

W Komitecie Regionalnym (podobnie jak w Parlamencie) działa kilka ugrupowań politycznych. Są też (bardzo nieliczni) posłowie niezależni. Polscy delegaci podzielili się na dwie grupy: jedni zarejestrowali się w Europejskiej Partii Ludowej (PEP) inni – w klubie socjaldemokratycznym. Nie dajmy się zmylić – Partia Ludowa jest partią o charakterze chrześcijańsko-demokratycznym a nie partią agrarną. Podobny podział nastąpił wśród obserwatorów polskich w Parlamencie. Nawet były minister prywatyzacji, czołowy polski liberał p. Janusz Lewandowski woli w Brukseli być chadekiem a nie liberałem. Okazuje się, że poza Władysławem Frasyniukiem z Unii Wolności i jego partyjnymi kolegami w Polsce nie ma liberałów. W każdym razie wśród polskich obserwatorów nie ma ich w ogóle. Nawet wśród członków Platformy Obywatelskiej, którzy kiedyś zakładali Kongres Liberalno-Demokratyczny (KLD).

Ciekawe. I ciekawe też, jak łatwo cała Polska prawica odlicza się za granicą w tej samej formacji politycznej i jak trudno o to tu u nas, w kraju.

Kto za to płaci?

Przeloty do Brukseli kosztują. Jeśli (a tak jest najczęściej) obrady kończą się w czwartek wieczorem (a nie na przykład w sobotę) – to linie lotnicze zdzierają niemiłosiernie za przelot w piątek. Kosztują hotele. W Brukseli nie ma specjalnego hotelu dla parlamentarzystów i obserwatorów. Trzeba wynajmować pokoje w normalnych, komercyjnych. Hotele w tym mieście nie są tanie. Zwłaszcza w dniach sesji Parlamentu i Komitetu Regionów. Trzeba też coś jeść.

Za to wszystko płaci Bruksela. Zasada jest prosta: za samolot lub pociąg płaci się po okazaniu użytego biletu do Brukseli. Powrotny biuro brukselskie stempluje odpowiednią pieczątką informującą, że zwrot kosztów został dokonany. Na hotel, transport miejski i wyżywienie biuro wypłaca rodzaj „diety dobowej". Poseł, czy obserwator, sam troszczy się o to, by zmieścić się kosztach. W Brukseli plotkuje się o pewnym pośle z Sejmu (a obserwatorze w Parlamencie), który „dla oszczędności" nocował w biurze swego regionu i żywił się kanapkami. Zapewniam Szanownych Czytelników, że nie musiał. Stawki są naprawdę godziwe. Wstyd grać żebraka.

Prawo do zwrotu kosztów zyskuje się pod warunkiem obecności na sesjach plenarnych Parlamentu lub Komitetu, na posiedzeniach komisji powołanych przez te instytucje oraz na zebraniach grupy politycznej. Na sesji plenarnej obecność sprawdzana jest na dwa sposoby. Po wejściu na salę obrad trzeba podpisać listę obecności. Po zajęciu wyznaczonego miejsca na sali trzeba codziennie wypełnić formularz dla potrzeb służb finansowych. Bruksela przelewa odpowiednią kwotę na konto osobiste w kilka tygodni po zakończeniu sesji.

Brukselskie porządki.

Wchodzący do gmachu Parlamentu (w którym odbywają się również sesje plenarne Komitetu) poddawani są bardzo skrupulatnej kontroli. Trzeba przejść przez „bramkę" z wykrywaczem metalu i przepuścić teczkę przez machinę sprawdzającą – jak w porcie lotniczym. Tak więc za każdym razem – monety, klucze, komórki i inne przedmioty zawierające metal wykłada się do plastikowych pojemników. Zdarza się, że ten i ów kilkakroć przechodzi przez bramkę i za każdym razem wysupłuje coś z przepastnych kieszeni marynarki czy płaszcza. Jeśli mimo to bramka rozdzwoni się i rozświetli alarmowymi światełkami – do akcji wkracza strażnik z odpowiednim czujnikiem-wykrywaczem metalu w ręku. Najlepiej przełożyć wszystko z kieszeni spodni do kieszeni marynarki, po czym zdjąć płaszcz i marynarkę, włożyć je do dużego plastikowego pojemnika. I przepuścić to przez machinę.

Następnie trafiamy na kontrolę identyfikatorów. Każda osoba wchodząca na teren Parlamentu musi mieć identyfikator. Urzędnicy i posłowie (oraz akredytowani dziennikarze) mają przepustki stałe, plastikowe ze zdjęciami. Goście – jednorazowe lub kilkudniowe, papierowe z nazwiskiem i datą ale bez zdjęcia. My mamy takie papierowe. Zrobiono nam wprawdzie zdjęcia do legitymacji stałych, ale od razu uprzedzono, że mała szansa na to, żebyśmy je otrzymali w tym roku. Nie przewidziano takiej pozycji w budżecie – łatwiej wydać wielokrotnie więcej na „jednorazówki". Skąd my to znamy?

Szerokim hallem obramowanym flagami wielu państw przechodzimy do wind. Zauważamy, że flaga polska wisi „do góry nogami". Interweniujemy. Urzędnik w recepcji wyraża ubolewanie i obiecuje przekazać „gdzie trzeba". Po południu sytuacja nie ulega zmianie. Interweniujemy. Ubolewanie, obietnica. Następnego dnia rano – nadal bez zmian. Bierzemy sprawę w swoje ręce. Wyciągam flagę ze stojaka. W czwórkę zabieramy się do dzieła. Zamieniamy miejscami „karabińczyk" i metalowe kółko. Ponownie łączymy części drzewca. Gotowe. Wkładamy flagę na swoje miejsce. Zadowoleni z dokonanego dzieła idziemy na salę.

Przed salą obrad stoi tablica z planem sali. Miejsca są ponumerowane. Obok przypięto listę z nazwiskami w porządku alfabetycznym. Członkowie Komitetu przemieszani z obserwatorami. Znajduję swoje nazwisko i odpowiadający mu

numer. Szukam miejsca na planie sali. Przed drzwiami sali stoją strażnicy w cywilu. Kontrolują identyfikatory.

Na sali kolejka do list obecności. Trzeba podpisać. Znajduję swoje miejsce między Litwinem a Łotyszem. Nazwisko na zafoliowanym zielonym papierze. I w takimże kolorze kartka z numerem. To kolor obserwatorów. Pełnoprawni członkowie mają białe z miniaturowymi znaczkami w barwach narodowych.

Siadam. Przede mną piętrzy się stos papierów. To dokumenty do rozpatrzenia na tej sesji. Zagłębiam się w lekturze. Przewodniczący ogłasza początek obrad. Członkowie i obserwatorzy zakładają słuchawki i wybierają właściwy język. Mnie najłatwiej słuchać wersji angielskiej. Dyskusja. Głos zabiera się z własnego miejsca. Przed każdym stoi mikrofon. Od czasu do czasu przewodniczący zarządza głosowanie. Bardzo uproszczone – bo ocenia tylko przewagę. Głosują członkowie kartkami z numerem miejsca. Tempo obrad imponujące. Przerwa obiadowa trwa półtorej godziny. O 18.00 koniec obrad. Jedziemy na prezentację kilku regionów. Za kilka miesięcy trzeba będzie dokonać promocji naszego miasta i regionu. Patrzymy i zbieramy doświadczenia. Oficjalny dzień kończy się ok. 21.00

Jerzy Kropiwnicki

pierwsze kolumny

25-lecie pontyfikatu
Łódzkimi śladami Papieża
str. 11

Struktura branżowa ulicy Piotrkowskiej
Raport o stanie obecnym
str. 15

Mnie teatr publicystyczny nie nęci
Z reżyserem Grzegorzem Królikiewiczem, dyrektorem artystycznym Teatru Nowego rozmawia Gustaw Romanowski
str. 24

25-lecie pontyfikatu

Łódzkimi śladami Papieża

pierwsze kolumny

„Wizyta Papieża Jana Pawła II w Łodzi jest już częścią historii diecezji i miasta, lecz zapoczątkowała szczęśliwie coś, co najprawdopodobniej ujdzie kiedyś uwagi wytrawnych nawet historyków: dała nowy i potężny impuls dotychczasowym relacjom jej uczestników z Ojcem Świętym. (...)
A zatem wizyta papieska w Łodzi zbliżyła nas do Ojca Świętego, a tym samym do tych

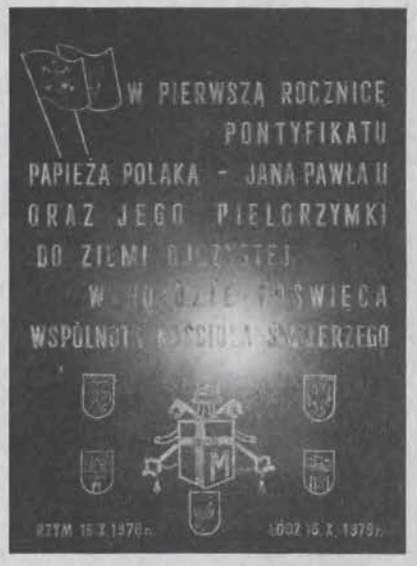
W PIERWSZĄ ROCZNICĘ
PONTYFIKATU
PAPIEŻA POLAKA - JANA PAWŁA II
ORAZ JEGO PIELGRZYMKI
DO ZIEMI OJCZYSTEJ
RZYM 16.X.1978 r.
ŁÓDŹ 16.X.1979 r.

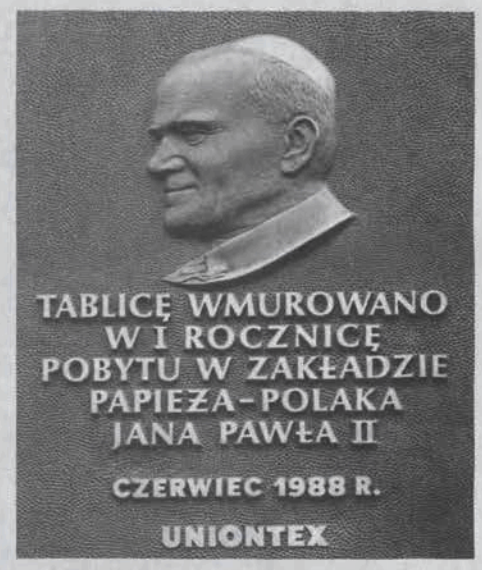
TABLICĘ WMUROWANO
W I ROCZNICĘ
POBYTU W ZAKŁADZIE
PAPIEŻA-POLAKA
JANA PAWŁA II
CZERWIEC 1988 R.
UNIONTEX

JANOWI PAWŁOWI II
W I ROCZNICĘ WIZYTY PAPIESKIEJ
BISKUPI, KAPŁANI, WIERNI

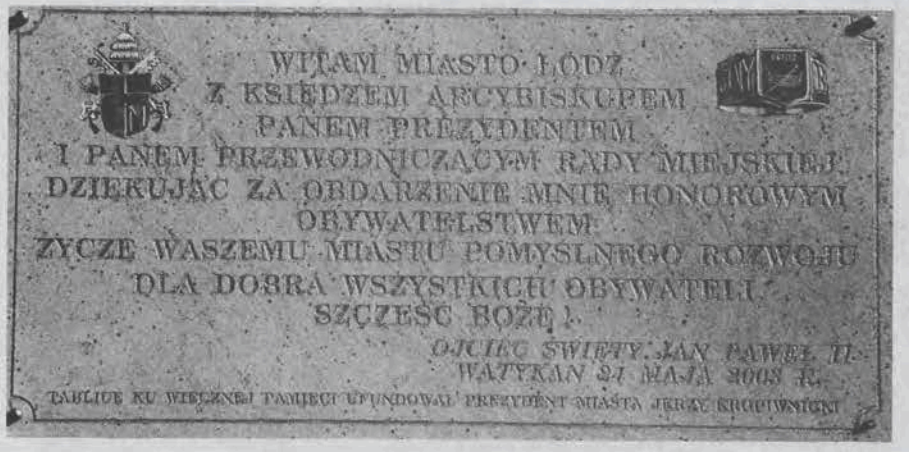

najważniejszych i tych zwyczajnych także spraw, które nosi On w swoim sercu i do ciężaru odpowiedzialności za Kościół i świat, który dźwiga na swoich barkach.
Po wspólnym i głębokim przeżyciu „spotkania łódzkiego" w ten sposób wyrażamy Ojcu Świętemu naszą serdeczną wdzięczność, że radości Papieża czynimy naszymi radościami, Jego smutki – naszymi smutkami, Jego nadzieje – naszymi nadziejami. Przybył wszak do Łodzi także w tym celu, aby poznać to wszystko, co nas aktualnie cieszy, martwi i niepokoi, przyjrzeć się z bliska najważniejszym sprawom, którymi żyjemy na co dzień, aby w ten sposób mieć swój udział w tej naszej codzienności. Trzeba o tym pamiętać wtedy zwłaszcza, gdy modlimy się w intencji Papieża, gdy o Nim mówimy i myślimy i gdy dowiadujemy się o nowych Jego troskach. A z tym wiąże się żywe zainteresowanie aktualną działalnością Ojca Świętego, Jego nauczaniem, podróżami i nowymi dokumentami, które ogłaszane są z podpisem Papieża (głównie encykliki i adhortacje). Pojawia się wtedy nowa forma kontaktu z Janem Pawłem II, zadzierżgniętego w wyjątkowy sposób owego pamiętnego dnia w Łodzi.

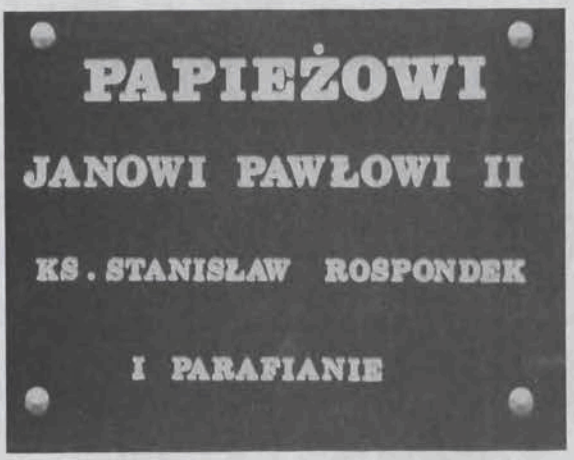

A każde wtedy „osobiste" spotkanie z Piotrem naszych dni, odbyte bądź w ramach pielgrzymki do Rzymu, bądź też podczas kolejnej podróży papieskiej do Polski – odnawia i pogłębia tamto spotkanie i czyni je stale owocującym".

Fragment książki bp Adama Lepy, *Jan Paweł II w Łodzi, 13 czerwca 1987*, Archidiecezjalne Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1992, s. 185-186.

Na zdjęciach: Dwa pomniki i siedem tablic w większości upamiętniających pobyt Jana Pawła II w Łodzi podczas pielgrzymki do Ojczyzny w 1987r.
foto: Marek Strąkowski

Wojciech Michalski, Ewa Szafrańska

Struktura branżowa ulicy Piotrkowskiej

Raport o stanie obecnym

Piotrkowska jest z pewnością najbardziej znaną łódzką ulicą. Dla wielu Polaków jest synonimem Łodzi. Jeszcze dwieście lat temu w miejscu, w którym się dziś znajduje, biegł otoczony lasami trakt prowadzący z Piotrkowa Trybunalskiego w kierunku Zgierza.

Ulicę Piotrkowską zasiedlać zaczęto w roku 1824. Zgodnie z polityką władz początkowo mogli tam zamieszkiwać tylko sukiennicy i tkacze. Z czasem osiedlali się również, przybyli do Łodzi przedstawiciele innych profesji, a także osoby bez wyuczonego zawodu, zachęcane wizją szybkiego zarobku w dynamicznie rozwijającym się mieście. Z roku na rok Piotrkowska stawała się ulicą elitarną. Zaczęto budować przy niej luksusowe i drogie kamienice, powstały eleganckie sklepy tylko dla zamożnych.
Ale Piotrkowska była nie tylko ulicą bogatych. Także miejscem ścierania się dwóch światów: małych drewnianych domów tkaczy i ogromnych kamienic, niewielkich warsztatów oraz monumentalnych fabryk.

Dziś długość Piotrkowskiej wynosi 4,17 km. Nadal mimo przemian pozostaje ona najważniejszą ulicą Łodzi. W roku 1990 doczekała się nawet swojej fundacji. Dziś, tak jak ponad 150 lat temu, jest ulubionym miejscem spotkań łodzian. Będąc miejscem szczególnym nadaje niepowtarzalny klimat miastu. Nie tylko swoich mieszkańców czaruje swą wyjątkowością. Puby mieszczące się wzdłuż ulicy znane są w całej Polsce.
Od początku lat 90-tych Piotrkowska podlega szybkim przeobrażeniom. Tempo zmian jakie się na niej dokonuje, zaskakuje nawet często bywających tu łodzian. Wiele z nich idzie w pozytywnym kierunku, ale są również takie, które odbierają reprezentacyjnej ulicy miasta przynależny charakter. Coraz częściej uciekają z niej renomowane firmy. Zaskakuje widok opustoszałych lokali handlowych i usługowych, które mimo atrakcyjnego położenia nie znajdują najemców.
Aby śledzić te zmiany i szukać korzystnych dla rozwoju Piotrkowskiej rozwiązań, w Wydziale Strategii i Analiz UMŁ rozpoczęto cykl badań. Pierwszym etapem była przeprowadzona na przełomie kwietnia i maja 2003 roku inwentaryzacja wszystkich działających tu podmiotów. Ich celem była diagnoza obecnej struktury funkcjonalnej Piotrkowskiej oraz stworzenie wyjściowej bazy danych, umożliwiającej rejestrację przemian, jakie dokonują się na tej najważniejszej dla miasta ulicy.

Ankieta, którą przeprowadzano w każdym z działających przy Piotrkowskiej podmiotów, zawierała 10 pytań dotyczących podstawowych informacji związanych z prowadzoną działalnością, m.in: daty rozpoczęcia działalności, jej rodzaju i formy prawnej, liczby zatrudnionych osób, powierzchni i tytułu prawnego użytkowanego lokalu.
W wyniku przeprowadzonych badań zinwentaryzowano przy ulicy Piotrkowskiej 1330 podmiotów, instytucji i firm prowadzących tu działalność gospodarczą. Ponad połowa z nich świadczy różnego rodzaju usługi, a 40% (544) to placówki zajmujące się handlem. Administrację publiczną i wymiar sprawiedliwości reprezentuje 26 instytucji, zaś 23 to różnego rodzaju organizacje społeczne, polityczne, religijne, związki wyznaniowe i kościoły. Tylko 28 firm prowadzi tu działalność produkcyjną.
Zdecydowana większość (blisko 90%) podmiotów rozpoczęła działalność przy Piotrkowskiej po 1989 roku. Spośród nielicznych firm, które mieściły się tu przed 1989 rokiem, kilka działa od czasów przedwojennych. Do najstarszych należą między innymi zakłady zegarmistrzowskie (od 1934 r.), zakład optyczny (od 1928 r.) oraz księgarnia Pegaz (od 1896 r.). Blisko połowa działalność przy głównej ulicy miasta rozpoczęła w ciągu ostatnich 5 lat a 20% działa tu krócej niż 2 lata. Tak duża rotacja firm, zwłaszcza w ostatnich kilku latach, świadczy o szybkości przemian jakim podlega Piotrkowska.

Tab.1. Okres rozpoczęcia działalności przy ulicy Piotrkowskiej

Okres czasowy	Liczba placówek	Udział w %
przed 1939 rokiem	4	0,4
1945-1989	106	10,5
1990-1993	230	22,8
1994-1997	165	16,4
1998-2001	301	29,9
po 2001 roku	201	20,0
Razem	**1007**	**100,0**

Źródło: Obliczenia własne

Rozmieszczenie firm i struktura działalności

Licząca ponad 4 km Piotrkowska jest jedną z najdłuższych ulic handlowych w kraju. Intensywność prowadzonej tu działalności gospodarczej - struktura zabudowy i charakter poszczególnych odcinków jest bardzo zróżnicowany. Jako mierniki dominacji

funkcjonalnej przyjęto liczbę podmiotów wraz z określeniem ich branży, wielkości zatrudnienia oraz powierzchni zajmowanej przez firmy. Na potrzeby analizy podzielono Piotrkowską na trzynaście różnej długości odcinków wyznaczonych przez 12 par przecznic (tab. 2). Analizie poddano 12 z 13 tak wyodrębnionych odcinków, ponieważ ostatni, położony na jej południowym krańcu, jest niezabudowany.

Tab. 2. Odcinki ulicy Piotrkowskiej

Odcinek	Długość w km	Liczba mieszkańców
Pl. Wolności - Rewolucj1905r./Próchnika*	0,18	305
Rewolucji 1905r./Próchnika - Jaracza / Więckowskiego	0,23	872
Jaracza/Więckowskiego - Narutowicza/Zielona	0,23	1178
Narutowicza/Zielona - Traugutta/6-go Sierpnia	0,19	688
Traugutta/6-go Sierpnia - Tuwima/Struga	0,38	1503
Tuwima/Struga - Nawrot/Zamenhofa	0,35	1270
Nawrot/Zamenhofa - Piłsudskiego/Mickiewicza	0,34	784
Piłsudskiego/Mickieicza - Wigury/Żwirki	0,38	1491
Wigury/Żwirki - Brzeźna/Radwańska	0,36	1492
Brzeźna/Radwańska - Tymienieckiego/St Kostki	0,48	1187
Tymienieckiego/St Kostki - Milionowa/Czerwona	0,27	531
Milionowa/Czerwona - Zarzewska /Sieradzka	0,55	330
Zarzewska /Sieradzka - Pl. Niepodległości	0,19	0
Razem	**4,17**	**11631**

Źródło: Obliczenia własne
* w tekście nazwy podano jednostronnie

Wyodrębnione w ten sposób odcinki różnią się wiekiem, charakterem oraz intensywnością zabudowy. W 238 posesjach znajdujących się przy Piotrkowskiej mieszka ponad 11,6 tys. mieszkańców. Największa koncentracja ludności ma miejsce pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima, gdzie zamieszkuje 1,5 tys. osób oraz w dwu odcinkach obejmujących wielokondygnacyjne budynki tzw. Manhattanu (Piłsudskiego-Wigury i Wigury-Brzeźna) liczących w sumie blisko 3 tys. mieszkańców.

Handel

Spośród 544 placówek prowadzących przy ulicy Piotrkowskiej działalność handlową (ponad 30%), stanowią sklepy odzieżowe i obuwnicze. Łącznie jest ich 171, z czego blisko 20% znajduje się pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima. Niewiele mniej, 17,3% tych sklepów mieści się na odcinku od ulicy Jaracza do Narutowicza, a 30 kolejnych pomiędzy ulicami Rewolucji 1905 r. i Jaracza. Znacznie mniej sklepów tej branży znajduje się w części Piotrkowskiej niewyłączonej z ruchu samochodowego.

Drugą, co do liczebności, grupę sklepów działających przy „flagowej" ulicy Łodzi stanowią sklepy z artykułami spożywczymi (42). Najwięcej z nich (9) mieści się pomiędzy Aleją Piłsudskiego a ulicą Wigury, co wynikać może z faktu, iż w pobliżu tego rejonu znajduje się osiedle bloków mieszkalnych, tzw. Manhattan. Znacznie mniej tego typu sklepów jest w części wyłączonej z ruchu samochodowego oraz w jej końcowym odcinku pomiędzy ulicami Milionową i Sieradzką, co wynika z usytuowania Górnego Rynku - dla wielu Łodzian miejsca zakupów produktów spożywczych. Poza tym jest to odcinek o niewielkim zaludnieniu, ponieważ mieszczą się tu budynki należące do kompleksu fabrycznego Ludwika Geyera (obecnie Centralne Muzeum Włókiennictwa) i sąsiadujący z nimi park.

Dość znaczący udział w działającym przy Piotrkowskiej handlu mają podmioty oferujące produkty „nowoczesne", do których zaliczyć można komputery i telefony. Placówki oferujące sprzedaż takich artykułów stanowią 12,5% wszystkich sklepów na Piotrkowskiej. Należy dodać, iż są one podmiotami z pogranicza branży handlowej i usługowej, ponieważ oferują również cały pakiet usług związanych z obsługą telefonii cyfrowej i stacjonarnej, internetu i łączności komputerowej. Do tej grupy, obejmującej 70 placówek zaliczono 38 firm związanych z szeroko pojętą telefonią oraz 32 sklepy działające w branży komputerowej. Są to zarówno salony firmowe wielkich koncernów telefonicznych (Plus, ERA, Idea, TP S.A., Dialog) i ich mniejsze przedstawicielstwa oraz komisy telefonów komórkowych. Największą koncentrację punktów sprzedaży usług oraz sprzętu związanego z telefonią odnotowano pomiędzy ulicami Tuwima a Nawrot.

Sklepy komputerowe zlokalizowane są na całej długości ulicy, ale nie są rozmieszczone równomiernie. Największe ich zagęszczenie odnotowano pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima, a także Narutowicza i Traugutta oraz Tuwima i Nawrot.

Kolejną grupę, obejmującą 30 sklepów, stanowią punkty handlowe zakwalifikowane do ogólnej kategorii „rozrywka i hobby". Obejmuje ona sklepy sportowe, turystyczne, ze sprzętem muzycznym, kolekcjonerskie, z różnego typu grami a także z artykułami erotycznymi. Najwięcej z nich (9) mieści się na odcinku wyznaczonym przez ulice Traugutta i Tuwima.

Najstarszy sklep przy ulicy Piotrkowskiej to księgarnia „Pegaz", znajdująca się przy Piotrkowskiej 47. Oprócz niej przy tej ulicy mieści się 28 innych księgarni i antykwariatów. Ponad połowa z nich zlokalizowanych jest pomiędzy ulicami Traugutta

i Piłsudskiego, a najwięcej (7) na odcinku Nawrot - Piłsudskiego. W południowej części Piotrkowskiej działalność tego typu prowadzona jest sporadycznie. Na uwagę zasługuje fakt, iż większość księgarni i antykwariatów to firmy działające od lat. W ich pobliżu zlokalizowane zostały nowe placówki z księgarskiej branży.

W 25 sklepach przy Piotrkowskiej nabyć można artykuły ujęte pod ogólną nazwą „artystyczne". Są to galerie, sklepy z antykami, wyrobami ludowym, upominkami, witrażami itp. Największe ich zagęszczenie odnotowano pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima (7) oraz Tuwima i Nawrot (6). Odwiedzają je nie tylko łodzianie, ale również polscy i zagraniczni turyści przebywający w mieście.

Przy ulicy Piotrkowskiej mieszczą się także 24 sklepy ze sprzętem AGD, meblami, dywanami, lustrami, artykułami wyposażenia sklepów itp. Największą ich koncentrację odnotowano pomiędzy ulicami Brzeźną a Tymienieckiego. Wynika to z usytuowania terenów i obiektów pofabrycznych, których duże powierzchnie pozwalają na ekspozycję tego typu asortymentu. Nie bez znaczenia jest także dogodny dojazd i możliwość zaparkowania, ograniczona na odcinku wyłączonym z ruchu samochodowego. Przy ulicy Piotrkowskiej znajduje się także 16 sklepów z artykułami RTV, które rozmieszczone są dość równomiernie po 1-3 na wszystkich analizowanych odcinkach.

Nie brakuje także miejsc, w których kupić można prasę, papierosy, bilety MPK oraz drobne artykuły drogeryjne i spożywcze. Jest ich 24, a ze względu na swój uniwersalny charakter i niewielką powierzchnię rozmieszczone są dość równomiernie. Wyjątek stanowi odcinek od ulicy Rewolucji 1905 r. do Narutowicza, w którym nie ma punktów tego typu.

Kolejna grupa sklepów to 23 salony jubilerskie oraz mniejsze sklepy z biżuterią i zegarkami. Największa ich koncentracja występuje pomiędzy ulicami Tuwima i Nawrot (6) oraz Traugutta i Tuwima (5). Działalności tego typu nie prowadzi się natomiast w południowej części Piotrkowskiej.

Na całej długości ulicy można naliczyć 15 luksusowych perfumerii i drogerii. Połowa z nich zlokalizowanych jest pomiędzy ulicami Rewolucji 1905r. i Traugutta, przy czym największą ich koncentrację odnotowano na krótkim odcinku od Rewolucji 1905r. do Jaracza.

W 17 miejscach sprzedaje się artykuły biurowe, papiernicze i kasy fiskalne. Handel tego typu artykułami prowadzony jest zwłaszcza pomiędzy ulicami Rewolucji i Narutowicza, a także pomiędzy Tuwima i Nawrot oraz Brzeźną i Tymienieckiego.

Badania wykazały, że przy najatrakcyjniejszej ulicy Łodzi znajduje się 11 aptek, najwięcej na odcinku Piłsudskiego -Wigury.

W 11 miejscach wyłącznie pomiędzy ulicami Nawrot a Milionową, zaopatrzyć się można w szeroko rozumiane artykuły budowlano-instalacyjne, sanitarne, elektrotechniczne, urządzenia grzewcze i klimatyzacyjne, a także w farby, okna itp.

Sklepów optycznych, mimo wąskiej specjalizacji, jest aż 10 (w większości połączonych

ze świadczeniem usług w tym zakresie). Najwięcej z nich znajduje się pomiędzy Rewolucji 1905 r. i Jaracza.
Pozostałe 27 sklepów działających przy Piotrkowskiej zaliczone zostało do kategorii „inne". W zbiorze tym znalazło się mniej niż 5% placówek handlowych zajmujących się sprzedażą między innymi: artykułów dziecięcych, kwiatów, artykułów tytoniowych, peruk, artykułów zoologicznych, znalazł się też jeden salon samochodowy.

Usługi

Spośród 709 punktów usługowych zlokalizowanych przy ulicy Piotrkowskiej aż 104 (czyli blisko 8% ogółu firm) to placówki gastronomiczne w tym jedyny hotel - Grand Hotel. W większości są to znane w całej Polsce łódzkie puby. Przy Piotrkowskiej mieści się także wiele eleganckich restauracji serwujących kuchnie całego świata, które są chętnie odwiedzane nie tylko przez łodzian, ale także turystów. Dużym zainteresowaniem cieszy się także działalność typu „fast-food". Liczne są również pizzerie, kawiarnie, herbaciarnie i cukiernie. Gastronomiczny charakter głównej ulicy miasta ujawnia się zwłaszcza na liczącym półtora kilometra odcinku pomiędzy ulicami Jaracza i Piłsudskiego, gdzie mieści się ponad 80% wszystkich działających przy Piotrkowskiej lokali.
Ponad połowa podmiotów usługowych (363) oferuje tzw. „nowe usługi". Do dziedziny tej zalicza się usługi z zakresu: finansów, obsługi nieruchomości i firm, kształcenia, ochrony zdrowia oraz grupę usług, które pojawiły się stosunkowo niedawno na rynku tzn.: ubezpieczeniowe, reklamowe, komputerowe itp. (Jakubowicz E., 2000).
Bez wątpienia Piotrkowską nazwać można finansowym centrum Łodzi, ponieważ znajduje się przy niej aż 80 instytucji, w których świadczone są szeroko pojęte usługi tego rodzaju. Największą ich koncentrację odnotowano w rejonie wyznaczonym Al. Piłsudskiego i ulicą Wigury, gdzie ma siedziby 14 takich instytucji.
Niewiele mniej podmiotów świadczy usługi medyczne (76). Są to różnego rodzaju przychodnie lekarskie i gabinety działające zarówno w ramach publicznej jak i prywatnej służby zdrowia, ze znaczną przewagą tych ostatnich. Działalność tego typu koncentruje się w trzech odcinkach, pomiędzy ulicami Traugutta i Nawrot (30) .
W 62 miejscach przy ulicy Piotrkowskiej skorzystać można z usług prawnych, przede wszystkim adwokackich i notarialnych. One także nie są rozmieszczone równomiernie, ponieważ ponad połowa zlokalizowana jest na obszarze pomiędzy ulicami Narutowicza a Nawrot. Sektor ich największej koncentracji wyznaczają przecznice Narutowicza i Traugutta, gdzie na długości zaledwie 0,19 km działa 15 podmiotów obsługi prawnej. Firmy prowadzące szeroko rozumianą działalność doradczą są na całej długości ulicy Piotrkowskiej, za wyjątkiem dwu krańcowych jej odcinków. Najwięcej z 41 firm pośrednictwa i doradztwa handlowego, podatkowego, biur rachunkowych oraz usług projektowych odnotowano pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima.

10671-A

Pośrednictwem w obrocie nieruchomościami zajmuje się 30 firm. Są to zarówno duże zrzeszone w sieci jednostki, jak i małe firmy lokalne. Ponad połowa z nich mieści się pomiędzy ulicami Narutowicza i Tuwima.

Usługi poligraficzno-reklamowe i wydawnicze świadczy 39 firm. W punktach tych można np. zamówić foldery, wizytówki, druki reklamowe, zaproszenia, pieczątki lub skopiować dokumenty. Ich działalność jest zatem połączona z produkcją. Znaczna ilość punktów świadczących tego typu usługi (16) znajduje się pomiędzy ulicami Traugutta i Nawrot.

Działa tu także 57 biur turystycznych. Są to zarówno przedstawicielstwa wielkich koncernów międzynarodowych i krajowych, jak i małe firmy oferujące pośrednictwo w ofercie turystycznej. Blisko 70% z nich zlokalizowanych jest na odcinku wyznaczonym ulicami Jaracza i Nawrot.

Przy ulicy Piotrkowskiej zlokalizowanych jest 35 instytucji i placówek naukowych, kulturalnych i oświatowo-wychowawczych oraz podmiotów, w których świadczy się usługi szkoleniowe i edukacyjne. Ich rozmieszczenie jest w miarę równomierne, toteż można stwierdzić, iż działalność ta nie podlega silnej koncentracji przestrzennej.

Nie brakuje przy głównej ulicy miasta firm oferujących tradycyjne usługi, jest tu bowiem 70 punktów fryzjerskich i kosmetycznych. Działalność tego typu prowadzi się na całej długości ulicy, natomiast niekwestionowane centrum usług fryzjersko-kosmetycznych mieści się pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima (15 firm). Zlokalizowano tu także 20 zakładów fotograficznych, zarówno prowadzonych od pokoleń, jak i tych, które działają tu dopiero od kilku lat. Najwięcej z nich jest na odcinku od ulicy Narutowicza do ulicy Traugutta.

Mniej licznie reprezentowane są usługi krawieckie i szewskie działające w 14 miejscach oraz usługi określone jako „rozrywkowe", do których zaliczono między innymi agencje towarzyskie i towarzysko-matrymonialne, usługi wróżbiarskie, kina, salony gier (15 punktów).

Instytucje i organizacje publiczne

Zgodnie z wielkomiejskim charakterem Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej znajdują się 23 placówki administracji publicznej i wymiaru sprawiedliwości. Na tę grupę składają się przede wszystkim Urząd Miasta wraz ze swoimi jednostkami, do których należą: biura Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, Delegatura Łódź-Śródmieście i siedziba Miejskiego Rzecznika Praw Konsumenta. Tu też ma swoją siedzibę Urząd Wojewódzki oraz Wydział Spraw Obywatelskich i Migracji zwany potocznie Urzędem Paszportowym, Prokuratury: Okręgowa i Apelacyjna, Naczelny Sąd Administracyjny oraz Najwyższa Izba Kontroli. Ponad połowa tego rodzaju placówek (15), mieści się pomiędzy ulicami Tuwima i Piłsudskiego.

Przy głównej ulicy miasta znajdują się siedziby 22 organizacji społecznych,

politycznych, stowarzyszeń i fundacji oraz biuro poselskie. Największa liczba instytucji należących do tej grupy, zlokalizowana jest pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima.

Przy Piotrkowskiej mieszczą się także trzy kościoły, w tym dwa o szczególnej randze: największa i najważniejsza budowla sakralna miasta, archidiecezjalny kościół p.w. św. St. Kostki wraz z siedzibą Kurii Biskupiej oraz główna świątynia łódzkich luteranów - kościół ewangelicko-augsburski p.w. św. Mateusza. Te ważne ośrodki życia religijnego, a równocześnie dominanty architektoniczne ulicy, zlokalizowane są w jej mniej reprezentacyjnej, południowej części.

Działalność produkcyjna

Z przeprowadzonych badań wynika, że ulica Piotrkowska, odmiennie niż w latach ubiegłych, nie należy do miejsc, w których chętnie lokalizuje się działalność produkcyjną. Funkcjonuje tu zaledwie 28 przedsiębiorstw. Mieszczą się one pomiędzy ulicami Traugutta i Nawrot oraz w południowej części ulicy, pomiędzy Tymienieckiego i Milionową. Przedsiębiorstwa te w większości reprezentują drobną wytwórczość i rzemiosło. Wytwarzają termometry, żaluzje, artykuły z tworzyw sztucznych, konfekcję, narzędzia a także biomateriały. Jest też jedna piekarnia.

Zlokalizowane przy Piotrkowskiej budynki wielkich łódzkich fabryk, związanych z dominującym przed 1989 rokiem przemysłem lekkim, zmieniły swe funkcje na handlowe i usługowe. Największe z nich to: stanowiąca industrialną enklawę w reprezentacyjnej, wielkomiejskiej części ulicy fabryka przy ul. Piotrkowskiej 138/140, a w części południowej obszerny teren przy ul. Piotrkowskiej 242/250 oraz położony po obu stronach ulicy kompleks budynków fabrycznych Geyera.

Podsumowanie

Analiza lokalizacji firm i instytucji przy ulicy Piotrkowskiej dowiodła, iż najsilniejsza koncentracja wszelkiego typu działalności ma miejsce pomiędzy ulicami Narutowicza i Piłsudskiego na odcinku o łącznej długości 1,26 km. Zlokalizowanych jest tu blisko 45% wszystkich placówek handlowych oraz ponad połowa podmiotów świadczących różnego rodzaju usługi. Mieści się tu także ponad 1/3 organizacji i stowarzyszeń społecznych, politycznych i innych oraz ponad 70% urzędów administracji publicznej i wymiaru sprawiedliwości. Niekwestionowane centrum ulicy, które charakteryzuje się największym natężeniem działalności handlowo-usługowej to fragment Piotrkowskiej pomiędzy ulicami Traugutta i Tuwima. Na odcinku tym, liczącym 0,38 km, koncentruje się blisko 20% wszystkich działających przy Piotrkowskiej instytucji i firm.

Zdecydowanie najmniejszą aktywnością wyróżniają się natomiast początkowy i końcowy odcinek reprezentacyjnej ulicy miasta. Łącznie zlokalizowano tam zaledwie nieco ponad 6% podmiotów na niej działających.

Na podstawie rozmieszczenia podmiotów gospodarczych i ich struktury przy ulicy Piotrkowskiej stwierdzić można, iż w ponad połowie jej odcinków dominuje funkcja usługowa (placówki usługowe stanowią ponad połowę wszystkich). Zwarta usługowa cześć ulicy pomiędzy Narutowicza i Brzeźną, w tym fragmencie Piotrkowskiej koncentruje blisko 2/3 placówek. W początkowych odcinkach Piotrkowskiej, pomiędzy pl. Wolności a ulicą Narutowicza współdominuje funkcja handlowo-usługowa o zbliżonych proporcjach obu tych rodzajów działalności. Odcinki, w których dominuje funkcja handlowa położne są w południowej części, pomiędzy Milionową i Sieradzką, oraz Brzeźną i Tymienieckiego i charakteryzują się niewielkim natężeniem działalności. Jeżeli ponadto uwzględnimy położenie instytucji administracji publicznej, wymiaru sprawiedliwości i organizacji oraz stowarzyszeń, to za najbardziej wielkomiejski, zróżnicowany funkcjonalnie usługowy odcinek Piotrkowskiej - centrum miasta - można uznać jej część pomiędzy ulicami Traugutta i Nawrot.

Wojciech Michalski
- doktor nauk geograficznych,
specjalista w sprawach migracji i osadnictwa.
Był pierwszym redaktorem „Kroniki Miasta Łodzi".
Obecnie dyrektor Wydziału Strategii i Analiz UMŁ.

Ewa Szafrańska
- socjolog, doktor nauk geograficznych.
Pracownik Wydziału Strategii i Analiz UMŁ.
Autorka publikacji dotyczących Łodzi i regionu.

[Śródtytuły pochodzą od redakcji]

„Mnie teatr publicystyczny nie nęci"

Z reżyserem Grzegorzem Królikiewiczem, dyrektorem artystycznym Teatru Nowego rozmawia Gustaw Romanowski

– Teatr Nowy, to spory fragment historii Łodzi kulturalnej, na który składają się nie tylko wybitne premiery ale też zwykła teatralna codzienność znaczona – bo to normalne – także przedstawieniami przeciętnymi i rutyną odmierzaną przez nie jedną przecież dyrekcję, która zawiadywała tą sceną w ciągu przeszło półwiecza. Z czym tak doświadczonemu jak Grzegorz Królikiewicz twórcy kojarzy się ten teatr?

– Z czymś bardzo ożywczym, gdy jako młody chłopiec, student uniwersytetu biegałem tu na takie przedstawienia jak „Ciemności kryją ziemię", „Smierć Winkelrieda", czy na „Historyję o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim" lub na „Żywot Józefa". To były podniety i intelektualne i emocjonalne a nas, młodych ludzi porywały potem nocne dyskusje, spory, polemiki. Bardzo silnego przeżycia dostarczył mi „Akropolis" na deskach „Nowego". Pamiętam, że profesor Stefan Hrabec, ówczesny rektor UŁ skrytykował to przedsiewzięcie Dejmka: „Po co w robotniczej Łodzi wystawiać taką trudną sztukę jak „Akropolis", kto ją tu zrozumie? – grzmiał. I czuło się wtedy w Łodzi taką szlachetną inteligencką misję docierania do źródeł, które mogą społeczeństwu dać jakieś wyobrażenie więzi kulturowej np. między Starym Testamentem a nowszymi czasami. Do dzisiaj pozostał mi też w pamięci rewelacyjny spektakl „Śmierć komiwojażera", który w eskpresjonistycznej konwencji wyreżyserował Bohdan Korzeniewski.

– Czy więc w istocie za Dejmkową legendą krył się tak naprawdę tylko dobry teatr repertuarowy?

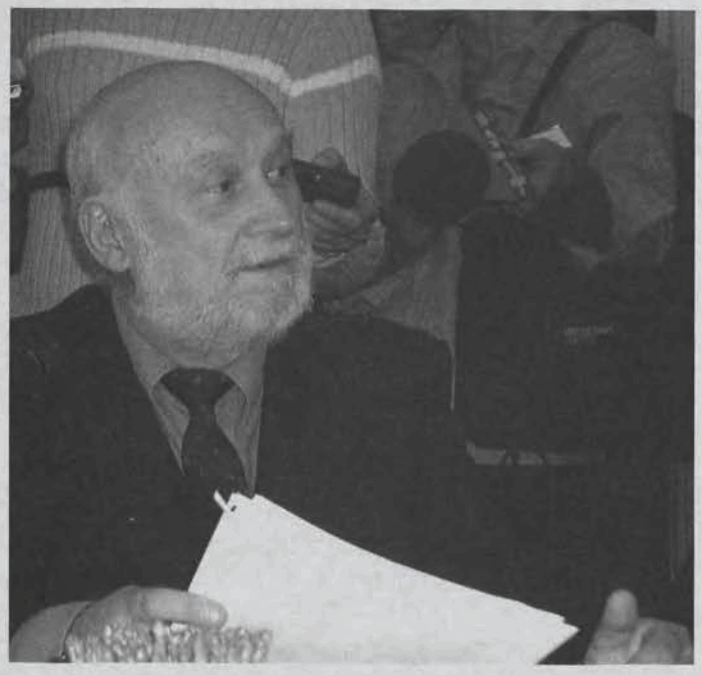

– Tak myślę. Poza ową „Śmiercią komiwojażera" nie było tam tak naprawdę miejsca na jakieś eksplozje formalne. Ówczesny teatr Dejmka to było raczej odejmowanie nadmiaru, bardzo dobry warsztat aktorski a to, co budziło podziw to mistrzowskie panowanie reżysera nad rytmem całości przedstawienia. I ta istotnie wielka umiejętność Dejmka przynosiła zawsze reżyserowi odkupienie, gdy zdarzały się na scenie zwykle potknięcia, bo np. spóźnił się ispicjent czy zająknął aktor. Bo to przecież zdarza się w każdym teatrze.

– Oderwijmy się na chwilę od historii tej sceny. Chlubnej bo chlubnej, ale już tylko historii. Czy teatr repertuarowy nie oznacza uwikłania się w określony kanon, który tak na dobrą sprawę osacza wszystkie teatry? A zatem trochę klasyki swojskiej, trochę obcej, nieco przedwojennej awangardy; Witkacy, Gombrowicz, Mrożek. I wciąż dojmujący deficyt sztuk współczesnych, brak bardziej bezpośrednich odniesień choćby do problemów otaczającej nas rzeczywistości.

– Repertuar to jakby taka płachta falująca w powietrzu. Faluje ona trochę tymi nieśmiertelnymi ideami naszej środziemnomorskiej cywilizacji, ale tak naprawdę to porusza ją eklektyzm. Myślę o eklektyzmie repertuarowym w najlepszym tego słowa

znaczeniu. Bo cały dramat teatru polega na tym, że grają w nim nie maszyny ale żywi ludzie, którzy się wyczerpują, starzeją, że dochodzi następne pokolenie, że muszą być w teatrze zapewnione szczeble pokoleniowe, bo dziś aktor młody za kilka lat spoważnieje ale ten sam czas sprawi, że poważny aktor się zestarzeje. Każdy z artystów teatru musi mieć możliwość wszechstronnego osobistego rozwoju i aktorowi trzeba umożliwiać taki osobisty rozwój. A więc konieczna jest częsta zmiana konwencji, częsta zmiana obsady. Żeby aktor grający dziś postać epizodyczną jutro objął rolę czołową, żeby raz grając w komedii mógł następnym razem wystąpić w tragedii. Aktorzy muszą się przecież ćwiczyć i doskonalić, a to jest możliwe tylko poprzez częstą zmianę konwencji. Do tego potrzebne jest harmonijne budowanie atmosfery zespołowej, takiej polifonii złożonej z wielu dominant. Dlatego cała reguła teatru, oparta o repertuar scala harmonijnie to wszystko: nasze indywidualne tęsknoty, aspiracje i wspomnienia.

– Ale tym repertuarowym eklektyzmem rządzi często tylko rutyna. Ona także może nużyć aktorów, bo monotonnie powtarzany repertuar grozi sztampą. Czy nie jest lekarstwem na nią np. teatr publicystyczny?

– Uważam, że nie. Mnie reguła teatru publicystycznego nie nęci. Uważam, że próbki tego, co dzieje się dziś w Europie w dramaturgii teatralnej, ale także w filmie, to co nadchodzi w kulturze artystycznej, to są zupełnie nowe intuicje. Polegają one najogólniej na tym, żeby z socjologicznego fundamentu, z pewnej prawdomówności natury społecznej wykrzesać metafizykę. Takich sztuk nie pisze nikt nie tylko zresztą w Polsce. Dlatego dziś celują na scenach teatralnych kraje skandynawskie i – o dziwo – Austria. Pojawili się tam dramaturdzy czterdziestolatkowie, choćby Austriak – Peter Turrini, Szwed – Jan Dahlstrem czy Dunka – Nicole Werdelin. W ich utworach sprawy wydawałoby się tak trywialne i niepoetyckie jak ekonomia, struktura organizacyjna czy schemat pracowniczy emanują zupełnie niespodziewanie jakimś metafizycznym krzykiem duszy, jakimś głodem poznania ludzkich cierpień, zrozumienia ich. Tego ja jako reżyser nie znajduję w polskiej współczesnej literaturze. Bo u nas sfrustrowana dulszczyzna, jakiś wstyd zahamował wyznanie prawdy o naszej rzeczywistości. Dzisiaj nie mamy tego, co przedwojenni Polacy zobaczyli w dramatach Witkacego. Odkryli nagle, że między nimi (więc także między nami) popawił się Polak prawdomówny. Który mówi nie tylko o nas ale i o naszej przyszłości. I to wszystko, co on przepowiedział zresztą się stało. Witkacy obserwował mistrzowsko całą konwencję zachowań ludzkich, tropił tę przysłowiową dulszczyznę a jednocześnie świetnie wyczuwał opisujący ją naturalizm. I z tego niedosytu zbudował własną estetyczną epopeję: sprzeciwu wobec konwencji naturalizmu i wyjaskrawienia natury ludzkiej. Gombrowicz z kolei osiągnął podobny uniwersalizm przez to, że znalazł sobie prze-

ciwnika. Uznał, że jest nim kultura, która doprowadziła do monologu, do dyktatu. I wyzywający demokratyzm, który Gombrowicz zaproponował w odwecie za autorytaryzm kultury pisarz ten doprowadził do krańców. Gombrowicz był pisarzem odważnym. Natomiast obawiam się że dziś, w całej reszcie naszej literatury jest pewien rodzaj uporu trwania. Nie ma w niej zuchwałości, a na pewno w sztuce sceny potrzebna jest szczególna zuchwałość.

– Może warto byłoby pomyśleć o adaptacji na scenę polską czegoś z literatury emigracyjnej, w której pewne zuchwałe prawdy się niewątpliwie pojawiły. Np. utwory Józefa Mackiewicza, tak głęboko antykomunistyczne. I wciąż prawie nieznane przeciętnemu Polakowi?

– To prawda. Ale myślę, że adaptowanie Mackiewicza na scenę byłoby połączone z pewnym chyba niepotrzebnym kulturowym wysiłkiem. Bo musi być zapewnione coś takiego jak płynność doświadczeń. Jakaś ogólna przystawalność do tego, co się dzieje wokół nas. Poprzez Gombrowicza czy Witkacego można pokazać widzowi całą złożoność naszego myślenia, ułomność naszych reakcji. U Mackiewicza tego nie ma, opowiadane przez niego historie są na pewno szczere, ale płytkie. Myślę natomiast o wystawieniu na scenie „Dzienników" Kisiela. Trzeba pokazać w sztuce to, co można określić montowaniem imperium radzieckiego, bo w miniaturze mamy u nas wciąż tego kalekie odbicie. Ale uważam, że literatura rosyjska, ta bardzo analityczna lepiej pokazuje tę jaskrawość, bo była u źródła rodzenia się zła. Więc trzeba raczej brać utwory z pierwszej ręki.

– Jeżeli nawet teatr nie publicystyczny, to może jednak przydałoby się na scenie więcej rzeczy tyczących naszej nowszej historii. Teatr ma przecież także pewne zobowiazania edukacyjne, a nasze społeczeństwo wiedzę histroryczną ma zastraszająco małą. Czy Teatr Nowy mógłby coś przedsięwziąć na tym polu?

– Myślę, że jest sprawa do zrobienia poczynając od Katynia, a kończąc na Workucie. Mam scenariusze i dawne niezrealizowane plany filmowe związane z tymi tematami. I namyślam się, czy nie spróbować wcześniej zrealizować tych pomysłów na scenie. Zastanawiam się też czy teatr, teatr rapsodyczny, nie mógły pokusić się o adaptację „Hańby domowej „ Jacka Trznadla – tych osobliwych dialogów o spodleniu się, o nikczemności, małości ale także o sile przekonań, o trwaniu wierności. To byłaby też szansa przypomnienia Zbigniewa Herberta – artysty i człowieka niezłomnego i niezłomnego polskiego inteligenta.

– Wracam do tematu rozrachunków z polską historią. Brakuje jej na scenie, a polska dramaturgia nie zapuszcza się na razie w te rejony sztuki. Czy więc na przykład powieści takiego prozaika jak Władysław Terlecki, którego obsesją była ta tematyka, nie mogłyby się stać jakimś tworzywem do adaptowania na scenę?

– Wydaje mi się, że nie, bo konwencja tej prozy jest wybitnie nieteatralna. Jest za bardzo „literacka", zbyt opisowa. Ale to, czego nie znajduję u Terleckiego znaleźć można u Stanisława Rembeka, zapomnianego dziś pisarza z okresu międzywojnia, legionisty. Jego książki – szorstkie, ale niezwykle prawdomówne ukazują rozdarcie polskich dramatów, mają też walor dobrze zarysowanej akcji zdarzeń, dobre dialogi. Będę się nad tym zastanawiał. A w bliskim planie repertuarowym postanowiłem sięgnąć po sztukę „Wróg ludu" Ibsena. To dramat bardzo aktualny, bo mówi o ludziach wyznających ideały i jednocześnie uporczywie „tkwiących w pomyłce".

– Działające w Łodzi teatry z zasady nie szukają w planach repertuarowych jakichś odniesień do tematu łódzkiego. Na usprawiedliwienie można wprawdzie powiedzieć, że w Łodzi nie powstaje też odpowiednia literatura, a dramatopisarstwem chyba nikt się nie para. Ale tożsamość kulturowa takiego dużego miasta cierpi na tym, bo trudno uwierzyć, że sięgnięcie na scenie po motyw łódzki byłoby jedynie przejawem kompleksu prowincji.

- Mamy w planie projekt „Zmartwychwstałe wiersze" oparty na poezji współczesnych, ale nieżyjących już łódzkich poetów. Będzie to spotkanie nie tyle z łódzkim tematem, co z dziełem twórców, którzy tu żyli. Spektakl wyreżyseruje Marian Glinkowski, a chcemy go pokazać na Wielkanoc przyszłego roku. Jeśli zaś mowa o bardzo łódzkim motywie, dotykającym tutejszej historii to mam w planie wystawienie spektaklu o lokaucie łódzkim, takim bardzo dramatycznym epizodzie z 1907 r. Wtedy to, po klęsce rewolucji 1905 r. miejscowi fabrykanci wsparci siłą rosyjskiego imperium wzięli okrutny odwet na łódzkich robotnikach. Ten spektakl, który zatytułowałem „Tren we krwi" zagrałby cały zespół teatru. Scenariusz mam gotowy od dawna. O innych planach repertuarowych nie chcę mówić, bo przecież mam tylko roczny kontrakt na kierowanie sceną Teatru Nowego. To oczywiste, że jako doświadczony i przewidujący reżyser muszę mieć pomysły także na dalszą perspektywę. Ale nie pora na takie zwierzenia.

Rozmawiał: Gustaw Romanowski

nauka

Brama otwarta na świat
Studium Języków Obcych Uniwersytetu Łódzkiego
Mieczysław Gumola
str. 31

Podziemne ciepło ogrzeje Politechnikę
Odnawialne źródła energii.
Małgorzata Golicka-Jabłońska
str. 41

Mieczysław Gumola

Brama otwarta na świat

Studium Języków Obcych Uniwersytetu Łódzkiego

Rozmowa z dyrektorem Stanisław Hibnerem –
szefem Studium Języków Obcych Uniwersytetu Łódzkiego

„Kronika": Jak najkrócej można by przedstawić Studium?

Stanisław Hibner: Studium, to nie tylko szkoła języków obcych, ale również brama szeroko otwarta na kulturę i obyczaje innych narodów. Towarzyszymy studentom co najmniej przez dwa lata, ale coraz częściej ich kontakt z językiem obcym trwa na uniwersytecie nawet pięć lat. Przyszli adwokaci opanowują wtedy terminologię prawniczą w języku obcym, a ekonomiści wkraczają z nim w świat biznesu. Przydaje się to później przy uzyskaniu odpowiedniego dyplomu, zdobyciu stypendium zagranicznego, w pracy zawodowej itp.

Kim są uniwersyteccy lektorzy?

Absolwentami wydziałów neofilologicznych, świetnymi znawcami języków, których nauczają Często robią doktoraty, prowadzą zajęcia kierunkowe w języku obcym, wygłaszają referaty na konferencjach międzynarodowych. Używając słownictwa sportowego – startują w różnych konkurencjach i osiągają świetne rezultaty na różnych stadionach.

Posiadając tak szczególne kwalifikacje, ile zarabiacie?

Jak to w budżetówce – średnio. Jednak warto trzymać się uczelni. Po siedmiu latach lektor może, w drodze konkursu, awansować na wykładowcę. Wtedy pensum zajęć w ciągu roku wynosi dla niego nie 540 godzin, jak podczas pierwszych lat pracy, a 360 godzin rocznie. Po dalszych pięciu latach wykładowca ma szansę awansować na starszego wykładowcę. Jest więc perspektywa ciekawej pracy na długie lata.

Czy na uczelni można dobrze nauczyć się języka obcego?

To nie zależy tylko od nas. Studenci najczęściej uczyli się wybranego języka obcego w szkole podstawowej, później średniej. Szkoła szkole nierówna, znajomość języków z jaką do nas przychodzą jest bardzo różna. Nie tworzymy jednak grup dla słabszych i lepiej zaawansowanych a lektoraty liczą minimum 25 osób. Najważniejsza jest jednak motywacja studentów. Dzisiaj warto dobrze znać kilka języków obcych.

Co głównie „trzyma" lektorów przy Studium?

Renoma Uniwersytetu Łódzkiego. Jest to uczelnia, która nobilituje – i w kraju i poza jego granicami. Liczy się również gwarancja stałej i dającej satysfakcję pracy. Poza tym mamy liczne kontakty z kolegami w różnych krajach, uczestniczymy w konferencjach krajowych i za granicą, poznajemy świat.

Studium jest o 3 lata młodsze od uniwersytetu.
Jak zatem wcześniej uczono języków obcych?

Nie bardzo wiadomo kogo dzisiaj o to pytać. Na początku języków obcych uczyli prawdopodobnie pracownicy naukowi poszczególnych wydziałów. Później powstało Studium.

Jak wyglądają wasze kontakty ze Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców?

Wspólnie wybieramy swoich przedstawicieli do senatu uniwersytetu. Porozumiewamy się również w różnych sprawach dydaktycznych.

Mówimy o językach obcych, a jak wygląda doskonalenie języka polskiego?

Język ojczysty, nie jest łatwiejszy od języków obcych. Jest świadectwem naszej kultury i poziomu intelektualnego. W Unii Europejskiej wszystkie języki są szanowane. Istnieje nawet specjalny program wspierania języków mniej licznych narodów. Polska nie należy do krajów małych – język polski będzie używany podobnie jak hiszpański, francuski, niemiecki.

Czy język angielski nas nie podbije?

Angielski pełni dziś taką rolę, jak dawniej łacina, jest językiem międzynarodowym – w handlu, komunikacji, polityce. Świat jest jednak bogaty i różnorodny a języki są tego

świadectwem. Angielski będzie liderem, ale w peletonie znajdą dla siebie miejsce także inni. Na naszym uniwersytecie wzrasta ostatnio zainteresowanie językiem chińskim.

A co z rosyjskim?

Nie jest nikomu narzucany i sami studenci decydują, że chcą się go uczyć. Chętnych do gruntownego poznania języka rosyjskiego przybywa z każdym rokiem.

Jak wyglądała Pana droga do dyrektorskiego fotela?

Zaczęła się dawno temu. Studia germanistyczne ukończyłem w Lipsku w 1970 r. Później był roczny staż na UŁ, rok pracy w „Textilimpexie", dwa lata pracy w liceum i od 1974 – czyli blisko trzydzieści już lat – w Studium. W 1981 r. zostałem wybrany zastępcą dyrektora, od 1987 r., przez szóstą już kadencję, kieruję tą uniwersytecką placówką.

Czy są ogólnopolskie rankingi Studiów Języków Obcych?

Są rankingi uczelni. Jako lektorzy pracujemy na lokatę uniwersytetu w rankingu ogólnopolskim.

Czujecie się w pełni docenieni?

Tak, zarówno przez władze uczelni, jak i władze miasta, które zwracają się do nas o pomoc przy szczególnie ważnych wizytach i konferencjach.

Jacy są dzisiejsi studenci?

Powiem najkrócej – dojrzali. Stali się bardziej niż kiedyś odpowiedzialni za siebie, są zaangażowani w proces nauczania, chcą się uczyć a nie zaliczyć egzamin i przejść na następny rok. Nie zaakceptują słabego lektora, wybiorą wymagającego. Studia traktują jako inwestycję, która będzie procentować dobrą pracą i wysokimi zarobkami, perspektywą kariery zawodowej i licznymi kontaktami zagranicznymi. To bardzo ambitni i ciekawi młodzi ludzie, którzy wniosą wiele dobrych rzeczy do naszej rzeczywistości.

O czym marzy dyrektor Studium?

Żeby nadchodzące lata, jeśli nie mogą być lepsze, były takie jak poprzedni i obecny rok. Damy sobie radę.

Rozmawiał: Mieczysław Gumola

Zespoły języków obcych

Angielski

Zespół Lektorów Języka Angielskiego liczy dziś prawie pięćdziesiąt osób. Kiedyś był, oczywiście, mniej liczny. Największą bolączką w pierwszych latach działalności był brak podręczników. W 1971 roku powstał skrypt zatytułowany „Manual of Commercial English" autorstwa mgr Leszka Podbielskiego. Okazał się bardzo przydatny nie tylko dla studentów, ale także dla pracowników central handlu zagranicznego. Następny skrypt zatytułowany „Marketing" napisał tenże autor wspólnie z mgr Janiną Ciurlik. Dotarcie do materiałów anglojęzycznych nie okazywało się specjalnie trudne. Gorzej było z przetłumaczeniem na język polski terminologii marketingu. Istniał wówczas Instytut Marketingu prowadzony przez prof. dr hab. Jerzego Dietla, ale jakiż mógł to być marketing w gospodarce niedoborów. Profesor zwołał nawet specjalne zebranie, aby pomóc anglistom w rozwikłaniu zawiłości terminologii marketingowej. Oto jeden przykładowy problem: znany jest powszechnie termin „sex appeal", ale jak przetłumaczyć na polski dwoma słowami termin marketingowy „sales appeal" (właściwa organizacja procesu sprzedaży, usługi przed – i posprzedażne). Planowano przygotować glosarium angielskich terminów marketingowych, ale na planie się zakończyło – na jedno lub dwa słowa w języku angielskim potrzebny byłby opis terminu na pół strony po polsku. Trzeci podręcznik dla studentów nosił tytuł „Economics". Jego autorami byli mgr mgr Leszek Podbielski i Jadwiga Joss. W wyborze materiałów uczestniczył prof. dr hab. Bogdan Piasecki.

Studenci uczący się języka angielskiego przez wiele lat nie mieli możliwości doskonalenia za granicą praktycznych umiejętności posługiwania się tym językiem. Dlatego też, przy wydatnym wsparciu finansowym Uniwersytetu Łódzkiego i zaprzyjaźnionych firm, zaczęto organizować letnie obozy językowe. Pierwszy taki obóz dla 30 studentów handlu zagranicznego i 20 asystentów Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego odbył się w Ręcznie. Lektorzy prowadzący zajęcia na obozach pracowali „społecznie". Zorganizowano około 20 obozów języka angielskiego. Do południa było sześć godzin zajęć, po południu nauka własna lub odpoczynek, po kolacji – dyskoteki. Przestrzegano zakazu używania języka polskiego – podczas posiłków rozmowy toczyły się po angielsku; siatkówka tak – ale komendy i sędziowanie również w tym języku, nawet grzybobranie ze słownikiem w koszyku. Wiadomo jednak, że Anglicy nie jedzą innych grzybów poza pieczarkami, mimo iż w Epping Forest w Londynie rosną prawdziwki. Stąd też „maślak" to będzie „butter mushroom", „prawdziwek" – „steinpilz" (z niemieckiego) a poczciwa kurka z francuskiego, chyba, „chantarelle".
Niektórzy wykładowcy, jak chociażby mgr Leszek Podbielski zabierali na obóz własne

powieści angielskie i amerykańskie. Po dwóch tygodniach każdy uczestnik obozu „zaliczał" wybraną książkę. Rano na zajęciach najnowsze wiadomości prezentowali studenci wysłuchujący audycji BBC. Jednak wtedy tak silnie zagłuszano radiostacje zachodnie, że grupa studentów spędzała całą noc zapisując wiadomości, które nadawane były w odstępach cogodzinnych. Angliści zawsze mogli liczyć na pomoc ambasady amerykańskiej i brytyjskiej. Naturalnym uzupełnieniem zajęć były filmy, ale wyłącznie dokumentalne z pięknymi pejzażami Ameryki lub Australii.

Studenci handlu zagranicznego mieli w programie 600 godzin lektoratu na poziomie zaawansowanym i to w dwóch językach. Rok pierwszy 6 godzin tygodniowo, rok drugi, trzeci – 4 godziny, rok czwarty – 5 godzin, semestr dziewiąty – 2 godziny. Po zakończeniu lektoratu składali tzw. egzamin resortowy przed komisją z Ministerstwa Handlu Zagranicznego – i często był to ważny krok w dalszej karierze. Byli studenci, którzy na trwale zapisali się w pamięci wykładowców. Do nich należał m. in. Marek Belka, który uczył się trzech języków: angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego, miał więc na pierwszym roku studiów 18 godzin lektoratów tygodniowo.

Dzisiaj studenci wszystkich wydziałów Uniwersytetu Łódzkiego kończą lektoraty otrzymując certyfikaty na poziomie średniozaawansowanym, wyższym średniozaawansowanym i zaawansowanym. Otrzymują tym samym paszport do kariery zawodowej.

Łacina

Pozycja łaciny wśród języków, które proponuje się studentom Uniwersytetu Łódzkiego, jest stabilna. Od lat utrzymuje się ta sama liczba godzin, a łacina pełni rolę raczej przedmiotu pomocniczego niż lektoratu. Były próby zmiany tej sytuacji, ale łacina przed tymi zakusami potrafiła się obronić. Rola łaciny jest ściśle określona i polega na tym, by język ten, nauczany na kursach dwu i cztero semestralnych, pomagał przyszłemu filologowi, historykowi i prawnikowi w rozumieniu struktury języka, jego historycznej genezy a także by wspierał logiczne myślenie przy nauce innych języków. Szczególną uwagę zwraca się na rozbiór gramatyczny zdania, jego strukturę i fleksję oraz matematyczną harmonię. Poza tym student poznaje zwroty i słowa, które często spotyka: ale nie zawsze prawidłowo rozumie jak np.: „post scriptum", „lege artis".

Studenci filologii poznają głównych przedstawicieli starożytnych okresów literackich, filozofię, architekturę, kulturę i mitologię. Na Wydziale Filozoficzno – Historycznym przypominają sobie i powtarzają historię starożytnej Grecji i Rzymu, a także zapoznają z oryginalnymi źródłami historycznymi średniowiecza czytając fragmenty Galla Anonima, czy Długosza. Na Wydziale Prawa mogą poznać koleje losu słynnych mówców i prawników starożytnych i przeczytać prostsze fragmenty ich dzieł. Program nauczania łaciny przez dziesięciolecia prawie się nie zmienił, chociaż trzeba było opracować nowe programy np. dla studentów studiów zaocznych i licencjatów. Zdecydowanie zmieniły się natomiast

metody i środki nauczania łaciny. Korzysta się dziś z nowoczesnych podręczników, w tym napisanych przez wykładowców Studium, jak np.: „Disce puer" Dariusza Gwisa, „Język łaciński dla anglistów" Jolanty Danka. Istnieje również możliwość poszerzania wiedzy poprzez oglądanie filmów tematycznych, słuchanie poezji łacińskiej recytowanej przez wybitnych aktorów.

Aby język, nazywany niesłusznie martwym, mógł stać się bardziej atrakcyjny dla studentów część zajęć przeznaczona zostaje na naukę prostego porozumiewania się po łacinie, przy stosowaniu podstawowych zwrotów i słownictwa. Kontynuacją tej formy nauki są obozy żywej łaciny organizowane od kilku lat podczas wakacji. Ostatnie – w Kamieniu Śląskim i Morawii koło Strzegomia – należały do bardzo udanych.

Studenci II-go roku filologii polskiej w czwartym semestrze nauki tłumaczą i czytają poezję Owidiusza, Wergiliusza, Horacego, Katullusa; uczą się fragmentów na pamięć a następnie piszą interpretacje. Mogą one mieć dowolną formę, a oceniają je i wybierają najlepsze, sami studenci. Pozwala to przekazać im szczere opinie na temat nauczania łaciny oraz wypowiedzieć swoje sądy o otaczającej rzeczywistości. Zmiany objęły inną formę zaliczeń. Mają one, podobnie jak w innych językach, formę pisemnego testu. Polega on na wyborze prawidłowej odpowiedzi, uzupełnienia zdania, wstawienia odpowiedniego zakończenia. Egzaminy są także zazwyczaj pisemne. Część pierwsza ma zwykle formę testu, część druga to tłumaczenie nowego tekstu, a trzecia – to zwroty i kultura antyczna.

Lektorzy Zespołu Języka Łacińskiego nie zamykają się w kręgu dydaktyki. Wielu z nich współpracuje z historykami, filologami, archeologami i prawnikami. We współpracy z nimi powstały liczne artykuły i książki jak Dariusza Gwisa: „Krakowskie mowy rektorskie" czy Jolanty Danka: „O wizycie króla Władysława IV w Radziejowicach". Lektorzy współorganizują także olimpiady języka łacińskiego dla uczniów liceum. Chociaż tylko nieliczne licea zachowały w programie łacinę, to każdego roku znajdują się licealiści, którzy chętnie uczestniczą w olimpiadach tego języka. Ostatnio jedno z liceów zdobyło się nawet na przedstawienie komedii Arystofanesa „Bachantki" – i było to zamierzenie bardzo udane.

Każdego roku grupa lektorów i studentów uczestniczy w seminariach i obozach żywej łaciny organizowanych przez międzynarodowe stowarzyszenia L.U.P.A. i ALF, które w 2003 odbędą się w Morawie i Wiedniu. Wszystko to świadczy o jednym – atrakcyjność i ranga łaciny stale rośnie.

Niemiecki

Zespół Lektorów Języka Niemieckiego, podobnie jak Studium Języków Obcych UŁ, działa od pięćdziesięciu lat. Germaniści, a właściwie w zdecydowanej większości germanistki, dzisiaj – 18 pań i tylko 2 przedstawicieli płci przeciwnej, nigdy nie byli najliczniejszym zespołem w Studium. Jednak od początku odgrywali istotną rolę w kształtowaniu oblicza całej placówki. Warto również zauważyć, że zespół przyczyniał

się do zmniejszenia dominacji języka rosyjskiego w stosunku do języków umożliwiających poznanie świata zachodniego. Lektorom – germanistom przypadła jeszcze jedna istotna rola – wraz z nauką języka wprowadzali studentów w świat kultury, tradycji i obyczajów dwóch państw niemieckich – Republiki Federalnej Niemiec i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nie zapominano oczywiście również o pozostałych państwach niemieckiego obszaru językowego, tzn. Austrii i Szwajcarii. Germaniści musieli wykazać się nie tylko świetnym przygotowaniem językowym, metodycznym i dydaktycznym, ale również dużymi umiejętnościami dyplomatycznymi, aby przez wiele lat, do roku 1989, umiejętnie przekazywać w miarę obiektywny obraz ludzi i krajów, których języka uczyli. Śmiało można powiedzieć, że znakomita większość zdała ten trudny egzamin z obiektywizmu na ocenę bardzo dobrą. Fakt ten z pewnością mogą potwierdzić zaprzyjaźnieni nauczyciele akademiccy z uczelni partnerskich w Gießen oraz Chemnitz (dawniej Karl-Marx-Stadt w NRD), uniwersytetów znajdujących się po obu stronach Łaby – rzeki, która do wybuchu „Europejskiej Jesieni Ludów", dzieliła dwa systemy polityczne i dwa państwa niemieckie.

Dowodem nowatorskich działań zespołu germanistów były również organizowane w Ujeździe w latach 1976-1989 przez Studium obozy języka niemieckiego dla studentów UŁ oraz pracowników central handlu zagranicznego. Wykładowcami byli na nich nauczyciele akademiccy z Gießen pod kierownictwem prof. Hansa- -Eberharda Piepho, zaś z Chemnitz często przybywał prof. Siegfried Weber ze swoimi uroczymi lektorkami. Zajęcia prowadzili oczywiście także polscy lektorzy języka niemieckiego. Niemały wkład w organizację obozów językowych wniósł obecny dyrektor Studium Języków Obcych mgr Stanisław Hibner. Z szacunkiem wspominani są związani z zajęciami w Ujeździe, nieżyjący już wybitni germaniści: mgr Irena Głębska oraz dr Zenon Rudnicki – dyrektor Studium do roku 1987, który był również zapalonym szachistą, jak również, o czym wiedzieli tylko nieliczni, świetnym rysownikiem – portrecistą.

Obozy w Ujeździe były swego rodzaju wolną wszechnicą. Po zajęciach przewidzianych programem rozmawiano często do bladego świtu na wszelkie możliwe tematy, nie pomijając trudnych problemów wynikających z wydarzeń nieodległej przeszłości. Tam też, długo przed zjednoczeniem Niemiec i podpisaniem stosownych traktatów o przyjaźni między Polską i Niemcami, rodziło się autentyczne porozumienie i pojednanie polsko – niemieckie. Omawiano także wspólne projekty działań kulturalnych, tam zrodził się pomysł popularnego w Europie i Polsce podręcznika do nauczania języka niemieckiego, a mianowicie „Themen" – nad projektem którego czuwał prof. Eberhard Piepho.

Rok 1989 został powitany przez lektorów języka niemieckiego z wielką radością i empatią dla Niemców ze Wschodu i Zachodu. To, o czym uczyli na zajęciach stawało się historią: upadł mur berliński, nastąpiło zjednoczenie Niemiec, nastawała normalność w stosunkach polsko-niemieckich. Cieszyli się że mieszkańcy NRD odzyskują wolność, liczyli że ich przyjaciele z zachodniej części Niemiec lepiej zrozumieją teraz nie-

dawną polską rzeczywistość. Bezpowrotnie skończyła się era przepełnionych ideologią, enerdowskich podręczników, które niestety z braku innych na polskim rynku, były wykorzystywane na zajęciach.

Germaniści Studium bardzo szybko potrafili znaleźć się w nowej sytuacji polityczno-ekonomicznej. Na horyzoncie pojawiło się magiczne słowo „certyfikat". Dzięki kontaktom dyrektora Hibnera zorganizowano konferencję na temat certyfikatów językowych. Wkrótce SJO UŁ stało się ogólnopolskim centrum egzaminów na certyfikaty językowe najpierw w ramach ICC (International Certificate Conference), a obecnie w ramach TELC (The European Language Certificates Communication & Competence). Współpraca z tymi organizacjami korzystnie oddziałała na jakość pracy Zespołu Lektorów Języka Niemieckiego, a później całego Studium. W nauczaniu języków obcych położono wielki nacisk na komunikację językową oraz nauczanie języków fachowych. Wielkim entuzjastą oraz jednym z autorów programu reform glottodydaktycznych był mgr Wojciech Bachliński – obecny kierownik Zespołu Lektorów Języka Niemieckiego. On także wraz z zespołem, wzorując się na egzaminach ICC, zainicjował egzaminy uniwersyteckie i certyfikaty z języka niemieckiego, które cieszą się nieustającym zainteresowaniem studentów UŁ.

Uhonorowaniem ostatnich 10 lat pracy w zakresie certyfikatów międzynarodowych była wizyta w UŁ Pani Rity Süssmuth – byłej przewodniczącej Bundestagu oraz obecnej przewodniczącej Związku Niemieckich Uniwersytetów Powszechnych. Przybyła ona do Łodzi 4 lutego 2003 r. na zaproszenie Rektora UŁ oraz władz łódzkich i wzięła udział w obchodach 10 rocznicy współpracy Studium Języków Obcych z International Certificate Conference oraz The European Language Cerficates & Competence.

Romańskie

Zespół języka francuskiego był zawsze najmniej liczny. Przewagę liczebną miały w nim panie, ale niemałą rolę odegrali panowie: mgr Lucjan Kowalski i dr Wiaczesław Nowikow. Dziś królują w nim wyłącznie panie. Oprócz języka francuskiego istnieje możliwość uczenia się języków hiszpańskiego i włoskiego. Dzięki temu każdy magister romanistyki w Polsce zdobywa podczas pięciu lat studiów znajomość dwóch języków romańskich w stopniu pozwalającym później na ich nauczanie.

Język hiszpański pojawił się w Studium Języków Obcych UŁ najwcześniej. Dr Wiaczesław Nowikow uczył go w latach osiemdziesiątych na Wydziale Ekonomiczno -Socjologicznym i zachęcił do nauki tego, w tamtym okresie „egzotycznego" języka wielu studentów handlu zagranicznego. W ramach tego lektoratu SJO organizowało również wakacyjne obozy językowe, które prowadził dr Wiaczesław Nowikow. Nauka trwała ponad 500 godzin i w takiej formie utrzymała się do zmian organizacyjnych na wydziale. Poza studentami, w ramach działalności dydaktycznej Studium, języka hiszpańskiego mogli się również uczyć pracownicy dydaktyczni. Pośród dzisiejszych profe-

sorów i doktorów habilitowanych znajduje się sporo osób, które władają językiem hiszpańskim. Po odejściu zasłużonego wykładowcy języka hiszpańskiego jego nauczanie w Instytucie Geografii i na Handlu Zagranicznym Wydziału Ekonomiczno – Socjologicznego przejęła mgr Joanna Janicka – Rostocka. Były to ostatnie lektoraty o tak dużym wymiarze godzin, które przetrwały prawie do połowy lat dziewięćdziesiątych. Obecnie języka hiszpańskiego można uczyć się na kierunku Geografii Turyzmu i Hotelarstwa, Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych oraz w Instytucie Anglistyki.

Język włoski pojawił się w zespole dość wcześnie, a jego inicjatorką była mgr Elżbieta Olszewska. Lektorat języka włoskiego prowadzony był na wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym już w latach osiemdziesiątych, potem na Wydziale Prawa. Lektorzy, a ściślej lektorki, tego języka często wyjeżdżały doskonalić swoje umiejętności do włoskich uniwersytetów. Lektorat włoskiego na stałe zadomowił się na Uniwersytecie Łódzkim za sprawą Zespołu Języków Romańskich. Obecnie lektoraty języka włoskiego prowadzone są głównie na Geografii Turyzmu i Hotelarstwa, Wydziale Filologicznym i na Wydziale Prawa.

Rosyjski

Zespół Lektorów Języka Rosyjskiego liczy 12 osób, zatrudnionych na stanowiskach starszych wykładowców. Zajęcia prowadzone są na wszystkich wydziałach Uniwersytetu Łódzkiego. Istnieją trzy poziomy nauczania: początkujący, średnio zaawansowany, zaawansowany. Lektorat obejmuje język ogólny oraz specjalistyczny, zgodny z kierunkiem studiów. Egzamin końcowy student może składać u lektora, przystąpić do programowego egzaminu uniwersyteckiego albo dwustopniowego Certyfikatu UŁ.

Zajęcia w ramach lektoratu języka rosyjskiego uległy radykalnej zmianie ze względu na zaistniałą sytuację geopolityczną, społeczną, kulturową a przede wszystkim ekonomiczną w krajach Wspólnoty Niepodległych Państw. Program nauczania języka rosyjskiego uwzględnia te przemiany. Szeroko wykorzystywany jest internet, prasa codzienna i specjalistyczna a także bogate materiały własne. Oferta łódzkiego rynku księgarskiego jest niestety, w porównaniu z takimi ośrodkami akademickimi jak Warszawa, Kraków, Katowice, Poznań, niezwykle skromna. Księgarze łódzcy nie są jednak specjalnie zainteresowani sprowadzaniem stamtąd właśnie podręczników do nauki języka rosyjskiego. O nowościach wydawniczych w tej sytuacji można dowiedzieć się dzięki kontaktom prywatnym.

Poza lektoratami istnieją kursy specjalistyczne z języka ogólnego – „Porogowyj urowień" – Państwowego Instytutu Języka Rosyjskiego im. Aleksandra S. Puszkina w Moskwie oraz kurs języka rosyjskiego w biznesie. Międzynarodowy Egzamin Certyfikacyjny – „Porogowyj urowień" – adresowany jest głównie do młodzieży szkół średnich przystępujących do egzaminu maturalnego z języka rosyjskiego. Posiadanie certyfikatu zwalnia w nowym systemie maturalnym ze zdawania egzaminu z języka ro-

syjskiego na poziomie podstawowym. Od siedmiu lat prowadzone są Studium Języków Obcych UŁ kursy specjalistyczne z języka rosyjskiego w biznesie, przygotowujące do Międzynarodowego Egzaminu Certyfikacyjnego – „Ruskij jazyk dielogowo obszczienia. Biznies i kommercia. Srednij urowień." („Język rosyjski w biznesie. Poziom średnio zaawansowany"). Firmuje je Państwowy Instytut Języka Rosyjskiego im. A. S. Puszkina i Izba Przemysłowo – Handlowa Federacji Rosyjskiej. W Polsce pierwsza sesja egzaminacyjna odbyła się w 1996 r., a jedyny student UŁ, który po kursie przygotowawczym przystąpił do egzaminu, zdał go na ocenę: „celujący".

Egzamin składa się z 8 części. Egzamin ustny zawiera tematy: prowadzenie negocjacji, prezentacje, konferencja prasowa, rozwiązywanie problemów w firmie, opracowywanie strategii przedsiębiorstwa, badania marketingowe, logistyka, operacje bankowe, załatwianie kredytu, organizacja targów, roszczenia ubezpieczeniowe itd. Test z umiejętności czytania tekstów ze zrozumieniem obejmuje: korespondencję handlową, reklamę, pisma urzędowe, dekrety, dokumenty założycielskie firm, ustawy, instrukcje techniczne, materiały publicystyczne. Test z rozumienia mowy ze słuchu wymaga poradzenia sobie z ogłoszeniami reklamowymi, kroniką gospodarczą, negocjacjami prowadzonymi telefoniczne. W teście ze sprawności sporządzania dokumentacji poradzić sobie trzeba z listami handlowymi, elementami biznes – planu i pracy na autentycznych dokumentach bankowych, handlowych i celnych.

Wszystkie elementy egzaminu są opracowywane na podstawie autentycznych rosyjskich materiałów biznesowych. Komisja egzaminacyjna na miejscu ocenia wypowiedzi ustne, natomiast prace pisemne sprawdza się i ustala wyniki w Moskwie. Do chwili obecnej do egzaminu przystąpiło 97 osób /1996 – 1; 1997 – 6, 1998 – 8, 1997 – 17; 2000 – 13; 2001 – 22; 2002 – 11 i w 2003 r. – 19 osób/. Jak z tego widać zajęcia kursu cieszą się stałym zainteresowaniem studentów.

Redakcja „KRONIKI" serdecznie dziękuje za przekazane informacje:
Panu Wojciechowi Bachlińskiemu - kierownikowi Zespołu Lektorów Języka Niemieckiego;
Pani Jolancie Danka - kierownikowi Zespołu Lektorów Języka Łacińskiego;
Pani Annie Krymarys - starszemu wykładowcy Studium Języków Obcych,
Panu Leszkowi Podbielskiemu - zastępcy dyrektora Studium Języków Obcych;
Pani Joannie Janickiej-Rostockiej - kierownikowi Zespołu Lektorów Języków Romańskich;
Pani Małgorzacie Trafalskiej - kierownikowi Zespołu Lektorów Języka Rosyjskiego

Materiał opracował:
Mieczysław Gumola

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Podziemne ciepło ogrzeje Politechnikę

Odnawialne źródła energii

Wkrótce na terenie Politechniki Łódzkiej zostanie wywiercony otwór o głębokości 4 kilometrów. Nie będzie to wyraz ekstrawagancji, ale całkiem poważny eksperyment, który na dodatek może okazać się bardzo intratny. Dotarcie do źródeł gorącej wody pozwoli określić temperaturę i wydajność wody w zależności od głębokości otworu.

– Jeśli wyniki wypadną pozytywnie będzie można – mówi rektor uczelni: prof. dr hab. Jan Krysiński – zbudować na terenie Politechniki pierwszą w tym regionie elektrociepłownię geotermalną.

Tym spośród Czytelników, którzy nie pamiętają struktury budowy Ziemi przypomnę, że w wyniku pozostałości po procesie formowania się planety, oraz naturalnego rozkładu pierwiastków promieniotwórczych jej wnętrze jest gorące. Sto kilometrów pod powierzchnią Ziemi temperatura sięga ok. 930°C.

W wyniku ogrzewania wód podziemnych przez magmę lub gorące skały powstają wody geotermalne. Temperatura wód zmienia się wraz z głębokością. Ten przyrost temperatury zwany stopniem geotermicznym jest odmienny dla różnych regionów geograficznych.

Wody geotermalne występują już na głębokości kilku kilometrów pod powierzchnią, praktycznie w każdym miejscu na kuli ziemskiej i uważane są za jedno z odnawialnych źródeł energii. Ciągle zbyt słabo wykorzystywanej.

Pojęcie „energia odnawialna", jak samo słowo wskazuje, to rodzaj energii, która może być wykorzystywana wielokrotnie, a jej zapasy nie ulegną zniszczeniu. I tak też się dzieje. Woda po oddaniu ciepła w tzw. „wymienniku ciepła" w zakładzie geotermalnym, zostaje wtłoczona z powrotem pod ziemię. Przy czym tempo wydobycia i obniżania temperatury podziemnego zbiornika nie powinno przekraczać szybkości ponownego ogrzania się wody we wnętrzu Ziemi. Taki warunek można spełnić tylko w przypadku wód o bardzo wysokiej temperaturze.

– Elektrociepłowania geotermalna – kontynuuje rektor Jan Krysiński- o mocy 12 MW przy temperaturze 110°C i wydajności 200 m^3 na godzinę, zapewniłaby ciepło całemu campusowi Politechniki od ulicy Wróblewskiego do ul. ks. Skorupki. W lecie część energii elektrycznej o mocy 1 MW przekazywalibyśmy do sieci. Projekt inwestycji po-

wstał w Instytucie Maszyn Przepływowych Politechniki. Instytut ten będzie również koordynował całość prac nad budową. Obecnie uczelnia oczekuje na zgodę władz administracyjnych Łodzi na lokalizację elektrociepłowni, potem przystąpimy do opracowania dokumentacji wierceń i pierwszych drążeń. Przedsięwzięcie finansowane będzie z dotacji Unii Europejskiej, przy wsparciu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Eko Funduszu.

Poszukajmy zatem odpowiedzi na pytanie, co zmusza sztaby specjalistów i polityków do wynajdywania odnawialnych źródeł energii?

Po pierwsze postęp techniczny w XX wieku spowodował ogromny wzrost zapotrzebowania na energię wytwarzaną w oparciu o klasyczne paliwa kopalne: ropę naftową, węgiel kamienny i brunatny, oraz gaz ziemny. Spowodowało to stopniowe wyczerpywanie się zasobów tych paliw, zwłaszcza ropy naftowej. Tymczasem zapotrzebowanie na energię elektryczną, według szacunków specjalistów, będzie wzrastało.

Tylko w Polsce, według obliczeń do roku 2010, popyt na energię elektryczną wzrośnie o 10 % w porównaniu do roku 1995.

Po drugie przetwarzanie tradycyjnych paliw powoduje emisję do atmosfery znacznych ilości pyłów, związków siarki i dwutlenku węgla, co wpływa na degradację środowiska naturalnego, którego ochrona stała się najważniejszym problemem współczesnego świata. Sytuację mogą uzdrowić właśnie odnawialne źródła energii (skrócie OZE). Nie bez znaczenia, w poszukiwaniu najtańszych sposobów wytwarzania energii są czynniki ekonomiczne. Prawdą jest, że początkowe nakłady na budowę zakładów OZE są znaczne, jednak koszty te dość szybko się zwracają.

Po trzecie współczesna gospodarka stanowi system naczyń połączonych i należy uwzględnić transport znacznych ilości energii na duże odległości. Za prof. dr hab. Januszem Skierskim i dr inż. Andrzejem Oziemski z Instytutu Elektroenergetyki powtórzę, że: *„ Pojawia się celowość nowego spojrzenia na przyszłość wielkich systemów energetycznych, które w XXI wieku będą prawdopodobnie scalać znaczne obszary, tzn.: obie Ameryki, Europę z Afryką i z wyodrębnioną częścią Azji".*

Wróćmy jednak na rodzimy teren i dokonajmy przeglądu istniejących placówek wykorzystujących OZE. Otóż zużycie energii pochodzącej ze źródeł odnawialnych jest niewielkie i wynosi, według oficjalnych statystyk, około 1,5 % zapotrzebowania na energie pierwotną. [0] Nie mniej mamy już w Polsce 7 ciepłowni wykorzystujących słomę (mocy 500 kW. każda), wiele kotłów w domach i wiejskich gospodarstwach domowych, 40 nowoczesnych instalacji produkujących ciepło z drewna, głównie na potrzeby przemysłu drzewnego. W Gorzowie Wielkopolskim działa ciepłownia wykorzystująca trociny o mocy 1,2 MW, a w Otwocku k/ Warszawy – zrębki, o wartości nominalnej 150 kW.

Mamy już elektrownie i elektrociepłownie wykorzystujące gaz z fermentacji osadów ściekowych. Znajdują się w Bielsku- Białej, w Częstochowie, Sosnowcu, Olsztynie i Za-

mościu. Pojedyncze gospodarstwa rolne produkują i użytkują gaz z fermentacji odchodów zwierzęcych do pozyskania energii cieplnej.

W Polsce działa również 15 instalacji przetwarzających gaz wysypiskowy na energię elektryczną. Znajdują się w Olsztynie, Gdańsku, Toruniu, Bydgoszczy, Grudziądzu, Koszalinie, Poznaniu i Krakowie.

Znacznie więcej posiadamy siłowni wiatrowych, ze względów klimatycznych usytuowanych na północy kraju, nad Bałtykiem oraz na południu, w Rytrze (nowosądeckie) i w Zawoi (bielskie). Przeciętnie mają moc 160 kW. Zainteresowanie tymi elektrowniami jest bardzo duże, wiele jest w budowie lub na etapie projektów.

Według najnowszych informacji jedna z większych elektrowni wiatrowych zostanie założona w Kamieńsku pod Belchatowem. Przez lata z ziemi odrzucanej przy wydobywaniu węgla brunatnego powstało wzgórze o wysokości 400 m. n. p. m. Siła wiatru na samym szczycie wynosi 8 m/sek., co stwarza korzystne warunki dla takiej inwestycji. Elektrownię Wiatrową „Kamieńsk" założyły: Elektrownia „Bełchatów", Polskie Sieci Energetyczne, oraz spółka Energetyka i Technika Grzewcza. Wkrótce zostanie ogłoszony przetarg na dostawę wiatraków.

Kompleks elektrowni wiatrowej składał się będzie z 15 wiatraków. Pierwszy powinien stanąć na wzgórzu już w marcu 2004 roku.

Optymistycznie wygląda liczba 296 małych, prywatnych elektrowni wodnych oraz 106 dużych będących własnością zakładów energetycznych.

Natomiast czynne zakłady geotermalne mamy zaledwie 3: w Pyrzycach k/ Szczecina, w Bańskiej Niżnej k/ Zakopanego i w Mszczonowie k /Warszawy. Łódzka elektrociepłowania na terenie Politechniki byłaby więc czwartą w kraju.

Siedem uzdrowisk używa ciepłych źródeł dla celów balneologicznych: Ciechocinek, Ustroń, Lądek Zdrój, Duszniki, Zakopane, Konstancin i Cieplice. Najbardziej rozwinięta jest sieć odbiorców ciepła ze źródeł geotermalnych na Podhalu, co ma ogromne znaczenie dla ochrony przyrody w tym regionie.

Istnieją plany wykorzystania wód termalnych w Uniejowie, Czarnkowie, Kole i Poddębicach, oraz w Sierniewicach, Żyrardowie i w Stargardzie Szczecińskim.

Chcąc pozyskiwać i wykorzystywać energię z naturalnych źródeł, nie można pominąć energii słonecznej, która może być przetwarzana na prąd i ciepło przez instalacje montowane na dachach budynków.

W naszych warunkach geograficznych korzystanie z takiej energii jest możliwe od kwietnia do września. Do 1993 r. zainstalowano ponad 1000 m^2 wodnych kolektorów słonecznych, w latach 1994-98 przybyło 10 000 m^2 kolektorów wodnych i 6000 m^2 kolektorów powietrznych. Dużą instalację do podgrzewania wody wybudowano w Zakładzie Doświadczalnym Hodowli Bydła w Poznaniu- Strzeszynie, do ogrzewania basenu pływackiego w Wyższej Oficerskiej Szkole Inżynieryjnej we Wrocławiu i do ogrzewania Szpitala Miejskiego w Gostyninie. Lepsze wyniki ekonomiczne przynosi zastosowanie

kolektorów słonecznych do celów suszarniczych np. ziół, i grzybów.

Natomiast ogniwa fotowoltaniczne znalazły zastosowanie w urządzeniach nawigacyjnych na Morzu Bałtyckim, gdzie umieszczono ok. 160 instalacji.

Długoterminowe prognozy przewidują, iż w II połowie XXI w. odnawialne źródła energii będą pokrywać od 60 do 80 procent całkowitego zapotrzebowania na energię. Wspieranie rozwoju OZE jest jednym z celów polityki Unii Europejskiej. Biała Księga Komisji Europejskiej opublikowana w 1997 r. uznała strategię rozwoju OZE w krajach Unii Europejskiej za podstawę działań, a Parlament Europejski przyjął w 2001 r. Dyrektywę 2001/77/EC w sprawie promocji na rynku wewnętrznym energii elektrycznej pochodzącej ze źródeł odtworzeniowych. Oprócz unormowań prawnych Unia przeznaczyła 7 mld. euro ze środków publicznych na dofinansowanie wdrożeń technologii OZE.

W Polsce na uwagę zasługuje dokument „Strategia rozwoju energetyki odnawialnej" przyjęty przez Radę Ministrów 5 września 2000 r. dr inż.. Tomasz Kotlicki z Instytutu Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej uważa ten dokument za nowatorski, gdyż określa cele rozwoju OZE do roku 2020 i realnie ocenia osiągnięcie tych planów na podstawie trzech scenariuszy.

Scenariusz pierwszy, który zakłada 7,5 % udział energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych do roku 2010 jest najbardziej prawdopodobny.

Na korzyści wynikające z budowy elektrociepłowni geotermalnej- należy spojrzeć w szerszym kontekście – stwierdza prof. dr hab. Jan Krysiński.

Nie do podważenia są oszczędności, jakie po pewnym czasie przyniesie ta inwestycja Politechnice i miastu.

Któż jednak dzisiaj powie, ile zyska z jej powodu środowisko naturalne, czego następstwem będzie m. in. poprawa stanu zdrowia łodzian. Te efekty są bezcenne.

Przed podjęciem jakiejkolwiek decyzji technicznej należy dzisiaj odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania: czy podejmowane inwestycje będą służyć przyszłym pokoleniom i czy zagrażają, czy chronią otoczenie?

W przypadku elektrociepłowni geotermalnej – odpowiedzi są pozytywne.

Małgorzata Golicka-Jabłońska

kultura

„... prawda jest w sztuce zdarzeniem subiektywnym."
Cezarego Bodzianowskiego na okoliczność praktyki artystycznej przepytał Marek Strąkowski
str. 47

Rio-de-la-plajta „Ziemi Obiecanej"
Początki życia teatralnego Łodzi.
Agata Skrzypek
str. 53

Od Gozziego do Moliera
Jacek Woszczerowicz na łódzkich scenach
Grażyna Kompel
str. 59

Najwybitniejsze filmy faktu powstawały w Łodzi
Wytwórnia Filmów Oświatowych
Darek Kędzierski
str. 68

Wehikuł do Europy
II Festiwal Dialogu Czterech Kultur
Danuta K. Gruszczyńska
str. 76

„... prawda jest w sztuce zdarzeniem subiektywnym"

Cezarego Bodzianowskiego na okoliczność praktyki artystycznej przepytał Marek Strąkowski

kultura

Marek Strąkowski:
Jaka jest definicja uprawianej przez Pana sztuki?

Cezary Bodzianowski:
Nie chcę bezwarunkowo przypisać tego, co robię, jakiemuś konkretnemu prądowi czy nurtowi w sztuce współczesnej. Unikam kategorycznych i jednoznacznych interpretacji. Moim zamiarem jest przekraczanie granic definicji. Swoje działania artystyczne nazywam ZDARZENIAMI. Chcę, żeby była to neutralna i otwarta plastycznie ingerencja w przestrzeni. Takie terminy jak akcja, happening, performance są, moim zdaniem, przestarzałe w formie.

Czy można zobiektywizować funkcję sztuki nowoczesnej?

Nie wiem, czy jest jakaś funkcja, która stanowiłaby wypadkową wszystkich obecnych w dzisiejszej sztuce założeń i zagadnień artystycznych. Odwołam się więc do osobistego – w tej materii – doświadczenia.
Moje indywidualne potrzeby i inspiracje spowodowały, że sztuka którą się zajmuję nie znajduje dla siebie miejsca w galeriach. Nie jest dość reprezentatywna dla działalności placówek wystawienniczych.
A mnie męczy działanie w galerii. Nie podoba mi się białość tych ścian i schematyczność

oczekiwań widza. Założenie, że w takim miejscu musi zdarzyć się sztuka, jest z gruntu fałszywe. A przeświadczenie obcowania ze sztuką może okazać się tylko społecznym konwenansem, zorganizowanym ruchem społecznym. Ten sam problem artystyczny postawiony w innym miejscu – poza anturażem galerii – np.: na ulicy, w sklepie, na dworcu istnieje samodzielnie. Staje on wtedy na granicy przypadku, na granicy wypadku, na granicy zdarzenia. I właśnie poprzez to zdarzenie jest wielorako interpretowany, o wiele dosadniej niż byłby poddany interpretacji w galerii. Dla kogoś będzie to absolutny wygłup, dla drugiej osoby – powód do zastanowienia się, dla jeszcze innej będzie to czysta sztuka. Mając do dyspozycji tak wielki wachlarz potencjalnego odbiorcy, wybieram ten właśnie sposób prezentowania sztuki.

Z czego bierze Pan inspiracje?

Poezja, ruch wokół mnie się toczący, nurt rzeki, przechodzący ludzie, zagubione baloniki, przystanki tramwajowe. Wszystkie skojarzenia rzeczywiste i abstrakcyjne przetwarzam w konstrukcje estetyczne. Z tych zestawień powstaje decyzja. Może ona być bardzo odległa, jeżeli chodzi o czas jej realizacji, ale zawsze jest inspirująca do powstania całkiem nowej treści, gdzieś indziej. To rodzaj „trójkąta bermudzkiego", w którym giną przeróżne rzeczy nie powiązane ze sobą. Nie wiemy jak znikają i co to powoduje. Zdajemy sobie jednak sprawę, że jest tam jakaś moc tajemna, jakaś energia, jakaś potencja. Tak jest i w moim przypadku.
Czekam, aż zadziała jakaś siła, która sprawi że wychynie z tej otchłani doświadczeń i przeżyć coś, co da mi inspirację, co stanie się demiurgiem, co będzie arche. Bo podświadomość istnienia rzeczy niewidzialnych i słyszenia głosów niemych jest każdemu artyście niezbędnie konieczna.

Ile da się wyrazić poezją w malarstwie?

Bardzo dużo. Prawie wszystko. Poezja jest w moim przypadku nieodzownym elementem sztuki i motorem wszelkiego działania. Jeżeli miałbym określić proporcję takiej zależności, zrobiłbym to z stosunku 1: 1.

W jaki sposób studia w Antwerpii wpłynęły na tę „praktykę artystyczną"?

Od samego początku fascynowało mnie malarstwo. Zarówno w Warszawie, gdzie rozpocząłem studia, jak i później w Antwerpii, przez cały czas zajmowałem się malarstwem. Wobec tego kontakt z kolorem, z farbą, z płótnem był mi niczym skóra. Celowo używam tutaj porównania z wężem i jego naturalną przypadłością do zrzucania skóry. Bowiem bez

względu na to, który raz wąż linieje, jego ubarwienie zawsze pozostaje takie samo. Tworzy się taki sam wzór na jego grzbiecie. Jest to w pełni uprawniona analogia do mojej artystycznej fluktuacji. I nie po to szukam nowych rozwiązań estetycznych, aby malarstwo definitywnie odrzucić. Jest ono immanentnym elementem mojej konstrukcji jako twórcy. Cały czas czuję się malarzem. Używam koloru, kompozycji, przestrzeni, poważnie aranżuję swoje wszystkie działania. Przestrzegam przy tym wszystkich dyscyplin malarskich – łącznie z porą dnia. Robię rzeczy do obejrzenia, których nie można powiesić na ścianie. Podaję rzeczywistość w nowej kombinacji po to, aby widz przetworzył moją sztukę wedle uznania, w zgodzie z własną wrażliwością, poczuciem smaku, odpornością psychosomatyczną, potrzebą refleksji. Tak jak w tradycyjnym malarstwie mamy do czynienia z obrazem wiszącym na ścianie, który jest tylko płótnem, kwadratem, tak w przypadku ZDARZENIA musimy się zmierzyć z sytuacją odwrotną, można powiedzieć nowocześnie – wirtualną. Te same standardy – nastrój, kolor, światłocień, czas – to, co w obrazie jest bardzo ważne występuje i tutaj, i trzeba z tym coś zrobić. Jeden zrobi z tego kapelusz, drugi rękawiczkę, a trzeci przejdzie obojętnie, wyrzuci do śmieci jako zbędną informację, zbędny przedmiot użytku, użytku mentalnego, oczywiście.

Jak powstaje taka sztuka?

Antycypuję zdarzenia i wykorzystuję je w swoich działaniach artystycznych. Kiedyś każde takie przeżycie, bądź doświadczenie musi zatrząść moją podświadomością, by stać się sztuką właśnie.

Czy ZDARZENIA są manifestacją artystyczną czy estetyczną?

I jedną i drugą. Byłoby bardzo kaleczące, gdyby oddzielić twórcę od tworzywa.

Co jest zdarzeniem?

Wszystko jest zdarzeniem. Człowiek stanowi naturalizację zdarzenia artystycznego. Prawda również jest zdarzeniem, choć w sztuce jest zdarzeniem subiektywnym.

Jakim materiałem dla współczesnej sztuki jest człowiek?

Powinien być najważniejszym. Boję się, że koniec świata nastąpi wtedy, gdy sztuka przestanie zajmować się człowiekiem. Człowiek odhumanizowany będzie mógł wtedy powiedzieć do innego człowieka – z którym będzie prawdopodobnie oglądał interaktywną telewizję – my roboty nie mamy nic do roboty. Nie twierdzę, że postęp technologiczny jest przyczyną wszelkiego zła. Tą przyczyną jest jak zawsze sam człowiek i jego ludzkie niedoskonałości i ich nadużycia. Urządzenia techniczne w służbie człowieka! – nigdy od-

wrotnie.

Czy Pana działalność w zakresie akcji artystycznych ma jakiś aspekt społeczny?

Myślę, że nie. Ma absolutnie czysto estetyczny wymiar. Nie jest moim zamiarem kulturowa resocjalizacja społeczeństwa

To może traktować te wystąpienia w kategoriach społecznej interwencji?

Zauważyłem, że tak są odbierane. Nie interweniuję społecznie i nie jest to dla mnie żadnym bodźcem do działania. Nie biorę tego w ogóle pod uwagę. To jest przypadkowy efekt. Powiedziałbym nawet, że jest to reinterpretacja dokonań artysty.

Akcja performance nie jest więc dla Pana procesem społecznym, tylko indywidualnym, artystycznym wystąpieniem.

Tak jest.

Ale zgadza się Pan, że sztuka poprzez działanie w przestrzeni miejskiej staje się społeczna?

Tak.

Michelangelo Pistoletto, włoski artysta performer twierdzi, że ludzie muszą brać udział w procesie twórczym, tzw. interakcjach. Czy zgadza się Pan z tą opinią?

Nie do końca. Wydaje mi się, że jest to proces bardzo ograniczony i bardzo niesforny obszar artystycznego poruszania się. To, że widz powinien brać czynny udział w powstawaniu sztuki, możemy sobie tylko założyć. Ale to, czy on weźmie, i w jaki sposób to zrobi, to już jest kwestia interpretacji samego artysty.
Przeprowadziłem kiedyś ZDARZENIE w Pasażu Rubinsteina. Wróżyłem z dłoni. Bez żadnych konsekwencji dawałem nadzieję. Współuczestnictwo w tym przedsięwzięciu oparte było na jakimś porozumieniu między dawcą i biorcą, na wspólnych potrzebach, choć skierowanych w przeciwnym kierunku. I na dowolnej, indywidualnej interpretacji

Czy jest jakieś kryterium akcji performance?

Dla specjalistów na pewno tak. Dla mnie nie.

Istnieje teoria mówiąca, że performance jest z założenia walką z artystycznymi i społecznymi ograniczeniami środków wyrazu i sposobem ich wykorzystania.
Słyszałem od kolegów artystów, że tak właśnie jest.

Czy jest jakaś figura estetyczna, która w sposób pełny definiowałaby Pana działania artystyczne?

To jest bardzo ciekawe pytanie, gdyż bardzo lubię figury geometryczne wszelakiego kształtu i obrotu. Myślę, że taką figurą mogłaby być chyba tylko Droga Mleczna.

Zrezygnował Pan z konwencjonalnej realizacji artystycznej – po co?

Gdyż dla mnie była niewystarczająca – tak lakonicznie mówiąc – i nie dawała mi żadnej satysfakcji. Jest to typowa sytuacja dla wielu artystów. Wielki mistrz Michał Anioł powiedział tworząc swoje rzeźby, że aby rzeźbić trzeba odejmować. Biorąc każdy problem pod lupę swojej percepcji powinno się go oczyścić ze wszystkich niepotrzebnych elementów. W wyniku odrzuceń, których dokonałem, doszedłem do tej formy w której teraz jestem – i to wystarczy. Prawdopodobnie jest to cały czas sytuacja niekończącej się pracy i ciągłych prób odrzucania i oczyszczania, aż do formy przekazania „czystej myśli". Jest to bardzo trudne, abstrakcyjne i czasem wręcz graniczące z niemożliwością, niemniej staram się to zadanie chętnie wykonać.

Co decyduje o wyborze przez Pana środków do prezentowania swojej twórczości artystycznej?

Jest to ściśle związane z miejscem i z chwilą, w której rzecz się dzieje. Staram się wykorzystywać wszystkie atrybuty przestrzeni (np. zapach, światło, klimat). Jest w tym wymóg ciągłego dopasowywania. Nieustannego wymyślania nowego „zapachu" na miejscu.

Czyli sztuka jest zależna od miejsca, w którym powstaje.

W moim przypadku – w tym przypadku – tak.

Czy Pana sztuka poza duchem miejsca wyraża jeszcze ducha czasów?

Zeitgeist w sztuce wciąż występuje. Porusza się po jej strefach granicznych i rzuca na całą sztukę cień. Zadaniem artysty jest, za wszelką cenę, wyjść z cienia. Tylko to, co jest poza czasem rzeczywistym, jest jego duchem.

W Pana pracach wyraźne są idee konceptualizmu. Czy one tam są rzeczywiście?

Nigdy nie użyłbym słowa „konceptualizm" w odniesieniu do formuły mojej sztuki. Z tym pojęciem wiąże się określony element interpretacyjny, który nie oddaje charakteru i specyfiki moich działań. Chociaż, muszę przyznać, że słyszę właśnie takie konotacje dotyczące moich prac. I znowu jest problem, bo ja nie lubię tych uproszczeń. Wobec tego zaprzeczę.

Pana działalność artystyczna występuje na wielu płaszczyznach kreacji. Czy podlega równomiernej ewolucji na wszystkich z nich?

Tak, w procesie sukcesywnych, cyklicznych zmian.

Jaki był cel wystawy zorganizowanej przed dwoma laty w pomieszczeniach biurowych Muzeum Sztuki? Nosiła ona tytuł „Atrament Sympatyczny", prezentowała zaś dzieła kuriozalne - „obrazy pisane"- płótna pozbawione tradycyjnej struktury malarskiej.

Cel był taki sam jak w przypadku tradycyjnej wystawy. Dla mnie nie ma pomieszczeń nie nadających się do prezentowania sztuki. To jest sztucznie stworzony, nienaturalny podział. W tych pokojach również można obcować ze sztuką. Tylko trzeba ją tam zanieść. Pracownicy biurowi to ludzie o ogromnych możliwościach przetwarzania informacji. Zamiast więc mówić, przy trzeciej kawie, o pękniętej rurze, stwarza się im możliwość zmiany tematu. Mogą pogadać o sztuce. Bo wierzę, że to co wiedzą urzędnicy, wykracza daleko poza możliwości pozyskania wiedzy podczas oglądania wystawy w galerii. Stąd mój pomysł, aby tam zrobić ekspozycję swoich prac.

Czyli jednak na jakimś odbiorze społecznym, jakiejś interakcji Panu zależy.

W przypadku tej wystawy zależało mi na tej interakcji.

Wyraża się tym jakiś bunt?

Bunt konstruktywny.

Czy na potrzeby współczesnego odbiorcy można manipulować sztuką?

Jedynym manipulatorem zawsze jest artysta. Wszelkie działania prowadzące do wzbudzenia zainteresowania twórcą bądź jego produktami, wykreowaniem go przez media, organizowane przez osoby drugie i trzecie są w swej istocie li-tylko propagandą, przez wielkie P. Coraz częściej wszystkie działania poza-artystyczne pozornie związane ze sztuką to wielka bzdura i wierutne kłamstwo.

Tłumaczy się to zjawiskiem znanym pod nazwą „dyktatura widza"?

Słyszę, że jest coś takiego. Nie spotkałem się z tym, na szczęście. Gdybym się jednak spotkał, to zaśmiałbym się szczerze.

Czy kontestacja może występować bez prowokacji artystycznej?

Myślę, że tak. Jest to podobne uczucie jak po zjedzeniu czterech pizz i rozłożeniu się na sofie, bez siły włączania telewizora.

Czym jest dzisiaj awangarda w sztukach plastycznych?

Nie wiem. Niewielu wie, a wielu kłamie, że wie.

Czy postulat, że sztuka ma pomagać w trudnych czasach jest wciąż aktualny?

Pisarze do pióra, studenci do nauki, malarze do pędzla. Coś w tym jest!

Ile dzisiaj kosztuje nonkonformizm – w sztuce rzecz jasna?

W sztuce nie kosztuje nic. W życiu kosztuje znacznie więcej.

Cezary Bodzianowski – absolwent Królewskiej Akademii Sztuk Plastycznych w Antwerpii. Niekonwencjonalny twórca artystycznych akcji ulicznych.
Mówi o sobie: „artysta współczesny. „ Mieszka i pracuje w Łodzi.
Od stycznia do września 2003 roku przeprowadził w Łodzi szereg publicznych wystąpień artystycznych:
1. Marzec i kwiecień – LAIK OPTYK – zdarzenie w bankomatach.
2. Maj – BEZKRWAWE ŁOWY – zdarzenie w łódzkim ZOO.
3. Lipiec – O ŻEBRACH – zdarzenie w okolicach Centralu.
4. Sierpień – MIEDŹ CZY BYĆ – zdarzenie na ulicy Piotrkowskiej.
Do końca roku planuje jeszcze kilka zdarzeń.

Rio-de-la-plajta „Ziemi Obiecanej"

Początki życia teatralnego w Łodzi

„Tłumy ludzi szły do teatru.
Powóz za powozem zajeżdżał przed hotelową bramę i wyrzucał ciężkich, przeważnie opasłych mężczyzn i bardzo wystrojone kobiety, które pootulane szły pod parasolami (...). Borowiecki wstał i odwrócony twarzą do sali zapełnionej od góry do dołu najlepszą, na jaką było stać Łódź, publicznością, przyglądał się uważnie (...).
Stał spokojnie pod ogniem lornetek i spojrzeń, jakie w niego uderzały ze wszystkich stron teatru, który wrzał niby ul świeżo osadzonym rojem."
Ten zapis gorącej przedspektaklowej atmosfery znajdujemy w Ziemi Obiecanej Władysława Reymonta, książki która posłuży nam za przewodnik w odkrywaniu teatralnej atmosfery tamtych czasów.
Podobnie oblegane przedstawienia w Łodzi u schyłku XIX wieku istotnie się zdarzały, należały jednak do rzadkości. Zasadniczo teatry „Ziemi Obiecanej" nie cieszyły się popularnością, przez krytyków nazywane „wątłą roślinką", „widmem piękna", posądzane o zbędność i bezużyteczność regularnie ogłaszały bankructwo. Niewątpliwie decydujący wpływ na owe niepowodzenia miał specyficzny charakter ówczesnej wielonarodowej społeczności dorobkiewiczów – „My wszyscy jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić geszeft, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi pieniądze jak może i umie" – stwierdza Reymontowski Moryc, zaś z dziewiętnastowiecznych gazet dowiadujemy się, iż „nie ma w Polsce miasta tak mało towarzyskiego jak Łódź", nie rozwinęła się tutaj tradycja spotkań w domach i salonach prywatnych, infrastruktura kulturalna nie była również nazbyt bogata, co więcej, kolejni dyrektorzy sceny polskiej przez cały czas borykali się z silną konkurencją teatru niemieckiego oraz prężnych scen żydowskich.

Melpomena, a właściwie Talia – tragedii wtedy raczej nie grywano, królowały komedia, farsa i melodramat – do Łodzi, dwudziestotysięcznego wówczas miasta, zawitała po raz pierwszy w 1844 roku. Był to wędrowny zespół Ignacego Marzantowicza, który występując w szopie zajazdu na rogu ulicy Zgierskiej i Placu Kościelnego (w obrębie starej Łodzi czyli Starego Miasta) wystawił melodramat *Kobieta z gminu*, autorstwa Adolpha Philippe`a Dennery i Juliena Malliana. Sztuka podobała się bardzo, jedna

str.2 Rio-de-la-plajta „Ziemi Obiecanej"
Polski Teatr „Victoria", ul. Piotrkowska 67, dziś kino „Polonia", foto: M.S.

z rozentuzjazmowanych łodzianek „przejęta sytuacją, w której <<czarny charakter>> nikczemnej dopuszcza się zbrodni, tak dalece się zapomniała, że rzuciła kłębkiem bawełny w Fijałkowskiego, grającego rolę zbrodniarza, wołając:
- Masz łotrze!"
Od tej pory Łódź „stała się miastem teatralnym, do którego dyrektorzy prowincjonalni częściej zajeżdżać zaczęli".
Za początek sceny polskiej uznaje się jednak dopiero rok 1888, kiedy to Łucjan Kościelecki, sekretarz redakcji „Dziennika Łodzkiego" zainaugurował powstanie stałego teatru wystawiając *Małżeństwo Apfel* Zalewskiego. Wybór sztuki świadczy o dobrej znajomości stosunków społecznych, wszak zdecydowaną większość ówczesnej widowni stanowiła spolonizowana już nieco inteligencja żydowska. Kiedy jeden z wcześniejszych antreprenerów, nie bacząc na ostrzeżenia, dał przedstawienie w dzień otwarcia nowej synagogi, aktorzy zmuszeni byli grać dla prawie pustej sali.
Kościelecki rozpoczynał swoją działalność w atmosferze sukcesu, cieszył się poparciem przemysłowców i kupców z Karolem Scheiblerem i Maurycym Poznańskim na czele. Jego siedzibą był gmach wybudowanego już jedenaście lat wcześniej (w roku 1877) teatru przy hotelu Victoria (na ulicy Piotrkowskiej 67), ten sam do którego tak licznie stawili się bohaterowie Ziemi Obiecanej. Jednak mimo doborowego zespołu, interesującego repertuaru (oprócz dramatów wystawiał też operetki), starannej oprawy scenicznej, zainteresowanie nowo otwartym teatrem minęło już po paru pierwszych miesiącach, zaś Kościelecki po zamknięciu drugiego sezonu swej działalności „dołożył kilka tysięcy rubli do stałego teatru i wyjechał bez butów" – donosił „Goniec Łódzki".
Nie lepiej wiodło się jego następcy, Karolowi Kopczewskiemu w sezonie 1890-1891. Również jego dyrekcja skończyła się sromotną plajtą – pozostawił teatr z deficytem w wysokości dwunastu tysięcy rubli. Publiczność łódzka była nie tyle trudna, co nieprzewidywalna, o czym dotkliwie przekonał się właśnie Kopczewski, który nie porzucił przecież teatru bez walki. Aby pokryć deficyt zaangażował samą Helenę Modrzejewską, bawiącą właśnie na tournee w Polsce.
Kiedy po raz pierwszy Modrzejewska przybyła do Łodzi w marcu 1891 roku, powitał ją „ogólny szał" i gorący entuzjazm. Zaprezentowała swój popisowy repertuar: min. w *Odettcie* Sardou, *Marii Stuart* Schillera, *Damie Kameliowej* Dumasa oraz w *Makbecie* Shakespeara. Na jej przedstawienia w niemieckim teatrze Thalia tłumy waliły drzwiami i oknami: „wszystko pędzi do kasy po bilety, czyni starania o bilety, narzeka, że biletów dostać nie mogło (...). Chodnikiem płynie bez końca czarny tłum teatromanów, rozprawiających z równą werwą o przymiotach artystycznej gry bohaterki chwili jak zazwyczaj o kursach, cenach bawełny i stanie interesów" – relacjonował artystyczną gorączkę „Dziennik Łódzki". Publiczności imponowało, że Modrzejewska otrzymywała w Łodzi po 900 rubli za występ, podczas gdy w Warszawie musiała targować się o stawkę „zaledwie" 500 rublową. Gdy jednak w maju, czyli dokładnie dwa miesiące

później, zadłużony dyrektor Kopczewski zaangażował aktorkę na zamknięcie sezonu polskiego teatru Victoria, choć ceny biletów były tym razem wyraźnie niższe, przedstawienia nie cieszyły się już „absolutnym powodzeniem".
Przyczyn spadku zainteresowania upatrywano wtedy w „zużytym" repertuarze – Modrzejewska grała po raz kolejny te same sztuki. Istotnym powodem była jednakowa nieszczęsna obniżka cen biletów – łódzcy geszefciarze nie szanowali przecenionego towaru.

Ich entuzjazmu nie wzbudzały też kłopoty finansowe, z którymi polski teatr borykał się nieustannie – po Kopczewskim zbankrutował Czesław Janowski (atreprener w latach 1891-1895), pomimo iż schlebiał gustom publiczności oraz sprowadzał do Łodzi gwiazdy scen polskich – min. Bolesława Leszczyńskiego i Romana Żelazowskiego. Nie uchronił się też przed plajtą warszawski literat Michał Wołowski (dyrektor teatru polskiego w latach 1895-1900), który dbając o wysoki poziom repertuaru wystawiał sztuki Shakespeara, Ibsena i Haupmanna.
Trzeba pamiętać, iż Łódź była miastem błyskawicznych fortun i interesów, skupiskiem ludzi przeliczających otaczający świat – także sztukę – na ruble i kopiejki, co znów najlepiej oddaje dialog Reymontowskich postaci:
„- Karol, ile być może dzisiaj milionów w teatrze? – zapytał cicho Moryc.
- Będzie ze dwieście – odpowiedział tak samo, z wolna ogarniając znane twarze milionerów. „
W dodatku była miastem, które osiągnęło mistrzostwo w dziedzinie bankructwa – umiejętność bankrutowania zyskała sobie w prasie satyrycznej i kabarecie miano „geniusza Łodzi", a samą Łódź nazywano z hiszpańska „Rio-de-la-plajta". Bezproduktywne, bo nie przynoszące zysków plajty teatru w oczach wytrawnych kapitalistów zasługiwały jednak co najwyżej na pobłażanie: „...źle prowadzony interes. Tyle razy upadał, ani razu się jeszcze nie spalił" wzruszał lekceważąco ramionami łodzianin. Wszystkim czytelnikom i widzom Ziemi Obiecanej (pamiętamy przecież o świetnej ekranizacji Andrzeja Wajdy), znany jest intratny, popularny wówczas proceder palenia fabryk, by uzyskać wysokie odszkodowania. Ta uszczypliwa uwaga pochodzi jednak z 1907 roku, zanim jeszcze dwa kolejne pożary nie ubezpieczonych: teatru Victorii w 1909 oraz w roku 1911 Teatru Polskiego (przy ulicy Cegielnianej 63, dzisiejszej Jaracza 27) doprowadziły obiecującego, niezwykle zdolnego reżysera – Aleksandra Zelwerowicza do ruiny.

Zanim jednak Zelwerowicz porzuciwszy teatr krakowski, w otoczeniu młodych, niezwykle utalentowanych aktorów – przyszłej polskiej śmietanki artystycznej (byli wśród nich i Jaracz i Junosza-Stępowski, jak również Antoni Siemaszko, Władysław Grabowski, Jadwiga Czechowska, Alina Gryficz i in.), przybył do Łodzi, miasto czekało

jeszcze jedno głośne wydarzenie kulturalne.

Otóż we wrześniu 1901 roku, a więc na samym początku sezonu następującego tuż po burzliwej wizycie Modrzejewskiej, miało miejsce otwarcie Teatru Wielkiego, świętowane z pełną rozmachu pompą. Nowo powstały gamach należał do Fryderyka Sellina, właściciela działającego już od trzech lat Teatru Apollo. Oba teatry sąsiadowały ze sobą na ulicy Konstantynowskiej nr 14 i 16 (dzisiejszej Legionów). Na inaugurację sceny zespół ówczesnego dyrektora teatru polskiego – Henryka Grubińskiego (pełniącego tę rolę w latach 1900-1903) odegrał *Marcowego kawalera* Blizińskiego, *Pana Boneta* Fredry i *Zaczarowane koło* Rydla.

Galę otwarcia Teatru Wielkiego uświetnił przyjazd samego Henryka Sienkiewicza w otoczeniu gromady artystów, literatów i uczonych. I znów Łódź kulturalna zawrzała. „Mistrza słowa polskiego" witały tłumy łodzian, jego przejazd przez miasto zamienił się w „pochód triumfalny". Jednakże już w trzecim sezonie Grubiński musiał przenieść się z powrotem do znacznie mniejszego teatru Victoria, gdyż licząca 1250 miejsc sala Teatru Wielkiego okazała się – za wielka. Nadal grywano tam przedstawienia jedynie w niedzielne popołudnia, kiedy publiczność dopisywała najobficiej.

Warto wspomnieć, iż długą tradycję w Łodzi miał teatr amatorski – zaczął swą działalność już w 1850 roku. Jednym z pierwszych jego organizatorów był znany nam już właściciel teatrów, Fryderyk Sellin. Przedstawienia amatorskie urządzano zwykle na cele dobroczynne, które jak wiemy z niezastąpionej Ziemi Obiecanej, cieszyły się dużą popularnością – opisywany przez Reymonta spektakl był właśnie tego rodzaju. Ponieważ zarówno aktorzy jak i publiczność rekrutowali się z tej samej kupiecko-fabrycznej społeczności, nikogo nie dziwiło nagłe opustoszenie teatru na wieść o krachu na rynku bawełnianym. Wszak bawełna była „błogosławieństwem miasta", złotem łódzkiego Eldorado.

Agata Skrzypek
- studentka kulturoznawstwa UŁ na wydziale: teatrologia.
Stypendystka programu „SOCRATES – ERASMUS"
na Uniwersytecie Sztokholmskim.

Korzystałam z książek:
-WŁ. St. Reymont, Ziemia obiecana, Warszawa 1997
-Sto lat stałej sceny polskiej w Łodzi 1888-1988, red. A. Kuligowska, 1993 Łódź
- A. Kuligowska-Korzeniewska, Scena obiecana, Łódź 1995

Grażyna Kompel

Od Gozziego do Moliera

Jacek Woszczerowicz na łódzkich scenach

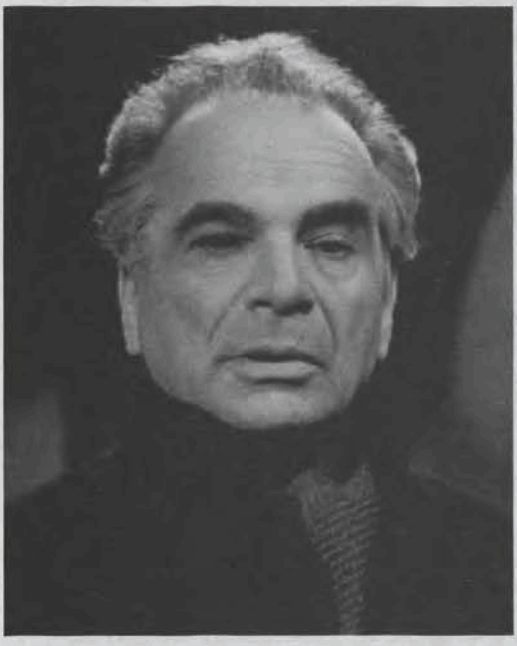

Jacek Woszczerowicz urodził się 11 IX 1904 r. w Siedlcach w rodzinie nauczyciela łaciny. Po maturze rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy zetknął się z teatrami stolicy, w tym także ze znaną z działalności studyjnej Redutą Juliusza Osterwy. Przy scenie tej działał Instytut Reduty, który w istocie stanowił przyteatralną szkołę aktorską. Nieposiadającemu urody scenicznej i tzw. warunków zewnętrznych Jackowi dopiero za drugim razem udało się przekroczyć ów magiczny próg. Wkrótce razem z kolegami uczestniczył w objeździe po wschodnich kresach Rzeczypospolitej. W latach 1924-1927 był bileterem, kasjerem, inspicjentem, charakteryzatorem, maszynistą, statystą i początkującym aktorem.

W r. 1927 rolą Juklego z „Sędziów" St. Wyspiańskiego zdał jako ekstern egzamin aktorski przed komisją Związku Artystów Scen Polskich, co umożliwiło mu ubieganie się o członkostwo w ZASP-ie. Na sezon 1927/28 zaangażował się do Teatru Nowego w Poznaniu, gdzie zetknął się z ekspresjonizmem, który miał wpływ na późniejsze kształtowanie się indywidualnego stylu gry aktora.

Kolejny kontrakt Woszczerowicz podpisał z Bolesławem Gorczyńskim, dyrektorem Teatru Miejskiego w Łodzi. 1 IX 1928 r. odbyła się premiera scenicznej baśni mistrza włoskiej komedii dell'arte, Carla Gozziego, w przeróbce Emila Zegadłowicza. Woszczerowiczowi powierzono epizodyczną postać stuletniego starca Timura. Ta maleńka rola zasługuje na odnotowanie ze względu na wyśmienitą charakteryzację 24-letniego wówczas aktora. Dbałość o najdrobniejszy szczegół w wyglądzie granego bohatera scenicznego leżała zawsze u podstaw pracy nad rolą Woszczerowicza, była punktem wyjścia do dalszych poszukiwań twórczych.

W latach 1928-1930 początkujący aktor zagrał w łódzkim Teatrze Miejskim i Kameralnym łącznie 39 małych ról i epizodów, które nie uszły uwagi miejscowych recenzentów, były jednak zbyt skromne, aby doczekać się szerszych analiz czy omówień. Jedno nie pozostawia wątpliwości – Woszczerowicz dawał plastyczne sylwetki granych postaci, które publiczność nagradzała oklaskami, a recenzenci pochlebnymi dla aktora wzmiankami, jak np. sprawozdawca „Głosu Porannego" (1 IV 1930): „Wśród zespołu komediowego na pierwszy plan wysunął się bezapelacyjnie p. Woszczerowicz (...). Ten imponująco pracowity i pożyteczny artysta coraz świetniej zdaje egzamin na pierwszorzędną siłę."

O aktorstwie Jacka Woszczerowicza z pierwszego łódzkiego okresu niewiele można powiedzieć. Grał przeważnie charakterystyczne role, ale galeria postaci, które powoływał do życia, jest doprawdy imponująca. Byli to ludzie w zróżnicowanym wieku, wywodzący się z najrozmaitszych środowisk społecznych, zawodowych, a także z różnych kręgów narodowościowych: woźny, lekarz, urzędnik, wiejski parobek, bankier, ogrodnik, lord, żołnierz, aptekarz, uczeń, prokurator, fryzjer, Murzyn, Żyd, Chińczyk. **W wyreżyserowanej przez Jana Boneckiego współczesnej amerykańskiej sztuce pt. *Proces Mary Dugan* (polska praprem. 12 X 1928) Woszczerowicz zagrał Jamesa Madisona, czarnoskórego świadka w sprawie tytułowej bohaterki.** Jego obecność na scenie trwała nie dłużej niż dwie minuty, ale każdemu, kto go oglądał, musiał zapaść w pamięci właśnie ze względu na pieczołowitą charakteryzację (kolor skóry, pogrubione rysy twarzy, fryzura).

Lata 1928-1930 pozwoliły Woszczerowiczowi na zetknięcie się z dwiema wybitnymi indywidualnościami reżyserskimi – dawnym redutowcem Edmundem Wiercińskim i poznanym w Łodzi Leonem Schillerem. Kameralizm pierwszego i monumentalizm drugiego zadecydowały o preferencjach aktora z zakresu estetyki teatru i jego wyborach ideowo-artystycznych w przyszłości.

Z Łodzi trafił Woszczerowicz do podchorążówki w Śremie, gdzie bez większego entuzjazmu odbywał służbę wojskową. Po przedterminowym opuszczeniu koszar – nie bez pomocy Wiercińskiego – zaangażował się do Teatru Melodramatycznego w Warszawie, a następnie do Teatrów Miejskich we Lwowie, skąd przeniósł się wraz z grupą kolegów do stołecznego Ateneum, by po roku podpisać umowę sezonową z dyrektorem Kazimierzem Wroczyńskim w Łodzi.

Drugi pobyt w naszym mieście, trwający od 1 IX 1934 do 31 VIII 1935 r., nie zaważył na losach artystycznych Jacka Woszczerowicza i nie wpłynął na rozwinięcie jego talentu. Obie łódzkie sceny – Teatr Miejski i Letni – stworzyły mu zaledwie możliwości zaprezentowania wcześniej zdobytych umiejętności.

Jeden z baczniejszych sprawozdawców teatralnych „Republiki", Władysław Polak, przy okazji recenzji ze spektaklu *Zwyciężyłem kryzys* Pawła Vulpiusa zwrócił uwagę na ewolucję umiejętności aktora w ciągu minionych sześciu lat: „W (...)

wielkiej roli sekretarza Fritscha wystąpił p. Woszczerowicz, który debiutował w Łodzi za czasów dyrekcji Gorczyńskiego. Już wtedy zwracał na siebie uwagę swymi niepoślednimi zdolnościami w odtwarzaniu typów charakterystycznych. Kilka lat pobytu na scenach lwowskich i warszawskich rozwinęło zdolności p. Woszczerowicza w sposób niebywały. Jest to aktor, którego *vis comica* działa na widownię w sposób sugestywny: każde jego odezwanie się czy też każda scena mimiczna wywołuje huragan śmiechu wśród publiczności. Toteż Woszczerowicz był często oklaskiwany przy podniesionej kurtynie" (27 IX 1934).

Pobyt u Wroczyńskiego zamknął ostatecznie okres teatralnego terminowania Woszczerowicza. Od sezonu 1935/36 do wybuchu wojny zatrudniały aktora warszawskie teatry Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. Duży rozgłos przyniósł mu oprócz postaci scenicznych tryptyk filmowy z lat 1937-1939 („Znachor", „Profesor Wilczur", „Testament profesora Wilczura"). Istnieje anegdota, że przedwojenni kieszonkowcy przekazali artyście wieczne pióro ze złotą stalówką wraz ze specjalnymi podziękowaniami za „ludzkie" ukazanie włóczęgi-opryszka Jemioła.

W okresie okupacji Jacek Woszczerowicz współpracował z zespołem Aleksandra Węgierki występującym na terenie Grodna, Białegostoku i Mińska do czerwca 1941 r., a następnie czekał na sposobność powrotu na scenę.

Po wyzwoleniu Lublina Woszczerowicz przybył tam na zaproszenie Władysława Krasnowieckiego, by podjąć współpracę z Teatrem I Armii Wojska Polskiego, późniejszym Teatrem Wojska Polskiego. Powojenną działalność rozpoczął od reżyserii *Wesela* i przygotowania roli Stańczyka. Po premierze lubelskiej (29 XI 1944), krakowskiej (6 II 1945) i katowickiej (22 II 1945) zespół przyjechał do Łodzi, gdzie w budynku Teatru Miejskiego przy ul. Cegielnianej 27 (dziś: Jaracza) znalazł stałą siedzibę. Łódzką premierę szeroko wówczas komentowanego spektaklu poprzedziły anonse prasowe. „Głos Ludu" (z 21 III 1945) pisał: „W epizodycznych rolach Księdza i Kliminy ujrzymy po raz pierwszy od 1939 roku wspaniałych przedstawicieli polskiego aktorstwa Aleksandra Zelwerowicza i Sewerynę Broniszównę", a następnego dnia „Rzeczpospolita" informowała: „W dniu dzisiejszym nastąpi uroczyste otwarcie Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Przedstawieniem inauguracyjnym będzie *Wesele* Wyspiańskiego w reżyserii Woszczerowicza i oprawie malarskiej Teisseyre'a."

Znaczenia Woszczerowiczowskiego *Wesela* nie da się przecenić, gdyż moment historyczny, w którym zostało pokazane, dopisywał nieznane przedtem wartości i sensy. Włodzimierz Kwaskowski grający Ojca po wielu latach pamiętał atmosferę owego marcowego popołudnia (przedstawienie rozpoczynało się bowiem o godz. 15): „Zbliża się moja scena z Marysią Chodecką (Marysia). Wychodzę. Z widowni bije ku nam jakieś wielkie ciepło. Publiczność chłonie tekst Wyspiańskiego. Ze sceny po raz pierwszy od wielu lat brzmi polskie słowo w – już znowu – polskiej Łodzi. Scena toczy się coraz pewniej i śmielej:

Płaczesz?

Tak się w oczach mgli, wszystko widzę coraz bladsze.

Jakże te słowa korespondują z uczuciami nas wszystkich.

I kiedy Jan Kreczmar (Poeta) mówi do Rysi Hanin (Panna Młoda), wskazując na serce:

... a to Polska właśnie

napięcie na widowni udziela się nam do tego stopnia, że czujemy skurcz serca" (Ze wspomnień. Suplement czwarty do dziejów teatralnych m. Łodzi).

Wspomniana Ryszarda Hanin w wywiadzie telewizyjnym (4 V 1976, pr. I TVP) udzielonym Stefanowi Treuguttowi wyznawała: „Zobaczyłam w kulisie trzęsącego się ze strachu, oblanego potem Zelwerowicza, który grał Księdza. Patrzyłam na niego i nie mogłam zrozumieć, dlaczego on ma tak straszliwą tremę. Przecież ja gram Pannę Młodą, o wiele większą i bardziej odpowiedzialną rolę; dlaczego on tak się boi? Dopiero trzeba było lat, bym zrozumiała, że aktor ten miał świadomość chwili. Po raz pierwszy wyszedł wtedy z podziemia kulturalnego i przemówił z wolnej sceny, publicznie.

Wesele było może jedynym w dziejach teatru w ogóle spektaklem, który składał się w połowie z najznakomitszych aktorów i w połowie z nas, amatorów".

Woszczerowicz jako reżyser tego wyjątkowego pod wieloma względami widowiska dążył do zaprezentowania tekstu dramatu niemal w całości. Pragnął w ten sposób dochować wierności Wyspiańskiemu. Innowacją był natomiast finał. O ile u dramaturga i w tradycji teatralnej chocholi taniec symbolizuje inercję społeczeństwa polskiego, o tyle w przedstawieniu Teatru Wojska Polskiego zakończenie wyrażało nadzieję na przezwyciężenie dotychczasowego marazmu. Stało się tak głównie za sprawą kompozytora, Aleksandra Barchacza, który w melodię „Miałeś chamie..." wpisał dźwięki żołnierskiej pobudki. Głos dominującej nad pozostałymi instrumentami trąbki wprowadzał akcent nadziei – tak bardzo przecież w 1945 r. oczekiwanej – na harmonijne współdziałanie całego społeczeństwa w odbudowie zniszczonego przez okupanta państwa.

Następną po Stańczyku rolą Jacka Woszczerowicza, zaprezentowaną w łódzkim TWP, była postać Łatki z Fredrowskiego *Dożywocia*. Komedia ta wzorowana na inscenizacji Węgierki ciążyła w kierunku tradycji wywodzącej się od Goldoniego, a nie – jak przeważnie praktykowano – od Moliera. Reżyserowi (Jerzy Kreczmar) zależało na silnym podkreśleniu wszelkich elementów widowiskowych o charakterze pantomimicznym, na przedstawieniu zabawy utrzymanej w konwencji commedia dell'arte. Woszczerowicz wniósł do granej przez siebie roli cechy maniaka, które czynią z Łatki patologicznego skąpca. Wielcy poprzednicy aktora poprzestawali na pokazaniu drapieżnego lichwiarza, odstręczającego Harpagona. Woszczerowiczowski Łatka poszedł dalej – był nieuleczalnie chory na chciwość. Aktor wygrywał nie tylko komizm i szelmostwo postaci, ale również bezradność i ludzkie cierpienie opętanego wbrew swej woli żądzą pieniądza. Zygmunt Kałużynski recenzując *Dożywocie* podkreślał, że znaczenie tego spekta-

klu, zwłaszcza pod względem wychowawczym, przerosło tekst Fredry i w tym upatrywał zasługi teatru.

Rolą, którą Jacek Woszczerowicz powtórzył po wyzwoleniu w Łodzi, był dr Gadarin z komedii francuskiego dramaturga René Fauchois *Ostrożnie, świeżo malowane!* wystawionej w 1939 r. przez Teatr Polski w Warszawie. W przeciwieństwie do warszawskiej premiery, która została przyjęta bardzo życzliwie, spektakl łódzki oceniono na ogół surowo, zarzucając mu brak charakteru społecznego i walorów dydaktycznych. Na tym tle wyróżniła się opinia Edwarda Csató zawierająca ważne spostrzeżenia na temat gry Woszczerowicza. Krytyk zauważył u aktora zdolność kształtowania i panowania nad emocjami publiczności. „Podejrzewam – wyznawał recenzent – że jest to człowiek, w którego wnętrzu wyzwala się energia atomowa, który jednak przed wszystkimi uczonymi świata odgadł sekret, pozwalający mu nie niszczyć widowni w jednym olbrzymim wybuchu, lecz rozłożyć tę energię na całe dwie i pół godziny spektaklu" („Robotnik" 25 XI 1945).

Jako etatowy aktor TWP zagrał Woszczerowicz dwie znaczące role – Żebraka w *Elektrze* Giraudoux i Skapena w komedii Moliera. Zanim jednak przejdziemy do ich omówienia, wspomnijmy o dwu scenach związanych z TWP administracyjnie, ale niezależnych programowo. Mowa tu o Estradzie Poetyckiej, kierowanej przez Marię Wiercińską, oraz o Scenie Poetyckiej, która miała być rodzajem studia teatralnego – miejscem doskonalenia warsztatu reżyserskiego i aktorskiego, terenem swobodnego ucieleśniania się eksperymentu artystycznego.

Inauguracyjnym i zarazem jedynym spektaklem zagranym na deskach Sceny Poetyckiej była *Elektra* Giraudoux. Dramat ten wnosił do teatru powojennego nowe wartości inscenizacyjne, określające styl poetycki. Zawierał bogatą, wieloznaczną metaforykę, która oceniona została przez ówczesnych krytyków jako szkodliwa społecznie. Zarzucano realizatorom zwłaszcza nadmierny intelektualizm niezrozumiały dla początkującego widza („prostego człowieka"). Złą atmosferę wokół *Elektry* wywołała dyskusja literatów w łódzkim „Klubie Pickwicka", którą następnie przedrukowała „Kuźnica" (1946 nr 9), czołowy tygodnik społeczno-kulturalny pierwszych lat powojennych o charakterze marksistowskim. Przebieg dyskusji z jej jałowością i bałaganem odzwierciedlił w „Szpilkach" (1946 nr 10) Jan Rojewski:

„Literaci: Z jakich przyczyn Teatr WP wystawia sztuki niezrozumiałe dla przeciętnego widza?

Aktorzy: (Chórem greckim): Naśladujemy spółdzielnię „Czytelnik", która wydaje poezje Przybosia. (Burzliwe oklaski, okrzyki: Precz z Przybosiem!).

Literaci: Dlaczego teatr nie wystawił sztuki Ważyka „W starym dworku"?

Aktorzy (z tragicznym patosem): Mieliśmy „Niespokojną starość", chcemy mieć spokojną młodość. (Reakcyjne uśmieszki wśród gapiów).

Literaci: (zdenerwowani): Dlaczego Teatr WP ustala swój repertuar przypadkowo, na oko?

Aktorzy: Repertuar Teatru WP został ustalony nie na oko, lecz nad Oką. (Wesołość wśród reakcji)".

W tragedii Giraudoux funkcję greckiego chóru przejął jednoosobowy obserwator i komentator zdarzeń – Żebrak. Postać ta napisana z myślą o jej prapremierowym wykonawcy, Louis Jouvet, miała służyć wyjaśnieniu tragedii rodu Atrydów. Z demaskatora żebrak przeistacza się pod koniec sztuki w proroka, opowiadaniem swym uprzedzając bieg zdarzeń. Do niego należy ostatnie słowo: „To się nazywa świtanie" – powiada, gdy płomienie obejmują miasto. Zakończenie sztuki jest wieloznaczne. Może bowiem odnosić się do wiary w ludzką prawdę i sprawiedliwość, symbolizowaną w dramacie przez ogień pochłaniający miasto występku. Może wyrażać protest przeciw sile niszczycielskiej. Może stanowić wreszcie wyraz ironii skierowanej przeciwko tytułowej bohaterce, podejmującej walkę, o której z góry wiadomo, że zakończy się klęską.

Elektra w reżyserii Wiercińskiego pełna niepokojów, pytań, wieloznacznych rozstrzygnięć z pewnością nie mieściła się w systemie małego realizmu, który zawsze prezentował jedynie słuszne wzorce i rozwiązania. Za sukces realizatorów możemy więc uznać fakt, że mimo niesprzyjających okoliczności *Elektrę* na Scenie Poetyckiej zagrano 44 razy, kończąc jednocześnie niezwykle krótki żywot tej tak interesująco zapowiadającej się placówki.

Z woli reżysera Woszczerowicz dublował wielkiego mistrza sceny polskiej, Aleksandra Zelwerowicza. Obydwaj aktorzy stworzyli w ramach tego samego przedstawienia dwie odrębne postacie. Autorka scenografii, Teresa Roszkowska, uwzględniając zasadniczą rozbieżność w wyglądzie (potężny Zelwerowicz, niski Woszczerowicz) i odmienność psychiczną twórców, zaprojektowała dwa istotnie różniące się kostiumy, aby w ten sposób dopomóc im w wyeksponowaniu innych elementów postaci Żebraka, w odmiennym rozłożeniu akcentów.

E. Csató porównując kreacje obu twórców, zwrócił uwagę, że zasadnicza różnica między nimi polegała na tym, iż Zelwerowicz zagrał Żebraka z „boskim dostojeństwem", natomiast Woszczerowicz frapował widza zwykłym człowieczeństwem prezentowanej roli, „swoim własnym, zupełnie oryginalnym sposobem akcentowania tekstu, który wydaje się nieoczekiwany, a zawsze porusza głęboko ludzkie strony. To już nie przebrany bóg, ale właśnie najautentyczniejszy żebrak, który w jakichś sympatycznych kolejach losu nauczył się niespodziewanej mądrości" („Kurier Popularny" z 22 III 1946).

Związek Jacka Woszczerowicza ze Sceną Poetycką i jej niespodziewanie szybka likwidacja był dla dalszej pracy aktora brzemienny w skutki. Wyrażając swój ostry sprzeciw wobec zamknięcia Sceny Poetyckiej, wystąpił z zespołu TWP. Twierdził

bowiem, że arbitralna decyzja w tej sprawie stanowi niedotrzymanie umowy przez teatr i że w związku z tym przestaje obowiązywać obie strony.

W ramach wcześniej podjętych zobowiązań wystąpił jeszcze raz w TWP jako Molierowski Skapen. Tym razem nie szczędzono aktorowi pochwał, nawet nieco przesadnych: „Zdaje się, że jedno jest pewne: nie ma w Polsce aktora odpowiedniejszego do tej roli i nie doczeka się ona lepszej kreacji, jak w tym przypadku" („Gazeta Ludowa" z 14 V 1946). Na tle niezwykle pochlebnych dla Woszczerowicza, ale bardzo przeciętnych z profesjonalnego punktu widzenia recenzji znów na czoło wybija się tekst jednego z najwnikliwszych krytyków teatralnych tamtego okresu, E. Csató: **„J. Woszczerowicz jako Skapen pokazał przede wszystkim, jak wygląda naprawdę staranne opracowanie roli. Zdaje mi się, że siła tego aktora polega chyba w pierwszym rzędzie na pracowitości. Woszczerowicz posiada na ogół trafną, a zawsze wyraźną koncepcję swojej roli i wyraźnie cyzeluje szczegóły. Wskutek tego panuje nad fragmentami roli i nigdy prawie nie zdarza się, aby dawał się im uwieść czy oszukać. Postać Skapena zmienia się zależnie od wymogów sytuacji i jest np. zupełnie inna w momencie, gdy jego rozgniewany pan przykłada mu szablę do szyi (...), niż w chwili, gdy upojony zemstą nad Gerontem, tokując prawie nieprzytomnie – rzadko spotkać można takie tempo wyrzucania z siebie okresów, jakie udało się osiągnąć Woszczerowiczowi w tym momencie – tłucze po tyłku schowanego w worku starucha; a zaraz potem, przerażony zdemaskowaniem, przestaje na chwilę być szelmą i nie ma w sobie żadnego rysu prócz tchórzostwa. A jednak w każdym z tych momentów, niezależnie od tego, co wysuwa się aktualnie na pierwszy plan, jest to zawsze ten sam Skapen, w całym bogactwie swojego hultajskiego charakteru" („Dziennik Łódzki" z 17 V 1946).**

Po odejściu z TWP Woszczerowicz nie znalazł dla siebie odpowiedniego zespołu teatralnego, postanowił więc zatrudnić się na okres od 15 VII 1946 do 15 II 1947 w Przedsiębiorstwie Państwowym „Film Polski". Praca w filmie nie przyniosła znaczących efektów. Powstały w tym czasie trzy role, z których zaledwie jedna pojawiła się na ekranie z jedenastoletnim opóźnieniem („Dwie godziny" według noweli Prusa pt. „Nawrócony").

Sezon 1947/48 spędził aktor w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza przy ul. Przejazd (dziś: Juliana Tuwima), kierowanym przez Michała Melinę i Erwina Axera. Tu zbliżył się z odpowiedzialnym za dział literacki Bohdanem Korzeniewskim, z którym nawiązał ścisłą współpracę trwającą blisko 10 lat. Pobyt Woszczerowicza w tym zespole zaowocował trzema rolami, z których najważniejszą okazał się Merkury z *Amfitriona 38* Giraudoux.

Współpracę z Kameralnym rozpoczął jednak od gościnnie zagranej roli Homera w dramacie Tadeusza Gajcego. Przesłaniem sztuki zatytułowanej *Homer i Orchidea* jest przeświadczenie o nieuchronności losu i niemożności walki z przeznacze-

niem. Mocną stroną spektaklu Wyszomirskiego (reżyseria) i Kosińskiego (scenografia) była z pewnością rola Woszczerowicza kreującego postać Homera. „Jako niezgrabny tragikomiczny młodzieniec na początku sztuki, jako pełen majestatu oślepły starzec przy jej końcu, Woszczerowicz dał jedną z ról, jakich się długo nie zapomni" – konstatował Jerzy Zagórski („Tygodnik Powszechny" 1947 nr 8).

7 II 1948 r. na tej samej scenie odbyła się premiera *Szkoły żon* Moliera w debiutanckiej reżyserii B. Korzeniewskiego z Woszczerowiczem jako Arnolfem. Twórcy przedstawienia odczytali tę komedię jako próbę reformy obyczajów. Przejawiło się to przede wszystkim w ustawieniu roli niedoszłego małżonka Anusi, który w łódzkiej inscenizacji pozbawiony został patosu i wymiaru tragicznego, a wzbudzał jedynie śmiech, pomieszany z odrazą. Woszczerowicz akcentował niezdarność i obłudę zakochanego bez wzajemności w młodej dziewczynie starca. Komizm podkreślał kostium w stylu epoki, znakomicie uwypuklający nieproporcjonalność sylwetki bohatera.

Jak już wspomniano, najważniejszym osiągnięciem artystycznym Woszczerowicza w Teatrze Kameralnym była rola Merkurego. Autor odwrócił wywodzącą się z mitu zależność – grecki bóg nie użycza swej łaski człowiekowi, lecz pragnie pozyskać ludzkie przyzwolenie na własne poczynania. Pozostając w świecie starożytnej Grecji, Giraudoux łączy błyskotliwą zabawę literacką ze swoistym wykładem filozoficznym, który buduje za pomocą różnorodnych środków literackich – aforyzmów, parodii, ripost, wolt myślowych itp. Specyfika utworu sprawia, iż nosi on cechy prozy poetyckiej, co piętrzy stojące przed wykonawcami zadania. Od przekazujących humanistyczne treści subtelnego tekstu Giraudoux aktorów wymagana jest precyzja, lekkość, szybkie tempo prowadzenia dialogu, ale równocześnie sami powinni się bawić wszystkimi odmianami zawartego w utworze dowcipu oraz eksponować autorską mieszaninę pojęć i realiów. Oryginalne cechy poetyki utworu narzucają wykonawcom stylistykę posiłkującą się rozmaitymi konwencjami teatralnymi.

Łódzka inscenizacja Axera z dekoracjami Daszewskiego zmierzała ku przekształceniu *Amfitriona* w komedię bulwarową. Dowcipne dekoracje i kostiumy, stanowiące połączenie kultury antycznej Grecji i współczesnej Francji, sugerowały nierzeczywisty charakter inscenizacji oraz zapowiadały, że aktorzy odegrają nie spektakl, a teatr. „Woszczerowicz (...) był to Merkury w starożytnym stroju, lecz poza tym z jakiejś współczesnej kawiarni, gdzie powstają intrygi i plotki" – napisała Zofia Karczewska-Markiewicz na łamach „Rzeczypospolitej" (1947 nr 336).

Jeden z najbardziej wpływowych krytyków tamtego okresu, Jan Kott, zwrócił uwagę na zerwanie z psychologizmem gry: „Po *Amfitrionie* można po raz pierwszy mówić o początkach nowego stylu gry. W kategoriach narodowych można by go nazwać francuskim, w kategoriach historycznych – współczesnym. Jest to styl gry oszczędny, lekki, bardzo zewnętrzny, powiedziałbym nawet: cyniczny w stosunku do wewnętrznych przeżyć. Widzę go w grze Woszczerowicza i Szaflarskiej (Alkmena – G. K.).

Woszczerowicz należy do tych rzadkich w Polsce aktorów, którzy, jak Jouvet i Barrault, grają całą postacią, a nie tylko ruchem rąk i mimiką. Operuje często dowcipem, a nie przeżyciem. Potrafi być nie tylko bardzo zabawny, ale i sarkastyczny" („Odrodzenie" 1948 nr 3).

Ostatni raz wystąpił Jacek Woszczerowicz przed łódzką publicznością gościnnie na scenie Teatru Nowego za dyrekcji Kazimierza Dejmka. Była to kolejna Molierowska rola przygotowana wcześniej w Teatrze Polskim w Warszawie, Niestety czasy, w których wystawiono *Don Juana* (prem. 15 VI 1950), nie sprzyjały sztukom zawierającym nadprzyrodzone elementy (przemawiający i poruszający się pomnik Komandora, nieoczekiwana śmierć tytułowego bohatera etc.). Spektakl w reżyserii Korzeniewskiego ze scenografią Teresy Roszkowskiej nie wzbudził entuzjazmu krytyki zobowiązanej do przestrzegania w ocenach artystycznych zasad realizmu socjalistycznego.

Łódzka premiera, do której scenografię stworzył Józef Rachwalski, odbyła się 21 VI 1955 r. Woszczerowicza dublował Janusz Kłosiński. Jednak kreacja pierwszego uznana została bezapelacyjnie za kongenialną. Maria Czanerle na łamach „Teatru i Filmu" (1957 nr 13) konstatowała: „Myślę, że wielkim aktorem jest ten, bez którego widz nie potrafi już potem tej samej sztuki oglądać. Czuje się wtedy, jak gdyby przypadkiem zabłądził na miejsce, gdzie przeżył ongiś coś bardzo mocnego, czego nie może zapomnieć".

Podsumowując tekst o łódzkich latach Jacka Woszczerowicza, możemy stwierdzić, że na pamięć u potomnych zasłużył w równym stopniu własną pracowitością i pomysłowością, jak i łaskawym okiem krytyki teatralnej, która w sposób niedoskonały acz obiektywny wyznaczyła mu miejsce w panteonie polskiego aktorstwa.

Grażyna Kompel
– doktor nauk humanistycznych, historyk teatru, wykładała na kilku uniwersytetach; w latach 1995-98 była pierwszym lektorem języka polskiego w Łotewskiej Akademii Kultury w Rydze, obecnie pracuje w Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców w Łodzi; autorka ponad 50 artykułów naukowych.

Najwybitniejsze filmy faktu powstawały w Łodzi

Wytwórnia Filmów Oświatowych

Dekretem z listopada 1945 roku utworzone zostało Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski". Pierwszym dyrektorem mianowano Aleksandra Forda. Siedzibą przedsiębiorstwa miała być Warszawa. Jednak ze względu na ogromne zniszczenia stolicy odstąpiono od tego zamierzenia. Jedynym miastem, którego infrastruktura nie została zdewastowana, a bliskość Warszawy zapewniała szybki przepływ informacji i ludzi, była Łódź. Na potrzeby dyrekcji przedsiębiorstwa adaptowano pałac przy ulicy Targowej 61. Ten sam, w którym mieści się do dzisiaj łódzka „Filmówka".

W ramach instytucji „Film Polski" powołano Instytut Filmowy. Jednym z jego celów statutowych była produkcja i dystrybucja filmów oświatowych. Wydzielony z tego instytutu Wydział Filmów Oświatowych dał początek Wytwórni Filmów Oświatowych.

Formalnie – jako samodzielna jednostka organizacyjna – przedsiębiorstwo państwowe, pod nazwą WFO, rozpoczęło funkcjonowanie w grudniu 1949 roku. Jego adres pozostał aktualny do dziś – Kilińskiego 210. Pierwszym dyrektorem naczelnym nowej placówki filmowej został Jerzy Wolski, którego rok później zmienił Szymon Maus. Jego następca Eugeniusz Pasiecznik kierował wytwórnią od roku 1952, przez kolejnych jedenaście lat. Za jego kadencji stanowisko redaktora naczelnego objął Józef Hertel, którego miejsce w roku 1959 zajął Julian Tuwim (bliski krewny poety).

Głównym celem założenia wytwórni było scentralizowanie produkcji filmów oświatowych w jednym miejscu. Do Łodzi przeniesiono m. in. ośrodek z Żyrardowa, założony przez Karola Marczaka, oraz podobne placówki z Krakowa, Gliwic, Oliwy. To właśnie twórcy z tych studiów stanowili pierwszą kadrę „oświatówki". Zwłaszcza dwaj z nich – Karol Marczak i Włodzimierz Puchalski – stali się w niej niekwestionowanymi autorytetami. Do pierwszego z nich przylgnęła opinia autora filmów biologicznych, drugi uważany był za twórcę filmów przyrodniczych.

Od początku lat pięćdziesiątych kadrę wytwórni zasilali absolwenci szkoły filmowej. Obowiązujący w tym okresie nakaz pracy, obligował ich do natychmiastowego podjęcia zatrudnienia w branży filmowej. Mimo wymuszonej formy stwarzało to możliwość wczesnego rozpoczęcia profesjonalnych zamierzeń twórczych, przez am-

bitnych, młodych filmowców, kształtujących przez wiele lat jej oblicze. Ponadto „oświatówka" wspierała swoimi pracownikami kadrę pedagogiczną szkoły filmowej. Wykładowcami byli m. in.: Bolesław W. Lewicki – późniejszy jej rektor, Karol Marczak, Bolesław Baczyński, Jan Jacoby. W latach siedemdziesiątych ogromną rolę w procesie edukacji studentów odegrał wieloletni dyrektor WFO – Maciej Łukowski.
Programowo umożliwiał on debiut każdemu zainteresowanemu absolwentowi. To wtedy zaczęto mówić o „pokoleniu WFO".

Mówiąc o młodych twórcach, którzy w latach pięćdziesiątych rozpoczęli swój „filmowy start" w murach wytwórni, należy wymienić: Janusza Nesfetera, Aleksandrę Jaskólską, Wiesława Drymera, Stanisława Lenartowicza, Józefa Arkusza, Jerzego Passendorfera, Jerzego Wojciecha Hasa, Witolda Żukowskiego, Mieczysława Vogta czy Jerzego Popiela-Popiołka. Niektórzy z nich na stałe związali się z WFO, dla wielu był to przystanek na drodze kariery w filmie fabularnym. I już nigdy nie dowiemy się, jak ważny był dla Jerzego Wojciecha Hasa – reżysera „Pamiętnika znalezionego w Saragosie" – jego pierwszy film instruktażowy pt. „Mechanizacja robót ziemnych".
Film oświatowy był pierwszym z gatunków kina powojennego, który przyniósł prestiż i nagrody swoim twórcom. Zrealizowana przez Jarosława Brzozowskiego „Wieliczka" w 1946 roku zdobyła Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes. Jest to zarazem pierwsza po wojnie nagroda dla polskiego filmu. Ale był to również okrutny okres w naszej historii. Przekonał się o tym sam Brzozowski. Represjonowany przez UB i niesłusznie skazany w 1948 roku, sześć lat przesiedział w więzieniu.

Duże problemy mieli też dwaj sztandarowi dla „oświatówki" twórcy filmów przyrodniczych. Karol Marczak został aresztowany pod zarzutem rzekomej kolaboracji w czasie wojny. Z tego powodu długo nie mógł otrzymać należnego mu miejsca wśród kadry WFO. Jego duża samodzielność, bezkompromisowość i niejednoznaczne dla władzy oblicze polityczne, powodowały, że był człowiekiem dla wielu niewygodnym. Nigdy nie wdawał się w żadne układy, nie należał do żadnych koterii, nie ulegał modom. Pozostawał wierny swojej pasji – odkrywaniu niewidocznego gołym okiem świata przyrody, który fascynował go i który odkrywał w swoich filmach.
Włodzimierz Puchalski również nie miał wtedy łatwego życia. Ingerencja w jego dwa filmy – „Czaple" i „Kormorany" – spowodowała ich duże okaleczenie w warstwie merytorycznej. Zażądano także zwrotu pieniędzy za zużytą taśmę. Anegdotycznie i jednocześnie jakże żałośnie brzmią dzisiaj zarzuty jakie na kolaudacjach wysuwano przeciwko jego filmom.

Oto niektóre z nich: „dlaczego ptaki inż. Puchalskiego wiją gniazda gdzie popadnie?", „dlaczego gnieżdżą się nawet w pobliżu kułackich zagród?", „dlaczego filmowane bociany mieszkają na dachu indywidualnego chłopa, a nie na dachach domów spółdzielców?", „dlaczego pokazując kwiaty na łące, reżyser nie umieścił tam przodowników pracy?" Chcąc odpowiedzieć na te pytania trzeba by stwierdzić, że z ca-

łą pewnością bociany miały niewłaściwy kręgosłup ideologiczny. To zresztą pozostało bocianom do dziś. Innym zarzutem stawianym Puchalskiemu był fakt, że w realizacji filmów pomagali mu żona i pasierb. Wobec tak nieprzychylnej atmosfery reżyser odszedł z wytwórni. Powrócił do WFO dopiero w 1956 roku, kiedy wytwórnia uzyskała większą swobodę decyzyjną.

Pierwszym sukcesem Włodzimierza Puchalskiego był obraz „Na ptasiej wyspie" z 1947 roku. Film ten wszedł na stałe do historii polskiego filmu przyrodniczego, a jego twórcę uznano za najlepszego polskiego filmowca – ornitologa. Siłą tego dzieła było odejście od powszechnie stosowanej formy poznawczej, na rzecz wnikliwej obserwacji, poprzez intymne obcowanie z tajemnicami przyrody. Temu sposobowi pokazywania świata przyrody autor pozostał wierny. Zdecydowanie przeciwstawiał się inscenizacji w filmie przyrodniczym. Uważał, że wykorzystywanie do zdjęć oswojonych zwierząt kłóci się z logiką filmowca – przyrodnika. Tylko raz złamał tę zasadę – podczas realizacji filmu „Nietoperze". Ssaki te przy bardzo słabym wzroku potrafiły bezbłędnie przelatywać wśród rozwieszonych nici. Traciły tę umiejętność z chwilą zasłonięcia im uszu, które są odbiornikiem sygnałów ultradźwiękowych.

W okresie stalinowskich represji swoboda twórczej wypowiedzi artystycznej została w sztuce filmowej – podobnie jak w innych jej dziedzinach – mocno ograniczona. Film był już najważniejszą ze sztuk. Władza wiedziała jak wielka jest fascynacja obrazem i jak dużą ma on siłę oddziaływania. Nakreślono więc „jedynie słuszne" zadania dla filmu oświatowego. Zakładano, że film może spełniać funkcję czynnika edukacyjnego w zakresie nawyków zdrowotnych, wychowawczych; może informować o dokonaniach w kulturze socjalistycznej, kształtować świadomość ideologiczną. Komunistom zależało, aby produkowane filmy miały jak najszerszy odbiór propagandowy. Dlatego tak ważne stało się stworzenie odpowiedniego systemu dystrybucji. Na ówczesny sposób rozpowszechniania filmów oświatowych składał się system wypożyczalni kopii dla szkół, zakładów pracy, ośrodków szkoleniowych, wszelkiego rodzaju klubów i placówek kultury. Oprócz tego, filmy oświatowe stanowiły dodatek do filmów fabularnych wyświetlanych w kinach.

Funkcję rozpowszechniania filmów oświatowych wspierał periodyk filmowy „Czy wiecie, że...", który systematycznie ukazywał się na ekranach kin polskich od 1951 roku, przez następnych 15 lat. Rocznie było to od kilku, do kilkunastu wydań. Prezentował głównie dokonania nauki i techniki, później pojawiły się też tematy z dziedziny kultury.

Pierwsze materiały powstałe w WFO były filmami instruktażowymi i szkolnymi; dotyczyły monografii miast oraz kultury narodowej. Wynikało to z powszechnego zapotrzebowania, w okresie socjalistycznej odbudowy i umacniania „nowej władzy", na szczególny rodzaj propagandy politycznej. Potrzeba ta dotyczyła raczej władzy, niźli społeczeństwa.

Charakterystyczne dla tamtego okresu tytuły filmów brzmią dziś nieco archaicznie, chociaż jednoznaczną i sugestywną wymowę mają takie obrazy jak:

„Mechaniczne tynkowanie" Jerzego Passendorfera, „Mechanizacja robót ziemnych przy pomocy koparki" Jerzego Wojciecha Hasa, „Życie ludzkie w twoim ręku" Janusza Nesfetera, czy „Łopuszna – ziemia nieznana" Tadeusza Makarczyńskiego, a także „Ratujmy dzieła sztuki" Stanisława Lenartowicza.

Na początku lat pięćdziesiątych pojawiły się dwa wybitne dzieła w historii polskiego filmu oświatowego.

W 1953 roku Lenartowicz wyreżyserował film pt. „Miniatury Kodeksu Behema" – był to pierwszy barwny, polski film traktujący o sztuce. Natomiast obraz Andrzeja Bajera – „Mitoza w endospermie" był pierwszym na świecie, w którym zarejestrowano na taśmie filmowej podział żywej komórki.

Nie był to, niestety, najlepszy czas dla szeroko rozumianego filmu przyrodniczego. Zasadą polityki programowej ówczesnej dyrekcji był brak zainteresowania człowiekiem i jego rolą w świecie przyrody. Człowiek „nakazowo" oddalał się od natury, biorąc aktywny udział w industrializacji swojej socjalistycznej ojczyzny.

Na fali zmian popaździernikowych Karol Marczak zrealizował kilka znakomitych filmów biologicznych. Wszystkie cieszyły się dużym uznaniem specjalistów. Jednym z nich był powstały w 1956 roku „Rozwój zarodka ptaka", nagrodzony Srebrnym Robotem na MFF w Rzymie, oraz Dyplomem Honorowym IX Kongresu AICS w Amsterdamie.

Zadaniem, które reżyser przed sobą postawił, było pokazanie rozwoju zarodka kurzego w sposób ciągły tak, aby przed obiektywem kamery można było obserwować kolejne fazy rozwoju żywego preparatu. Już na samym początku pracy realizatorzy stanęli przed koniecznością rozwiązania kilku problemów. Wysoka temperatura powstająca podczas oświetlania planu filmowego lampami o wielkiej mocy, powodowała ścinanie się białka. Ekipa realizacyjna skonstruowała więc specjalną chłodnicę, która przy wykorzystaniu wody chłodziła jajko osłonięte dodatkowo woskiem. Inną trudnością było sfilmowanie wnętrza jajka. Zrobiono to obcinając górną część skorupki miniaturową piłą tarczową, założoną na wiertło dentystyczne. W obcięte miejsce wkładano szklany cylinderek, który umożliwiał obserwację zmian zachodzących we wnętrzu jajka. Do uzyskania ostatecznego efektu zużyto ponad dwa tysiące jaj. Efekt był imponujący. Po raz pierwszy rozwój zarodka pokazany został nie w technice fazowej – poprzez fotografię. Film zyskał duży rozgłos i zdobył wiele nagród. Dało to Marczakowi asumpt do realizacji najsłynniejsze-

go swojego dzieła – „Praca serca troci". Majstersztykiem było wypreparowanie przed kamerą serca zarodka troci mającego wielkość 7 mm. Dokonał tego profesor Zygmunt Grodzieński – konsultant filmu. Obraz ten uznano za wydarzenie światowej rangi. Stał się najczęściej nagradzanym filmem z WFO. Zdobył m. in. pierwszą nagrodę na największym festiwalu filmów popularnonaukowych w Padwie. Jest to druga nagroda dla tego twórcy. Pierwszą otrzymał w 1957 roku za obraz „Ryby labiryntowe", a trzecią otrzyma w roku 1959 za „Modliszkę".

W uznaniu zasług Karola Marczaka włożonych w rozwój filmu biologicznego, w roku 1967 Cinematheque Scientifique Internationale w Brukseli, wydało w cyklu monografii najsłynniejszych pionierów filmu naukowego, książkę poświęconą temu wybitnemu twórcy.

Jest to do dziś jedyny przypadek, aby ta instytucja będąca agencją Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, opublikowała monografię polskiego filmowca.

Początek lat sześćdziesiątych to w „oświatówce" czas przyśpieszenia i rozbudowy zaplecza technicznego. O ile w 1951 roku wyprodukowano 51 filmów, to w roku 1960 było ich już 100. Na terenie dawnej fabryki mieszczącej wytwórnię wybudowano montażownię, laboratorium, dział dźwięku, halę zdjęciową, warsztaty pomocnicze i biurowiec. Zorganizowano również dział rysunkowo-trickowy i bazę techniczną do produkcji filmów biologicznych, wyposażoną w aparaturę do zdjęć mikroskopowych i poklatkowych.

W 1966 roku opracowany został dla WFO plan tzw. małej modernizacji. Przyznane na ten cel środki pozwoliły na opracowanie technologii obróbki laboratoryjnej taśmy barwnej, zakup sprzętu do zapisu magnetycznego i innych istotnych urządzeń pomocniczych, niezbędnych do realizacji filmów na odpowiednim poziomie technicznym. Wszystkie te działania spowodowały, że placówka stała się samowystarczalna jako producent własnych filmów. Mogła też wykonywać usługi dla innych podmiotów z branży.

Filmy przyrodnicze i biologiczne nie stanowiły całości produkcyjnej Wytwórni Filmów Oświatowych. Równie okazale reprezentowana była sztuka. W 1953 roku Stanisław Lenartowicz ukończył „Miniatury Kodeksu Behema". Tematem filmu było 26 miniatur, zawartych na pergaminowych kartkach kodeksu Baltazara Behema. Były to spisane na początku XVI wieku przywileje i ustawy cechowe. Film ten wykonany został w czterech wersjach językowych. W 1954 roku po raz pierwszy przyznane zostaje wyróżnienie dla polskiego filmu o sztuce. Na festiwalu w Karlowych Varach nagrodzono, zrealizowany przez Konstantego Gordona, „Wietnam w rysunkach Kobzdeja". Mieścił się on w nurcie filmów łączących aktualne zagadnienia sztuki i polityki. Prezentując prace Aleksandra Kobzdeja – naocznego świadka wojny w Wietnamie.

Lata sześćdziesiąte to także okres, w którym coraz większą, społeczną rolę odgrywa telewizja. To medium, poprzez coraz większą powszechność i szybkość przekazu treści, staje się głównym nośnikiem informacji popularnonauko-

wej. Paradoksalnie stymuluje to aktywność łódzkiej wytwórni. W roku 1966 powstał film, który można uznać za uhonorowanie artystycznej drogi Zbigniewa Bochenka. To filmowo-muzyczne dzieło, zachwyciło nie tylko wrażliwych na piękno obrazu i muzyki widzów, ale także wybrednych krytyków filmowych. „Passacaglia na kaplicę Zygmuntowską" były wspaniałą ucztą dla oglądających którym w zajmujący sposób pokazano renesansową budowlę z wpisaną w obraz muzyką Krzysztofa Pendereckiego.
Film wzbudził zachwyt tak wybitnego estety, jak Władysław Tatarkiewicz: *Film o kaplicy krakowskiej nazywa się „Passacaglia" – pisał ten znakomity profesor filozofii. Tytuł jest naprawdę dobrze dobrany, bo film istotnie składa się z szeregu wariacji na temat budowli jagiellońskiej i wariacje te są nim uszykowane w jakiś muzyczny sposób. Jeszcze podkreśla to piękna muzyka Pendereckiego. Ta kompozycja filmu czyni, że jest on nie tylko filmem o utworze artystycznym, ale jest sam utworem artystycznym. Pokazuje, co można uzyskać z filmu o sztuce; że piękno jego niekoniecznie jest pożyczone, może być własne.*

W 1967 roku Krzysztof Zanussi zrealizował swój jedyny film popularnonaukowy pt. „Komputery". W tym samym roku powstały jeszcze dwa znaczące obrazy. Zbigniew Bochenek wyreżyserował „Legendy mówią za siebie", a Andrzej Brzozowski słynną „Archeologię" – film traktujący o holocauście.

Cztery lata później inny materiał z „oświatówki" stał się sukcesem artystycznym. Andrzej Papuziński poświęcił swój film „Bykowi chwała", twórczości Franciszka Starowiejskiego, zwanego właśnie „Bykiem". Dzieło to powstało w wyniku ścisłej współpracy reżysera i operatora – Stanisława Śliskowskiego. Nie jest to jednak ikonograficzny zapis dorobku artysty. Film pokazuje w sposób dynamiczny proces tworzenia dzieła artystycznego. Jest swoistą relacją zmagania się człowieka z materią, na której twórca pozostawia ślad swojej wyobraźni. Do końca lat siedemdziesiątych żaden inny film o sztuce – zrobiony w WFO – nie zdobył tylu nagród i wyróżnień.

Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych charakteryzowała się większą liczbą debiutów absolwentów szkoły filmowej. Działo się tak za sprawą dyrektora Macieja Łukowskiego, który zachęcał swoich byłych studentów do podjęcia realizacji samodzielnych projektów. Co więcej – dał im na ten cel odpowiednie środki. Faktem jest, że w Wytwórni zadebiutowały niemal w całości trzy roczniki absolwentów Szkoły Filmowej. Najbardziej uznani realizatorzy z tego okresu to: Jacek Bławut, Barbara Bartman-Czecz, Lechosław Czołnowski, Henryk Dederko, Grażyna Kędzielawska, Piotr Andrejew, Piotr Szulkin, Tamara Sołniewicz. Produkcja filmowa osiągnęła wtedy apogeum. Rocznie produkowano od 170 do 180 filmów. Ta heroiczna praca na gruncie filmu oświatowego została doceniona w roku 1975. Na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, WFO otrzymała nagrodę krytyki „Warszawską Syrenkę", przyznaną za najlepszy zestaw filmów. Było to wyróżnienie szczególne, bowiem nagroda trafiała zwykle w ręce poszczególnych twórców, nigdy zaś nie została przyznana żadnej wytwórni.

Z tego okresu pochodzą również filmy sportowe. Szczególnymi laurami zaznaczyły się dwa filmy Bogdana Dziworskiego – „Hokej" i „Fechtmistrz".

Swoje filmy kręcili również artyści znani jako twórcy nowej awangardy: Ryszard Waśko – „Wielość rzeczywistości Leona Chwistka", „Konstruktywizm w Polsce"; Zbigniew Robakowski – „Żywa galeria". Poczynania tych dwóch autorów często określa się mianem „artystycznego eksperymentu". I jeszcze jeden film z lat siedemdziesiątych zaznaczył się w galerii filmów wybitnych. To obraz Zbigniewa Kiersztejna „Żywe srebro", opowiadający o wpływie rtęci na życie człowieka i przyrody, i zagrożeniach z tego wynikających.

Lata osiemdziesiąte to kolejny „zaciąg" do wytwórni. Przychodzą do niej tacy twórcy jak: Paweł Woldan, Andrzej Czarnecki, Maria Zmarz-Konczałowicz, Maciej Drygas. Paradoksalnie, w tym tak obfitującym w wydarzenia czasie, powstało niewiele wartościowych filmów. Najbardziej znane i cenione obrazy z tego okresu to: „Nienormalni" – Jacka Bławuta, „Usłyszcie mój krzyk" – Macieja Drygasa, „Szczurołap" w reżyserii Andrzeja Czarneckiego, ze zdjęciami Piotra Sobocińskiego. „Usłyszcie mój krzyk", do których zdjęcia zrobił Stanisław Śliskowski, zdobył Europejską Nagrodę Filmową FELIX.

W roku 1985 wytwórnia uczestniczyła w realizacji polskiej części serialu „Wojna i Pamięć". Prace trwały do połowy 1986 roku. W roku 1989 Grzegorz Królikiewicz wyreżyserował film pt. „Idź", we współpracy z operatorem Janem Jakubem Kolskim. Obraz nagrodzono Srebrną Goryczką podczas XXXVIII MFF Górskich, Eksploracyjnych i Przygodowych w Trento.

Z początkiem lat dziewięćdziesiątych produkcja filmowa w łódzkiej „oświatówce" zaczynała dramatycznie spadać. Rekordowo niską liczbę, 17 tytułów, uzyskano w 1993 roku. Zaistniała zatem pilna potrzeba podjęcia decyzji o dalszym losie wytwórni. W 1994 roku nastąpiła jej restrukturyzacja. W miejsce dawnej Wytwórni Filmów Oświatowych powstała nowa instytucja filmowa – Wytwórnia Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych. Naturalną konsekwencją takiej decyzji była konieczność wyzbycia się znacznej części majątku ruchomego, nieruchomości, oraz zwolnień wśród załogi. Z ponad stu zatrudnionych pracowników, po reorganizacji pozostało ich dwudziestu pięciu. Obecnie ich liczba zmalała do czternastu.

Człowiekiem, który wziął na siebie ciężar zmian jest, związany z wytwórnią od wielu lat, jej obecny dyrektor naczelny – Andrzej Traczykowski.

Wytwórnia produkuje dziś, oprócz filmów oświatowych, programy zlecone – głównie dla telewizji. Współpracuje również z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, a także z Ministerstwem Obrony Narodowej. To właśnie w „nowej wytwórni" powstał – emitowany przez trzy lata w II programie TVP – historyczny serial dla dzieci pt. „Wehikuł czasu", w reżyserii Mikołaja Haremskiego. Tutaj produkowane też były kolejne odcinki telenoweli dokumentalnej o pracy lekarzy weterynarii – „Lecznica pod św. Franciszkiem", Teresy Kotlarczyk. W latach 1994-1999 re-

alizowano dla II programu telewizji polskiej serial przyrodniczy dla dzieci „Klub Pana Rysia. „ W rolę tytułowego Pana Rysia wcielił się uczeń, wieloletni towarzysz wypraw i przyjaciel Włodzimierza Puchalskiego, Ryszard Wyrzykowski.

W czerwcu 2003 roku podczas trwania X Międzynarodowego Festiwalu Filmów Przyrodniczych im. Włodzimierza Puchalskiego, którego WFO i PE jest głównym organizatorem, w łódzkiej „alei gwiazd" odsłonięto gwiazdę Puchalskiego. Jej fundatorem jest firma Bültel International Poland. Jest to pierwsza i zarazem jedyna gwiazda poświęcona realizatorowi filmu oświatowego. Filmu, który przyniósł prestiż „oświatówce" i sławę miastu. Dał impuls do dalszych działań artystycznych wielu znanym i uznanym reżyserom. Wytwórnia wykreowała wielu wspaniałych ludzi filmu. Trzeba pamiętać, że nie wolno zapomnieć skąd się przychodzi. I jak napisał jeden z krytyków – „Nie wiem, czy w WFO kwitły wszystkie kwiaty i czy kwitły jednakowo, ale było ich dużo i były różne (...)."

Darek Kędzierski
- ekonomista; były pracownik działu produkcji filmowej w WFO.

Bibliografia:
1. Maciej Łukowski – „Polski film popularno-naukowy 1945-1980", PWN Warszawa 1986.
2. Maciej Łukowski – „Polski film przyrodniczy 1945-1986", Łódź 1987.
3. Teresa Oziemska, Elżbieta Drecka-Wojtyczka – „55 lat przygód z filmem krótkim", Wytwórnia Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych, Łódź 2000.
4. Małgorzata Karbowiak – „Rozbudowa Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi", „Głos Robotniczy", 25.02.1970.
5. Władysław Tatarkiewicz – „Z powodu filmu o Kaplicy Zygmuntowskiej", „Film", IX. 1967.

Wehikuł do Europy

II Festiwal Dialogu Czterech Kultur

Danuta K. Gruszczyńska. – Czy zrywa Pan z Maltą?

Michał Merczyński: – Nie, nie! Z tym festiwalem wiążą mnie szczególne emocje. Jestem jego twórcą i nigdy z niego nie zrezygnuję. W Łodzi zajmuję się tylko programem. Taki układ zawarliśmy z panem Witoldem Knychalskim, kiedy zaprosił mnie do współpracy. Zawsze uważałem, że dyrektorem festiwalu powinien być ktoś z Łodzi, kto zna miasto i środowisko. Ja sam w miarę możliwości staram się to miasto poznawać. W ostatnim półroczu bywałem tu regularnie. Często gościłem w latach 80-tych z Orkiestrą Ósmego Dnia. Przyjeżdżałem też jako student kulturoznawstwa do Szkoły Filmowej.

D. G.: – Co takiego jest w Łodzi, że mówi się o jej szczególnej „magii"?

M. M.: – Nie muszę łodzian przekonywać do klimatu Piotrkowskiej. Dla was, Księży Młyn jest czymś oczywistym, dla ludzi spoza Łodzi już nie. To samo jest z trzema cmentarzami, tutaj za nami, obok Manufaktury. No i największy w Europie kirkut. Kiedy chodzi się po Łodzi, mieście zniszczonym, zaniedbanym – nie mówię tego z wyrzutem, wiedzą o tym w całej Polsce- to widać, że to miasto zostało zaprojektowane i zbudowane w sposób bardzo sensowny, logiczny i wygodny. W pewnym sensie przypomina dobrze mi znaną Hawanę, która jest częściowo wyremontowana. W Łodzi degradacja architektury jest duża. Jest tu wspaniała secesja, bogata architektura przemysłowa i ten klimat ziemi obiecanej, który w jakiś sposób bywa bardzo inspirujący. Dlatego przygotowując festiwal i biorąc pod uwagę rok ubiegły, pomyślałem sobie, że musimy tym razem zrobić to inaczej. Że „okopiemy się" w tej Manufakturze po to, żeby się otworzyć na widza. Udało się, bo ludzie przyszli. Na wszystkich spektaklach były nadkomplety. Sprzedaliśmy bilety, wydaliśmy wiele zaproszeń. Nie był to festiwal dla VIP-ów, tylko dla publiczności. Te trzy namioty i hala fabryczna, jako sala teatralna, stały się miejscem o niezwykłej energii. Niestety w przyszłym roku nie wrócimy do Manufaktury, bo tu będzie jeden wielki plac budowy. Za dwa lata ten obiekt będzie już prawdopodobnie zrewaloryzowany. To co tutaj zrobiliśmy, to była antycypacja tego, co Manufaktura może zrobić na stałe. Uważam, że trzeba przywrócić życie tym 27 hektarom. Miejscu, które kiedyś dawało Łodzi pracę, chleb, życie.

D. G.: – Jak wyglądają fundusze festiwalu?

M. M.: – Druga edycja Festiwalu przebiegała pod znakiem zmian. Żadnego wyrzucania pieniędzy, niegospodarności. Wszystko robiliśmy bardzo, bardzo oszczędnie. Z niedoborów stworzyliśmy cnotę., bo tak niestety wygląda życie kulturalne w Polsce. Prowadząc Teatr Rozmaitości i Maltę, wiem o tym doskonale. Bardzo niedobrze się stało, że pieniędzy w zeszłym roku zabrakło, choć było ich tak dużo. To był największy budżet, jaki kiedykolwiek miała impreza kulturalna w Polsce. Komentowałem to już wielokrotnie. Mogę tylko liczyć, że Fundacja, która w tej chwili powstaje, do końca roku wyczyści tę sprawę.

D. G.: – Nowa Fundacja?

M. M.: – Nie chcę o tym mówić, nie znam szczegółów. Myślę, że po październikowych koncertach organizowanych wspólnie z Łódzkim Towarzystwem Muzycznym im. Karola Szymanowskiego wszystko będzie jasne i na konferencji prasowej pan Knychalski ogłosi urbi et orbi. On wymyślił ten festiwal i jest prezesem Towarzystwa Łódź – Ziemia Przyszłości, a przy okazji – nie rozumiem głosów, które podważają jego kompetencje.

D. G.: – Czy zostaje Pan z nami?

M. M.: – Tak. Bardzo chciałbym. Dostałem propozycję od pana Knychalskiego, żeby robić następny festiwal. Zrobię go z przyjemnością.

D. G.: – Wie Pan o łódzkich animozjach, są głosy, że za mało łodzian bierze udział w festiwalu?

M. M.: – Festiwal jest procesem, ktoś kto mówi, że nie zwróciliśmy uwagi na twórców łódzkich, jest po prostu nieprzychylny temu projektowi. Nie uda się zaprosić wszystkich w jednym roku. Rozmawiamy z Teatrem Jaracza, Muzeum Sztuki, czy Towarzystwem Szymanowskiego po to, żeby odnieść się do pewnego środowiska. Jeżeli nie rozmawialiśmy ze Szkołą Filmową, to nie dlatego, że ją lekceważymy, tylko dlatego, że nie było nas stać na projekt filmowy. Wierzę, że zrealizujemy go w przyszłym roku. Nie wszystko da się zrobić od razu. Mówiłem od początku i mam dowody, że chcę współpracować z łódzkimi twórcami. Podam kilka przykładów z tego roku. Nie zdaje sobie pani sprawy, z jaką determinacją walczyliśmy do ostatniej chwili, wspólnie z Mirosławem Borusiewiczem, aby powstały repliki rzeźb Kobro. Jak zwykle chodziło o pieniądze, no i o czas. Pieniądze znalazły się w ostatniej chwili.. To jest pewien znak, chciałbym żeby był mocny i wyraźny. Liczę na poważną współpracę z Muzeum Sztuki. Z dyrektorem Borusiewiczem mó-

wimy jednym głosem. Liczę też na współpracę z Galerią Manhattan i Galerią Wschodnią. Galerię Manhattan uważam za bardzo interesujące miejsce na mapie galerii polskich.
Na spotkaniu i dyskusji pod hasłem: „Ławeczka Tuwima, czy duch Strzemińskiego – jaka przyszłość czeka plastykę w Łodzi?" zjawiło się wielu znanych łódzkich artystów. Przyszedł Józef Robakowski, bardzo surowy krytyk ubiegłorocznego festiwalu. W tym roku był jedną z pierwszych osób, z którymi chciałem rozmawiać. Rozumiem jego wątpliwości. Bardzo liczę, że w przyszłości będziemy mogli zrealizować z panem Robakowskim jakiś projekt. Uważam go za artystę jedynego w swoim rodzaju w Polsce. Niezwykle też szanuję to, co robią panowie spod szyldu Łodzi Kaliskiej i Fundacji Ulicy Piotrkowskiej. W tym roku chcieliśmy zrobić z Łodzią Kaliską kolejny etap wielkich instalacji na Piotrkowskiej, ale zabrakło nam pieniędzy. Musieliśmy się bardzo trzymać budżetu, a ja mam obsesję, żeby nigdy nie podejmować zobowiązań powyżej możliwości. Na pewno zaprosimy „Łódź plastyczną".
W tym roku dwa spektakle Teatru Jaracza, przenieśliśmy do „zony", która jest w Manufakturze, w hali nr 9. Tam te przedstawienia nabrały zupełnie innego kontekstu. Posądzają mnie o antypatię wobec innych teatrów łódzkich. Nieprawda! Po prostu zaprosiłem te przedstawienia, które pasowały do koncepcji realizowanej w tym roku.
13 września mieliśmy bardzo ważny spektakl dla programu tego festiwalu – „Kamień filozoficzny" – z udziałem artystów Teatru Wielkiego. Było to preludium do festiwalu. Nie jesteśmy ortodoksyjni, jeśli chodzi o daty. W grę wchodzą inne terminy, nie tylko między 14, a 20 września. W październiku realizujemy wspólnie z Towarzystwem Szymanowskiego cykl 4 koncertów. W finale wystąpi Filharmonia Łódzka pod batutą mistrza Krzysztofa Pendereckiego. Życzyłbym każdemu festiwalowi, aby rozpoczynał się Izraelską Orkiestrą Filharmoniczną pod dyrekcją Zubina Mehty, a kończył. Pendereckim.. W mediach pojawiły się głosy, że w zeszłym roku było tak wspaniale. No tak, było wspaniale, ale zostało ponad milion dolarów długu. W tym roku też było wspaniale, ale nie zostawiliśmy ani złotówki długu. Mało tego, z części budżetu zostaną spłacone długi ubiegłoroczne., czyli – prawie 5 mln zł.

D. G.: – Wiemy już, że w przyszłym roku nie uda się powtórzyć pomysłu z Manufakturą, co proponuje Pan w zamian?

M. M.: – Chodzi nam także o atmosferę, która tu, w Manufakturze okazała się niezrównana.. To będzie rok szczególny, ze względu na 60-ą rocznicę likwidacji łódzkiego getta. Bardzo chcemy odnieść się do tej rocznicy. Mam pewien pomysł.
Festiwal rozpocznie się zapewne na początku września, ale już na 26 sierpnia planujemy jeden z projektów, nad którym pracujemy. Nasze plany ogłosimy dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli budżet i program. Na jakieś trzy, cztery miesiące przed rozpoczęciem

festiwalu, jak się normalnie przy takich dużych festiwalach robi, ruszy kampania informacyjna, reklamowa i promocyjna. Temu festiwalowi potrzeba normalności i planowania.

D. G.: – Są nadal łodzianie, którym ten pomysł się nie podoba.

M. M.: – Mam taką nadzieję, że przekonamy tych niechętnych łodzian. Przekonaliśmy już publiczność, która jest z nami. A publiczność jest kapitałem każdego festiwalu, ja to dobrze wiem. Czuję to na Malcie, kiedy za mną stoi murem 100 tys. osób. Mówiąc delikatnie, relacje Festiwalu Malta z władzami miasta i samorządowymi wojewódzkimi, są o niebo lepsze niż w Łodzi. Jestem zdziwiony, w jaki sposób Departament Kultury Urzędu Marszałkowskiego podchodzi do tego festiwalu. Nie godzę się na totalne lekceważenie pewnych sytuacji i pomysłów, ani na wywieranie nacisków i szantaż finansowy pod adresem festiwalu. Muszę to głośno powiedzieć. Tak się nie pracuje! To burzy wszelkie standardy. Ja tego nie rozumiem. Ten festiwal jest szansą dla kultury miasta.

Rozmawiała: Danuta K. Gruszczyńska

Michał Merczyński
– (ur. 1962) ukończył kulturoznawstwo na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Po studiach pracował jako menedżer Orkiestry Ósmego Dnia. Zorganizował i prowadzi od 1991 roku Festiwal Teatralny Malta. Od czerwca 2002 roku jest dyrektorem naczelnym warszawskiego Teatru Rozmaitości.

Wehikuł do Europy

II Festiwal Dialogu Czterech Kultur

Wygląda na to, że na bogatej mapie polskich festiwali pojawił się kolejny, nowy, bardzo ważny - łódzki Festiwal Dialogu Czterech Kultur. Losy jego drugiej edycji ważyły się do ostatniej chwili. - *W połowie sierpnia jeszcze nie wiedzieliśmy, czy festiwal się odbędzie* - wyznał Witold Knychalski, prezes Towarzystwa na Rzecz Dialogu Czterech Kultur Łódź „Ziemia Przyszłości" - pomysłodawca imprezy. Nic dziwnego, ubiegłoroczny festiwal, który gospodarował pieniędzmi w sposób porażająco rozrzutny - jak ocenia jedna z łódzkich gazet - oferując może zbyt szeroki program, miał do dyspozycji ponad 11 mln zł. Tegoroczny musiał obejść się kwotą bez porównania mniejszą, wynoszącą około 3 mln. To mniej niż długi, które zostawiła pierwsza impreza. Dlatego zdecydowało to o wyborze lokalizacji - najtańszej z możliwych.

Koncepcja zamknięcia całości imprezy w obrębie opustoszałej fabryki Izraela Poznańskiego, poza kilkoma wyjątkami, sprawdziła się nadspodziewanie. Namioty cyrkowe na tle starej zabudowy fabrycznej sprawiły, że klimat festiwalu stał się ekscentryczny i niepowtarzalny. Niepowtarzalny, bo już niedługo będzie tu ogromny plac budowy. Za dwa, trzy lata dawny „Marchlewski" zostanie przekształcony w centrum rekreacji, rozrywki i handlu pod nazwą „Manufaktura". Może wtedy festiwal wróci w odrestaurowane mury hali nr 9, która kilkakrotnie stawała się jego sceną teatralną.

Prawdopodobnie właśnie ten specyficzny klimat sprawił, że do namiotów ciągnęły rzesze łodzian, choć na mieście prawie nie było reklam. Pojawiło się wprawdzie dwieście spotów reklamowych na antenach czterech programów Polskiego Radia i zwiastunów telewizyjnych. Powstał też plakat Rafała Olbińskiego, zawisły bilbordy. Niestety, zbyt mało było czasu, żeby to dostrzec. Pomimo tego łodzianie wyjątkowo tłumnie szli do Manufaktury. Niektórzy po raz pierwszy, niepewnie szukając wejścia. Bo i tam nie było nawet plakatu!

Łódzki festiwal rozpoczął się akordem wysokiej, światowej próby. Po raz pierwszy w Polsce wystąpiła bowiem słynna Izrael Philharmonic Orchestra. Filharmonicy zagrali VII Symfonię Gustawa Mahlera. Słowa muzykologa Karla Schumanna, iż jest to wyrafinowana satyra na wulgarność otaczającego nas świata i komentarz do nadętego stylu przełomu tysiąclecia, do dziś wydają się aktualne. Mimo,

iż chodziło o przełom XIX i XX wieku. W wykonaniu izraelskich muzyków pod batutą jednego z najwybitniejszych, żyjących dyrygentów Zubina Mehty, koncert oprócz porywającego klimatu niósł także i sentymentalną nutę, bo przecież tę słynną dziś orkiestrę założył w 1936 roku polski skrzypek żydowskiego pochodzenia Bronisław Huberman. Niewątpliwie wydarzenie tej miary odbiło się szerokim echem nie tylko w Polsce. Myślę, że pomoże to festiwalowi podtrzymać wysoką markę.

Nie ulega wątpliwości, że Łódź powinna zaprezentować więcej swych walorów artystycznych i kulturalnych. Na razie pewien skromny początek został zrobiony. Na terenie Manufaktury wystawiono czterokrotnie powiększone kopie dwóch rzeźb Katarzyny Kobro (1898-1950). Tylko dwie, bo na więcej brakło pieniędzy i czasu. Dlaczego Katarzyna Kobro, muzealny klasyk międzynarodowej awangardy, a nie na przykład współcześnie żyjący w Łodzi artyści? Choćby Włodzimierz Finke, łódzki rzeźbiarz, lepiej chyba znany w Europie niż w Łodzi, czy Wiesław Karolak, autor oryginalnych projektów, pracujący dla UNESCO? Kobro była pierwsza. Dziś zna ją cały świat interesujący się sztuką nowoczesną, łódzkie Muzeum Sztuki Współczesnej szczyci się unikalną kolekcją dzieł tej rzeźbiarki i jej męża, wybitnego malarza Władysława Strzemieńskiego.

Artystka, łodzianka z wyboru, córka Niemca i Rosjanki, podarowała swoje prace miastu, w którym spędziła całe swoje dojrzałe życie. - *Kobro jest doskonałym symbolem festiwalu* - powiedział podczas wernisażu dyrektor muzeum Mirosław Borusiewicz. Po niej przyjdzie czas na następnych twórców. Także żyjących w naszym mieście i może tutaj niedocenionych.

Festiwalowi towarzyszyły trzy niewielkie wystawy malarskie. Pokazano plon konkursu „Łódź - Ziemia Obiecana - Dziedzictwo Czterech Kultur", ekspozycję prac Barbary i Krzysztofa Wilczewskich „Architektura 4 Kultur" oraz obrazy Marii Elsner-Michalskiej. Prezentacje godne uwagi, ale przyćmione natłokiem innych imprez. W programie przeważała muzyka, od poważnej do klubowej, w wydaniu międzynarodowym. Świetnie wypadł Kwartet A2 znanego aktora Krzysztofa Majchrzaka, łodzianina z pochodzenia. *Nasz zespól gra jazz dla tych, którzy jazzu nie lubią* - mówi Majchrzak. Znane standardy różnych stylistyk w nowych, oryginalnych aranżacjach, utrzymywanych w stylu jazz rocka z przełomu lat 60. i 70. wywołały ogromny aplauz słuchaczy. Bardzo podobał się recital Stanisława Sojki, który do własnej muzyki śpiewał wiersze Wisławy Szymborskiej, Bolesława Leśmiana i Leopolda Staffa. Niestety, dobrze zapowiadający się wieczór z Orkiestrą Na Zdrowie Jacka Kleyffa, dawnego barda kabaretu Salon Niezależnych, został zmarnowany. Rozpoczęcie występu nie zgadzało się z godzinę podaną w większości programów, a przesadne nagłośnienie hali nr 9 spowodowało, iż słowa - tak przecież ważne u Kleyffa - były praktycznie niezrozumiałe. Zawiodła technika w rękach amatorów? Zapomniano, że nie każdej muzyce takie nagłośnienie służy, a słuchacze to nie tylko młodzież wychowana w dyskotekach.

Prawdziwą ucztą dla ucha i duszy okazał się koncert Chóru Akademickiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zespół ten wyróżniający się brzmieniem i wykonywanym repertuarem, odniósł wiele spektakularnych sukcesów na całym świecie. Program koncertu zawierał utwory wykonane 13 kwietnia 2003 roku na uroczystym koncercie z okazji 60. Rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim, w renomowanej sali radiowej Sendsaal w Berlinie. Kompozytor, dyrygent i szef artystyczny Chóru Akademickiego Jacek Sykulski to autor hymnu „Abba Ojcze", napisanego w 1991 roku na rozpoczęcie VI Światowego Dnia Młodzieży. Wielkie uznanie w świecie wzbudził jego chorał „Kyrie", zaprezentowany po raz pierwszy w Rzymie. Chór śpiewał (zaproszony przez senator Hilary Clinton) na Capitolu w Waszyngtonie, w Nowym Jorku w Katedrze Św. Patryka, w siedzibie ONZ, w „Strefie Zero" World Trade Center i siedzibie straży pożarnej na Manhattanie. Techniki wokalne służące transformacji brzmienia, stosowane przez Jacka Sykulskiego w pracy ze śpiewakami powodują, że w niektórych utworach („Kyrie", czy szczególnie w „Voices from the past"), ich głosy osiągnęły wyjątkową ekspresję. Szkoda tylko, że koncert w kościele Św. Mateusza był słabo promowany. Mimo bezpłatnego wstępu, przyszło niewielu słuchaczy.

Znacznie więcej mówiło się o spektaklu operowym pt. „Kamień filozoficzny albo zaczarowana wyspa", który wystawiono w Teatrze Wielkim w przeddzień oficjalnego rozpoczęcia festiwalu. Polską prapremierę przygotował międzynarodowy, szwajcarsko - holendersko - polski zespół. Do rozgłosu przyczyniła się zapewne wiadomość, że na manuskryptach tej bajkowej opery odkryto nazwisko Mozarta. Ale na tym sensacja się skończyła. Po obejrzeniu i wysłuchaniu ostatecznego efektu okazało się, iż wybroniły się tylko...fragmenty oryginalnej muzyki Mozarta. Jak określiła to jedna z gazet - miała powstać operowa perełka, a okazało się, że to zwykły kamień.

Dużym wydarzeniem artystycznym stał się spektakl teatralny przywieziony przez Teatr Modrzejewskiej z Legnicy. Teatr znany jest w całym kraju, a także za granicą - bywał we Włoszech, w Czechach, na Litwie, w Niemczech i w Hiszpanii. Odnosi liczne sukcesy, jest dziś jednym z najczęściej nagradzanych teatrów w Polsce. Wielkim sukcesem zakończyła się prezentacja „Koriolana" wg Szekspira na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Edynburgu. Telewizyjną realizację „Ballady o Zakaczawiu" w reżyserii Jacka Głomba, wyróżnionego za ten spektakl nagrodą im. Konrada Swinarskiego, oglądało ponad 1 milion 200 tysięcy widzów! W marcu 2003 roku, z okazji jubileuszu 160-lecia budynku teatralnego i 25-lecia sceny polskiej, wystawiono sztukę Roberta Urbańskiego „Wschody i Zachody Miasta". Jacek Głomb, zwykle wychodzi z zespołem w naturalną przestrzeń pozasceniczną. Stare, zapomniane budynki są dla niego symbolem zmagania się z ruinami dawnego ustroju. Właśnie ten spektakl zagrano w Teatrze Muzycznym (gdyż jest tam scena obrotowa).
Jest to portret jednego teatru i związanych z nim ludzi. Teatr w teatrze, grany w teatrze.

Akcja rozgrywa się między 1933 a 1956 rokiem i opowiada o życiu teatru i miasta w trzech okresach: niemieckim, rosyjskim i polskim. Bohaterem sztuki jest budynek teatru, przez który przetacza się historia: niemiecka, żydowska, rosyjska i polska. Rzecz zaczyna się w 1933 roku, kiedy to w Teatrze Miejskim ma miejsce uroczyste otwarcie ufundowanej przez bogatych mieszczan sceny obrotowej. Urbański odkrył niemiecką tożsamość Legnicy. Odnalazł w Niemczech widzów legnickiego teatru z lat 30. oraz 40. i oparł sztukę na ich relacjach. Pokazał, jak zmieniały się losy mieszkańców na tle dramatycznych wydarzeń tamtych lat w pewnym Mieście w Europie Środkowo-Wschodniej. Ukazał podobieństwa dwóch - wydawałoby się różnych - totalitaryzmów, ich niszczący wpływ na człowieka, bez względu na jego narodowość, oraz spustoszenie, jakie poczyniły one w obyczajowości, w sztuce, a nawet w nauce.

Trzy i pół godziny, z jedną przerwą, spędzone w fotelu teatralnym prawie bez ruchu i bez odrobiny znudzenia, to miara sukcesu tego spektaklu. Całemu wydarzeniu towarzyszyła szczególna wystawa. Były to portrety i - noszące znamiona autentyczności - poruszające życiorysy bohaterów opowieści, odnalezione podobno w Nowym Jorku przez anonimowych legniczan.

Szkoda tylko, że organizatorzy (rozdając ponoć bezpłatne bilety) zapełnili widownię nie potrafiącą się zachować młodzieżą szkolną, która niewiele chyba zrozumiała z tego spektaklu. Na szczęście znudzeni wyszli. Ci, którzy zostali, zgotowali artystom owację na stojąco.

Fascynujący był także drugi spektakl przedstawiony przez legniczan. „Zona" w reżyserii Lecha Raczka - opowieść swobodnie inspirowana filmem Andrieja Tarkowskiego „Stalker", osnutym na kanwie powieści science fiction braci Arkadija i Borysa Strugackich „Piknik na skraju drogi". W hali nr 9 Bohdan Cieślak zbudował scenografię przeczącą prawom geometrii, mającą ukazać trudy i niebezpieczeństwa poruszania się w Strefie. To obszar pozostały po niewyjaśnionym wydarzeniu: upadku meteorytu, czy może lądowaniu przybyszów z kosmosu, gdzie stale objawiają się niewyjaśnione przez naukę zjawiska. Bohaterowie próbują dotrzeć do komnaty spełniającej najskrytsze pragnienia. I tyle fantastyki. Reszta to samo życie. Rozterki i wahania ludzi uświadamiających sobie własne niedoskonałości, ograniczenia umysłu i lęki. Myślących o odpowiedzialności, jaka na nich spadnie, kiedy odkryją i utorują drogę do komnaty. Obawiających się tych, którzy przyjdą po nich: niedoszli władcy, inkwizytorzy, po to, żeby zmienić świat na swój obraz i podobieństwo. „Zona", to opowieść o najskrytszych pragnieniach i o tym, co naprawdę jest ważne w życiu.

Z teatrów łódzkich swoje dwa spektakle, doskonale znane łódzkiej publiczności, zaprezentował Teatr im. Jaracza. Były to „Toksyny" Krzysztofa Bizio, wstrząsający obraz stanu ducha i kondycji moralnej społeczeństwa, oraz „Merlin Mongoł" Nikołaja Kolady ukazujący beznadzieję życia na prowincji rosyjskiej, zapewne niewiele różniącej się od obrazu prowincji polskiej a może i innych...

Warto także wspomnieć o dwóch zespołach cyrkowych, które zadziwiły i zachwyciły publiczność. Czy może istnieć cyrk bez zwierząt? Okazało się, że tak. Rosyjska grupa, składająca się tylko z klaunów, to odpowiednio wyważona dawka refleksji i śmiechu. To również wielka sprawność warsztatowa i umiejętność nawiązywania bliskiego kontaktu z widownią. Trudno ten spektakl zaliczyć bez głębszego zastanowienia do „rozrywki plebejskiej", jak niektórzy cyrk nazywają.

„Gosh" z Niemiec, to właściwie trupa międzynarodowa, gdyż są tam Francuzi, Niemcy, Belgowie, Hiszpanie. Krytyk Fabian Tenaille pytał: Czy to kabaret, cyrk czy teatr? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Są tu sztuczki i błazeństwa czysto cyrkowe, jest piosenka kabaretowa, jest też groteska i tragedia, wulgarność i liryzm. Jednak chyba bliżej tu do „rozrywki plebejskiej", niż do sztuki. Odbiór całości utrudnia mieszanka językowa, którą posługiwali się artyści.

Warto także wspomnieć o prezentacji uczestników programu „Wieża Babel", który zapoczątkowano w zeszłym roku. Projekt ma pomóc w rozbudzeniu zainteresowania młodzieży kulturą mniejszości żyjących w danej społeczności i kształtowaniu postaw tolerancji rasowej i religijnej. Jak doniosły to plan, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Zwłaszcza w mieście o murach naznaczonych szowinistycznymi hasłami. W warsztatach zorganizowanych wiosną brali udział uczniowie, nauczyciele i dydaktycy. Tuż przed festiwalem, w Łodzi gościła grupa młodzieży ze Stuttgartu. W ramach programu, przedstawiciele Deutsche Telekom i Judenhausu Stuttgart Mitte prowadzili warsztaty i zajęcia edukacyjne w studiu multimedialnym wyposażonym w przywieziony przez siebie sprzęt najwyższej klasy. Młodzież niemiecka i polska wspólnie nakręciła film o Łodzi.

Wypada kończyć wędrówkę po meandrach festiwalu w Manufakturze, choć zostało jeszcze kilka ciekawych zdarzeń muzycznych, poetyckich i filmowych.

Nasuwa się wniosek: festiwal jest potrzebny, bo mieszkańcy miasta go zaakceptowali. Wszyscy, nawet ci, którzy na co dzień do teatru czy na koncerty nie chodzą. Nie dlatego, że nie mają takiej potrzeby. Często dlatego, że ich na to nie stać.

Wśród łódzkich artystów zdarzają się, co prawda sceptycy takiej formuły festiwalu. Jeden z ważniejszych przedstawicieli nowej awangardy Józef Robakowski uważa, iż Łodzi szkodzą wielkie imprezy, bo miasto ich nie uniesie. Warto więc byłoby zastanowić się jak pomóc w tym miastu? Nie wystarczy samo krytykowanie kiczu, który dość powszechnie panuje na ulicach, co potwierdzają chociażby rzeźby na Piotrkowskiej oraz różne przypadkowe imprezy organizowane pod szyldem miasta.

Za dobrą wróżbę należy jednak wziąć słowa unijnego komisarza Güntera Verhrugena, który goszcząc wiosną w Łodzi powiedział: festiwal jest jedynym wehikułem, który może dowieźć Łódź do tytułu kulturalnej stolicy Europy.

Danuta K. Gruszczyńska
– niezależna dziennikarka, publikuje w łódzkiej prasie

historia

Stłumienie tramwajarskiej rewolty w 1957 roku
Zapomniany strajk
Józef H. Wiśniewski
str. 87

Dyskretny urok iluzji
25-lecie Krajowego Klubu Iluzjonistów
Krystyna Lewicka
str. 92

„Zeitungi", „Kuriery", „Expressy"
140 lat prasy codziennej w Łodzi cz. I
Wacław Pawlak
str. 96

Józef H. Wiśniewski

Stłumienie tramwajarskiej rewolty w 1957 roku

Zapomniany strajk

Był rok 1957. Kilka miesięcy po zmianach październikowych wydawało się, że nastąpił już kres zbrodniczych, stalinowskich metod rządzenia. Władysław Gomułka objął stanowisko I sekretarza KC PZPR, potępił tzw. błędy i wypaczenia i stwierdził, że w słusznych sprawach robotnicy mogą nawet strajkować.

W piękną lipcową sobotę spotkałem wujka Włodzimierza Krzemińskiego, pracownika zajezdni MPK przy ul. Tramwajowej. Powiedział, że w poniedziałek, 10 lipca rozpoczyna się strajk tramwajarzy. Pracowałem wówczas jako dziennikarz oddziału „Sztandaru Młodych" w Łodzi. Na ówczesnym rynku prasowym była to względnie niezła gazeta, nie schematyczna i ciekawie redagowana. Natychmiast poinformowałem redakcję o zbliżającym się strajku i poprosiłem o przysłanie samochodu.

W poniedziałek zacząłem objeżdżać zajezdnie tramwajowe, począwszy od Helenówka. Wszędzie tramwaje stały, a ich obsługa okupowała zajezdnie. W większości byli to starzy, przedwojenni pracownicy, prawdziwa elita robotnicza. Przed wojną mieli obok kolejarzy najwyższe pensje, własne kasy emerytalne, które zapewniały 100 procent emerytury i dostęp do kredytów, dzięki którym mogli budować na Radogoszczu lub na Sikawie domki jednorodzinne. Tramwajarze posiadali również prawo do świadczeń socjalnych na wysokim poziomie i gwarancję stałej pracy. Wyróżniali się też patriotyzmem a wielu z nich miało za sobą udział w kampanii wrześniowej. Nierzadko przed wojną należeli do PPS, i podczas wojny brali udział w różnych akcjach społecznych.

Po wojnie tramwajarze utracili wszystkie przywileje i podobnie jak inni pracownicy państwowi byli marnie wynagradzani. Nie próbowali jednak protestować, gdyż terror stalinowski trzymał ich w ryzach. Co prawda zgłaszali parokrotnie postulaty w sprawie podwyżek płac, lecz spotykali się z odmową motywowaną potrzebami związanymi z powojenną odbudową kraju.

Ale w 1957 r. kategorycznie zażądali podwyżek. Nie pomogły zabiegi działaczy związkowych, ani aktywu partyjnego, który nie chciał dopuścić do strajku. Pod zajezdnią przy ulicy Dąbrowskiego sytuacja wyglądała dramatycznie. Już rano 10 lipca spotkaliśmy tu oddział milicji w pełnym uzbrojeniu, w kaskach, z bagnetami na

karabinach i maskami przeciwgazowymi. Oddziałem dowodził kapitan z obnażoną szablą, wywołując zdziwienie tym niecodziennym rekwizytem.
Z pobliskiej Fabryki Kotłów i Radiatorów wyszli robotnicy. Wyrażali solidarność ze strajkującymi i zachęcali do wytrwania.

Tymczasem władze szukały gorączkowo wyjścia z trudnej sytuacji. Na wiecu przed zajezdnią przy ulicy Tramwajowej pojawił się minister gospodarki komunalnej Stanisław Moskwa. Tłumaczył robotnikom, że ich żądania płacowe są zbyt wygórowane. Szukał kompromisu, obiecywał niewielkie podwyżki, przedstawiał trudną sytuację ekonomiczną kraju, sypał liczbami, przekomarzał się z robotnikami.

Po mieście, już od rana, jeździły samochody Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z ławkami dla pasażerów i zatrzymywały się na przystankach tramwajowych. Podobno gen. Komar - dowódca KBW odmówił użycia sił wojskowych do stłumienia strajku i zamknął się w KŁ PZPR. W wielkiej tajemnicy znalazł się tam także członek Biura Politycznego KC PZPR i przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych - Ignacy Loga - Sowiński , zwolennik rozwiązań siłowych. W gmachu przebywali w komplecie ludzie z aparatu KŁ PZPR. Komitet był zamknięty, pilnowany przez SB. Nikogo nie wpuszczano do środka. Łodzianie wyrażali solidarność z tramwajarzami, tym bardziej, że samochody KBW ułatwiły im dojazdy.

Wróćmy jednak do zajezdni przy ul. Dąbrowskiego. Wojowniczy kapitan MO po kilkakrotnym wezwaniu tramwajarzy do zaprzestania strajku wydał w końcu rozkaz marszu na zajezdnię.

Przy niskim murku okalającym zajezdnię stanęły tramwajarki. Gdy milicjanci podeszli z wystawionymi bagnetami, one odpychały broń na bok. Kapitan, niezadowolony ze zbyt delikatnej akcji milicjantów, dał rozkaz do odwrotu. Polecił założyć maski przeciwgazowe i uzbroić granaty z gazem łzawiącym. Raz jeszcze krzyknął do tramwajarzy wzywając ich do opuszczenia zajezdni, grożąc, że wobec oporu stawianego władzy i „ataku" na milicję użyje gazu. Chwilę później dosięgnął mnie obłoczek gazu niesiony przez wiatr i łzawiąc odbiegłem na bezpieczną odległość.

Kobiety w zajezdni zaczęły krzyczeć. Wszystkie płakały. Twarze miały zapuchnięte, zaczynały się dusić. Kilku mężczyzn rzuciło w stronę milicjantów kamienie, wykrzykiwano słowa protestu. Ktoś zawołał: Gestapo, gestapo! Milicjanci cofnęli się na drugą stronę jezdni.
W Fabryce Kotłów zawyła syrena. W tym całym zamęcie dostrzegłem , że tramwajarze wnoszą porażone gazem koleżanki do wagonu tramwajowego.

Towarzyszący mi warszawscy dziennikarze „SzM": Irena Lewandowska i Krzysztof Wolicki wezwali mnie do samochodu. Auto ostro ruszyło w stronę zajezdni. Za nami pojechał wagon z porażonymi gazem tramwajarkami.
Kiedy ponownie dotarliśmy na ulicę Tramwajową minister Moskwa dalej przemawiał, ciągnął nudnawą opowieść o sytuacji ekonomicznej kraju.

Moskwa stał na skrzyni, a dostępu do niego broniła obstawa. Było to w chwili, gdy pod zajezdnię dotarł wagon tramwajowy z zapuchniętymi od płaczu kobietami. Głośno krzyczały. Powstałe napięcie szybko udzieliło się wiecowemu tłumowi. Bałem się, że narastający gniew demonstrantów może skupić się na tym niezbyt rozgarniętym funkcjonariuszu z Warszawy. Krzyknąłem, że grozi mu niebezpieczeństwo. Powstał zamęt, w którym udało mi się chwycić ministra za rękaw i pociągnąć za sobą w stronę samochodu.

Udało nam się dotrzeć do auta. Wepchnęliśmy ministra do środka. Gdy kierowca ruszył, posypały się w naszą stronę kamienie. Skołowany tą sytuacją minister zaczął krzyczeć: Kim jesteście, co wyrabiacie?

Wyjaśniłem, co się stało i że groził mu lincz. Uspokoiwszy się nieco podziękował i zapytał czym może się odwdzięczyć. Odpowiedzieliśmy chórem, że prosimy, aby nam załatwił przepustkę do gmachu Komitetu Łódzkiego PZPR. Minister spełnił nasze życzenie. Znaleźliśmy się na krótko w salce, w której partyjniacy podczas przerwy w obradach raczyli się koniakiem. Loga-Sowiński zapytany o sytuację i dalszy bieg wydarzeń uciął lakonicznie rozmowę: *radzimy, jeszcze nie wiemy co robić, ale nie możemy dopuść do tego, aby jedno z największych miast w Polsce pozostawało bez komunikacji... Nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji...*

Przewodniczący kazał nas poczęstować koniakiem i dał do zrozumienia, że powinniśmy się wynieść, bo niebawem zaczną się obrady. Oficer SB przeprowadził nas do bocznego pokoju i zagroził, ze jeśli ujawnimy komukolwiek, że towarzysz Loga jest w Łodzi, to poniesiemy tego konsekwencje. W tym czasie dobiegł nas podniesiony głos Logi, który rugał Moskwę, że wprowadził dziennikarzy.

W redakcji spisałem kilkunastostronicową relację, zakończoną stwierdzeniem, że prowokacja milicji zaostrzyła sytuację. Całość nadałem dalekopisem do Warszawy.

Tego samego dnia wieczorem udałem się do zajezdni przy Tramwajowej, ale porządkowi nie wpuścili mnie do środka. Na szczęście nawiązałem kontakt z wujkiem Krzemińskim, który przekazał mi cenne informacje. Otóż w ciągu dnia SB docierała do motorniczych i innych pracowników MPK i zmuszała ich do wyprowadzenia tramwajów z zajezdni. .Obiecywano im „złote góry" i jednocześnie straszono. Jeden motorniczy uległ presji, wytoczył tramwaj z zajezdni w Helenówku, ale potem zostawił go na szynach i uciekł. Akcja bezpieki 12 i 13 lipca nie przyniosła jednak żadnych rezultatów. Tramwajarze stawiali solidarny opór.

Strajkujący, nawet ci, skłonni do kompromisów, byli nieprzejednani. Domagali się co najmniej 50-cio procentowej podwyżki płac i przywrócenia im niektórych przywilejów uzyskanych jeszcze przed wojną.

Sytuację zaostrzyła łódzka prasa, która zgodnie potępiała protest używając niewybrednych epitetów, z których najłagodniejszym było nazwanie strajkujących ... lumpenproletariatem.

Natomiast prasa ogólnopolska na czele z warszawską milczała.

Jako dziennikarze znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Z KŁ PZPR nie mogliśmy wydobyć żadnej informacji, bo już nas tam nie wpuszczano. Kontakty ze strajkującymi, po napaściach łódzkiej prasy, były utrudnione. Nieoficjalnymi kanałami dowiedzieliśmy się, że strajk będzie stłumiony siłą. Przez cały czas wysyłałem do Warszawy dalekopisy z informacjami o sytuacji.

12 lipca wieczorem pojechaliśmy do zajezdni przy Tramwajowej. Już przy ulicy Tuwima spotkaliśmy dużą kawalkadę ciężarówek, które podwoziły plutony ORMO. Ormowcy dzierżyli kije, nogi od stołów i inne niebezpieczne narzędzia. Dostrzegłem wśród nich pewnego boksera wagi ciężkiej, który raczył się płynem z piersiówki. Podjechaliśmy do zajezdni, gdzie udało się ostrzec strajkujących, że szykuje się na nich atak.

O północy ze środy 12, na czwartek 13 lipca, podjechały wozy ormowców i potężna wataha podpitej „rezerwy MO" ruszyła na strajkujących. Powitała ich ulewa z hydrantów, która tylko na chwilę powstrzymała napastników. Obserwowaliśmy ze zgrozą sceny katowania strajkujących. Krew pryskała na ściany, bito leżących, rzucano ich jak kłody do ciężarówek. Cała akcja trwała kilkanaście minut. Liczba atakujących była przeważająca.

Ponownie posłałem informacje do Warszawy. Nazajutrz w gazecie ukazała się tylko krótka wzmianka o tym, że w Łodzi odbył się strajk tramwajarzy, który zakończył się w środę. Nic więcej.

Następnego dnia tramwaje wyjechały z zajezdni, ale w ograniczonej ilości. W każdym wagonie obok motorniczego stali „pilnowacze". Przez kilka dni nie było konduktorów i pasażerowie jeździli bez biletów.

Od wujka dowiedziałem się , że przywódców i najbardziej aktywnych strajkowiczów aresztowano. Wiele osób znalazło się w szpitalach. Nastąpiły zwolnienia z pracy, wyrzucono wielu pracowników, podobno z wilczym biletem.

„ Normalizacja" trwała dość długo. Podniesiono w MPK płace, zmieniono system zatrudnienia. Właśnie wtedy pozbawiono pracy wielu konduktorów i wprowadzono samoobsługę. Mniejsze zatrudnienie pozwoliło na niewielkie podwyżki.

Tydzień po zakończeniu strajku wezwano mnie do Warszawy. Zastępca naczelnego redaktora oznajmił mi, że zostałem poproszony do KC PZPR do samego Gomułki. Okazało się bowiem, że I sekretarz miał kanały informacyjne nie tylko partyjne i ubeckie, ale także prasowe.

Na sali, gdzie siedział Gomułka z sekretarzami i aktywem, zobaczyłem aktywistów z Komitetu Łódzkiego. W ich obecności I sekretarz partii odczytał streszczenie moich informacji i poprosił mnie o ich potwierdzenie. Zapytał o kilka szczegółów i przebieg działań milicji pod zajezdnią przy ul. Dąbrowskiego. Niewiele pytał o wypadki przy Tramwajowej, po czym powiedział, że jestem wolny. Razem

z Marianem Turskim- zastępcą naczelnego „Sztandaru Młodych" ruszyliśmy w stronę wyjścia. Na dźwięk tłuczonego szkła i okrzyk Gomułki: „ skurwysyny - jestem oszukany" przyspieszyliśmy kroku.

Tydzień po spotkaniu w KC, w niedzielnym wydaniu „Sztandaru Młodych" ukazał się duży artykuł Krzysztofa Wolickiego o strajkach. Był to tylko materiał ogólny, zapowiadający obszerną relację z Łodzi w następnym numerze. Artykuł jednak zdjęła cenzura, a Wolickiego wyrzucono z redakcji. Później jakoś sobie poradził, nawet przez jakiś czas pracował w „Trybunie Ludu".

Ja skutki swej pisaniny odczułem znacznie gorzej. Następnego roku zwolniono mnie z gazety, która znów stała się organem ZMS. Nie mogłem wrócić do prasy przez dwa lata, gdyż etatami dziennikarskimi w Łodzi dysponował... KŁ PZPR.

W MPK trwał jednak bierny opór i przetrwała tradycja walki. Znacznie później, bo w 1981 r. MPK stało się gniazdem społecznego buntu „Solidarności". Stąd też wywodził się pierwszy przewodniczący NSZ „Solidarność Ziemi Łódzkiej" Andrzej Słowik i wielu innych sztandarowych postaci antykomunistycznej opozycji robotniczej.

Józef H. Wiśniewski

- poeta, dziennikarz, publicysta; rodowity łodzianin.

Dyskretny urok iluzji

25-lecie Krajowego Klubu Iluzjonistów

Iluzja? Sztuki magiczne?

Połóżmy rękę na sercu, przymrużmy jedno oko i przyznajmy szczerze: to bawi, ciekawi, irytuje, często zdumiewa i prowokuje pytanie: jak to się dzieje, że to, co niemożliwe jest możliwe? Jak pan to robi?

Sztuka iluzji, sztuka czarodziejów, magia jest najstarszą ze sztuk, jakie zna ludzkość. Bo kimże byli wróżbici, sztukmistrze, magowie, czarownicy, cudotwórcy, kuglarze, szamani, których znamy z bajek, legend, literatury czy z kart historii Europy, Azji, Afryki, Ameryki. Kim byli jeśli nie iluzjonistami? Wprawdzie współcześni czarodzieje niewiele mają wspólnego ze znanymi nam postaciami magów starożytności czy średniowiecza, i nie przypominają Pana Twardowskiego, hrabiego Cagliostro, lub barona Meunchhausena, ale niewątpliwie łączą ich wspólne cechy. Jakie? Choćby ta, że ktoś o takich predyspozycjach trafia się bardzo rzadko, jeden na milion, może na kilka milionów ludzi. Z reguły posiada talent aktorski, niezwykłą sprawność rąk i palców, błyskawiczny refleks, wysoki iloraz inteligencji, a także szczególną umiejętność odwracania uwagi widza. To fakt, iluzjonista potrafi „wodzić za nos" publiczność, tj. zmuszać widzów by patrzyli tam, gdzie im to artysta sugeruje. Wszystkie te cechy plus pomysłowość i nieustanna praca nad szlifowaniem formy prezentacji sprawiają, że widz patrzy, zdumiewa się, niekiedy próbuje rozszyfrować zagadkę triku, wreszcie przyznaje rozbrajająco, że to, co widzi, to jednak autentyczny „cud".

Przed 25 laty powstał przy Łódzkim Domu Kultury klub współczesnych magików-czarodziejów tj. Klub Iluzjonistów – Amatorów. Inicjatorem był ówczesny dyrektor Jan Jakubiszyn, a dwaj artyści sztuki iluzji mistrz Caroni (Jerzy Mecwal-

dowski) i mistrz Polini (Waldemar Wagner), walnie przyczynili się do tego, by w sztuce iluzji, sztuce aktorów specjalizujących się w demonstrowaniu efektów trikowych, przywrócić należne jej miejsce, włączając ją jako dyscyplinę artystyczną do działalności kulturalno-oświatowej. W krótkim czasie okazało się, że utworzenie tego klubu to był przysłowiowy „strzał w dziesiątkę".

Od 1976 roku iluzjoniści-hobbyści, rozproszeni na terenie kraju, uznali klub i miasto Łódź za swoją „ziemię obiecaną". Solidna siedziba w centrum miasta, status organizacji artystycznej, finansowa pomoc Łódzkiego Domu Kultury, systematycznie wydawany od roku 1976 i fachowo redagowany przez Mecwaldowskiego poradnik instruktażowy pt. „Hokus-Pokus" (tylko dla wtajemniczonych), seminaria, nagrania kasetowe, giełdy rekwizytów a nawet organizowane kilkakrotnie „wczasy iluzjonistyczne" w miejscowościach wypoczynkowych dopełniły dzieła, przydając znaczenia nowej dyscyplinie artystycznej. W roku 1979 Klub Iluzjonistów – Amatorów zmienił nazwę na Krajowy Klub Iluzjonistów z siedzibą w Łodzi.

Wobec początkowej nieufności i rezerwy ze strony hermetycznego grona zawodowych artystów iluzji, skupionych w Krajowej Sekcji Artystów Iluzji, działającej przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki w Warszawie, klub zyskał życzliwość seniora polskich czarodziejów mistrza Nemo – Juliusza Konczyńskiego, oraz cieszącego się sławą międzynarodową legendarnego mistrza Salvano – Tomasza Chełmińskiego. Popularny jest dowcip, że w skali ocen 1: 10 umiejętności Salvano warte są 11 punktów.

Klub systematycznie kształcił zdolnych adeptów, przygotowywał występy estradowe i wystawy, przede wszystkim jednak corocznie – od 1976 r. – organizował kongresy, na które zapraszano iluzjonistów z sąsiednich krajów: Czechosłowacji, NRD, Węgier, Bułgarii, ZSRR. Udany występ na łódzkim kongresie był szansą dla najbardziej utalentowanych i przepustką artysty w „szeroki świat".

Działalność łódzkiego klubu na europejskim rynku artystycznym dostrzeżono w roku 1982, gdy młody wówczas student medycyny z Łodzi – Sławomir Piestrzeniewicz (pseudonim Arsene) zdobył w Lozannie tytuł vice-mistrza świata w najtrudniejszej kategorii sztuki iluzji – w sztuce manipulacji. Doskonaląc swój warsztat, w kilka lat później Arsene powtórnie zdobył ten tytuł, a kilku innych członków KKI również zyskało laury na międzynarodowych kongresach.

W tym czasie klub nawiązał już trwałą współpracę z organizacjami iluzjonistycznymi Austrii, Francji, Szwajcarii i Szwecji. Na łódzkich kongresach zagraniczni goście brali udział w przeglądach kongresowych, zdobywali też nagrody. Rok 1981 przyniósł oczekiwany sukces: Krajowy Klub Iluzjonistów z Łodzi zyskał członkostwo międzynarodowej organizacji artystów sztuki iluzji FISM (Federation Internationale des Societes Magiques) z siedzibą w Paryżu. KKI „wszedł do Europy" frontowymi drzwiami wcześniej niż inne organizacje artystyczne. Wiadomo: czarodzieje!.

Często pojawia się pytanie: czy łatwo we współczesnym świecie, w epoce wszechobecnej elektroniki i internetu, prezentować się na estradzie jako iluzjonista? I kim są ci powszechnie podziwiani artyści?

Łódzki klub, podobnie jak kluby tego typu w innych krajach – ma w swoim gronie przedstawicieli różnych profesji: inżynierów, lekarzy, mechaników precyzyjnych, nauczycieli, aktorów, także biznesmenów i przedstawicieli wolnych zawodów. Ale iluzjonistów nie jest wielu i pilnie strzegą oni swoich tajemnic. Nie przeczą, że motywuje ich przemożna chęć nietypowego działania, potrzeba wyjścia poza banalność dnia codziennego, chęć tworzenia rzeczy nieprzeciętnych, zadziwiających ludzi.

Ci najbardziej ambitni przyznają, że ogarnia ich pragnienie osiągnięcia tych wyżyn, na których ich pasja przeradza się w artystyczną twórczość. Gdy osiągają poziom mistrzowski rośnie satysfakcja, ranga, splendor, znaczenie i zarobki. Ta fascynująca sztuka wyróżnia ich w otoczeniu. Przeszkody, rywalizacja, przeciwności są tym, co dopinguje, skłania do szukania forteli, korzystania z okazji, byle tylko podpatrzeć, byle odkryć sekret triku czy zdobyć upragniony rekwizyt. Zresztą radość ze zdobyczy nie trwa długo: pasja weźmie górę, pojawi się niepokój i zaczyna się pogoń za nową zdobyczą. Bo iluzjonistyczne hobby jest nierozerwalnie związane z nieustannym poszukiwaniem.

Rzadko oglądamy w naszym kraju występy iluzjonistów najwyższej klasy. Łączy się to z bardzo wysokimi kosztami. W 2002 roku iluzję światowego formatu prezentował Amerykanin David Copperfield, znany z niesamowitych wyczynów m. in. znikania nowojorskiej Statuy Wolności, wagonów Orient Expressu, przenikania przez Chiński Mur czy ucieczki z więzienia w Alcatras. Copperfield wraz ze swoją 120-osobową ekipą pracuje aktualnie nad super spektaklem „Tornado w ogniu".

Polscy iluzjoniści najczęściej prezentują swój kunszt na scenach teatrów, music-halli czy night-clubów. Wykorzystują przemyślne rekwizyty oparte o elektronikę, akustykę, pirotechnikę. Pozwala im to na trikowe poruszanie się w powietrzu, w wodzie, znikanie bez śladu, zamianę słonia w fortepian, walizkę w samochód itp. Niektórzy na oczach widzów przecinają ciała pięknych kobiet, by za chwilę pozorne części złożyć w atrakcyjną całość.

Jest wiele rodzajów iluzji, ale w najwyższej cenie są dziś umiejętności manipulacyjne, prestigigatorskie. Rewelacyjna sprawność rąk i palców, bezbłędna technika wykonania, niezwykle trudne i wymagające nieustannego treningu umiejętności pojawiania się i znikania przedmiotów sprawiają, że artyści-manipulatorzy stanowią elitę, czy nawet „arystokrację" zawodową. Manipulują różnymi rekwizytami: kartami, papierosami, banknotami, chusteczkami, piłeczkami itp.

Mistrzem tej specjalności jest – jak wspomniałam – łodzianin Arsene. Dużą klasą poszczycić się może także Valdini (Michał Konieczny), nasz rodak z Tarnowa, który często zapraszany jest przez prezydenta Chiraca do bawienia dyplomatów goszczących w Paryżu. Na samym szczycie kunsztu manipulacji (zwanej także mikromagią) plasuje się zdobywca tytułu mistrza świata w 1995 roku – Tomasz Chełmiński (Salvano).

Artystów tego gatunku sztuki można współcześnie spotkać w wytwornych lokalach, hotelach, elitarnych klubach biznesu czy na familijnych, towarzyskich spotkaniach. Z pozornie niewinnych igraszek małymi przedmiotami potrafią – dla niewielkiego grona 10-12 osób, siedzących przy wspólnym stole – uczynić znakomitą intelektualną rozrywkę. Nie przeszkadza im bezpośrednia bliskość widzów ani uważne, dociekliwe spojrzenia. Mistrzowska prezentacja mikromanii, to po prostu rozkosz dla oczu i umysłu, znakomita zabawa towarzyska. Nie bez powodu George W. Bush zaprosił na swój bal inaugurujący prezydenturę aż 20 iluzjonistów! Obecny prezydent USA, podobnie jak jego ojciec, jest entuzjastą sztuki iluzji. Są nimi również: Ronald Raegan, Margareth Teatcher, królowa Anglii Elżbieta II i miliony czytelników powieści o Harry Potterze.

Krajowy Klub Iluzjonistów w Łodzi, któremu od kilku lat patronują Widzewskie Domy Kultury, nie jest fikcją literacką. Kieruje nim pedagog, pianista i iluzjonista Jerzy Stanek kształcący adeptów tej niezwykłej sztuki. Niedawno przebywał na XXII Światowym Kongresie Magii FISM / Federation Internationale des Societes Magiques / w Hadze. Towarzyszyli mu Sławomir Piestrzeniewicz, Maciej Pol z Łodzi oraz Paweł Zabłocki z Warszawy.

– *Program kongresu był po prostu zlotem czarodziejów ze wszystkich stron świata* – mówi Stanek. Trzy tysiące gości, znakomite przedstawienia z udziałem światowej sławy mistrzów, 16 seminariów prowadzonych przez artystów klasy „S", projekcje pokazów arcytrudnej mikromagii. I tu informacja extra: w kategorii „Innowacje" sukces w skali międzynarodowej odniósł nasz kolega – Sławek Piestrzeniewicz. Przez 5 dni i 5 nocy swój kunszt prezentowało na kongresie ponad 150 artystów. Na scenie i poza nią iluzjoniści całego świata tworzą jedną, wielką rodzinę artystyczną. *Bo sztuka iluzji nie zna granic ani barier* – uważa prezes Krajowego Klubu Iluzjonistów.

Krystyna Lewicka
- wieloletnia kierowniczka biblioteki
Łódzkiego Domu Kultury.
Na emeryturze

„Zeitungi", „Kuriery", „Expressy"

140 lat prasy codziennej w Łodzi cz. I

W mieście tętniącym wzmożonym rytmem ośrodka przemysłowego, jakim była Łódź na progu lat sześćdziesiątych XIX wieku, wzrosła niepomiernie rola władz municypalnych. Musiały one tok życia miasta regulować przy pomocy różnych przepisów i zarządzeń. Dotychczasowym zwyczajem wszelkie rozporządzenia magistratu ogłaszano mieszkańcom przez „obębnianie". Czynność tę spełniał specjalny pracownik magistracki wyposażony w bęben, który udawał się w bardziej ruchliwe punkty miasta, gdzie poprzez bębnienie oznajmiał swoje przybycie, następnie zaś odczytywał zgromadzonym mieszkańcom rozporządzenia władz miejskich, a niekiedy i inne wiadomości. Z uwagi na rozległe położenie Łodzi „obębnianie" nie było dogodnym i wystarczającym sposobem rozpowszechniania obwieszczeń magistrackich. Stąd też właściciele miejscowego zakładu drukarskiego Józef Czaczkowski i Jan Petersilge wystąpili do władz z projektem „wydawania pisma periodycznego, obejmującego wszelkie ogłoszenia i wiadomości, odnoszące się do handlu i przemysłu miejscowego". Władze miejskie nie wyraziły jednak zgody na ofertę drukarzy postanawiając, że „interes ten pozostawia się późniejszemu czasowi".

foto: archiwum autora

PIERWSZA POLSKO-NIEMIECKA GAZETA

Nadszedł rok 1863 – burzliwy rok powstania styczniowego. Wobec całkowitego zastoju w przemyśle łódzkim, drukarze miejscowi utracili swoich klientów. W momencie niezmiernie dla siebie trudnym Petersilge złożył u komendanta wojskowego Łodzi, barona Aleksandra Broemsena, ponowną ofertę na zezwolenie wydawania czasopisma, w którym oprócz wiadomości z miasta byłyby również publikowane urzędowe obwieszczenia władz. Wniosek Petersilgego poparli miejscowi przemysłowcy. Baron Bromesen, któremu zamierzenia Petersilgego w danej chwili odpowiadały zaakceptował projekt. 2 grudnia 1863 roku ukazała się w Łodzi gazeta w języku polskim i niemieckim pod tytułem „Łódzkie Ogłoszenia – Łodzer Anzeiger". Dwujęzyczność pisma wynikała ze składu narodowości mieszkańców Łodzi.

„Łódzkie Ogłoszenia" drukowane były w zakładzie Jana Petersilgego w małym formacie i zawierały cztery stronice druku. Kolumnę łamano dwuszpaltowo z tym, że lewą szpaltę drukowano w języku polskim, prawą zaś – w niemieckim. Redaktorem niemieckiej części gazety został August Thiele, natomiast część polską redagował nauczyciel Szkoły Powiatowej – Franciszek Rybka. Pismo ukazywało się dwa razy w tygodniu, co zupełnie wystarczyło na ówczesne potrzeby mieszkańców. Krąg czytelników pierwszej gazety łódzkiej był niewielki, liczący około 300 abonentów. Gdyby nie przymus abonowania gazety przez posiadaczy większych nieruchomości, właścicieli kawiarń, restauracji itp. – zapewne rychło by upadło.

Z początkiem 1865 roku gazeta Petersilgego zmieniła tytuł na „Lodzer Zeitung". Pismo zwiększyło swoją objętość i poczęło wychodzić sześć razy w tygodniu. Zostało również poszerzone o stały dział w języku polskim, zatytułowany „Kronika". Zamieszczanie polskiej „Kroniki" w niemieckiej gazecie wynikało z dążności Petersilgego do zaspokojenia potrzeb czytelniczych polskiej inteligencji. W 1881 roku polski dodatek w „Lodzer Zeitung" uległ likwidacji rzekomo z braku czytelników. Ludność polska w Łodzi została pozbawiona całkowicie lokalnej prasy w polskim języku.

Natomiast miejscowi Niemcy rozporządzali już dwoma pismami codziennymi, bowiem w 1881 roku obok starej „Lodzerki" powstała nowa gazeta niemiecka „Lodzer Tageblatt", wydawana przez Leopolda Zonera.

Miejscowa inteligencja polska nie pogodziła się z brakiem w Łodzi pisma w ojczystym języku. Z jej inicjatywy w 1882 roku księgarz łódzki Cezary Richter zwrócił się do urzędu gubernialnego o wydanie koncesji na pismo polskie pod tytułem „Dziennik Handlowy Polityczny i Literacki". Władze cesarskie udzieliły odmownej odpowiedzi.

„DZIENNIK ŁÓDZKI" KOŁAKOWSKIEGO

Jeszcze parokrotnie – zawsze bezskutecznie – występowano o udzielenie koncesji na pismo polskie w Łodzi. Dopiero za szóstym razem niełatwą sprawę doprowadził do po-

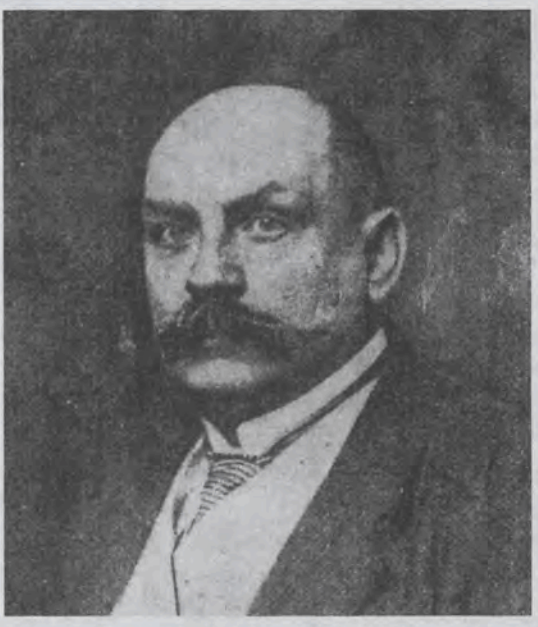

myślnego skutku geometra łódzki Zdzisław Kułakowski. Główny Urząd do Spraw Prasy w Petersburgu wydał mu koncesję na pismo codzienne, któremu nadano nazwę „Dziennik Łódzki". Na redaktora gazety zatwierdzony został Kułakowski. Wydawcą został inż. Stefan Kossuth. Przy założeniu „Dziennika" decydującą rolę odegrał Kossuth i chociaż już w lipcu 1889 roku opuścił Łódź, przez cały czas istnienia gazety był jej prawnym wydawcą. Rola Kossutha polegała na finansowym zabezpieczeniu pisma. Zajmując w zakładach scheiblerowskich ważne stanowisko, uzyskał od naczelnego dyrektora przedsiębiorstwa Edwarda Herbsta – zięcia Karola Scheiblera – stałą subwencję dla „Dziennika" pod warunkiem, że pismo bronić będzie interesów firmy. Na podobnej zasadzie subsydiowana była przez Herbsta „Lodzer Zeitung".

Faktycznym redaktorem nowego pisma został Henryk Elzenberg. W jego osobie – jako radcy prawnego zakładów scheiblerowskich – nastąpił ścisły związek „Dziennika" z możnymi protektorami gazety. Pierwszy numer pisma ukazał się 5 stycznia 1884 roku. „Dziennik Łódzki" obejmował sześć stron dużego formatu i wychodził codziennie za wyjątkiem poniedziałków. Poziomem technicznym dorównywał ówczesnej prasie warszawskiej, a nakład jego wahał się w granicach od 600 do 1 000 egzemplarzy.

„Dziennik Łódzki", uzależniony od sfer przemysłowych i carskiej cenzury, przyjął kierunek umiarkowany i oportunistyczny. Mimo to wiele uwagi poświęcał sprawie spolszczenia miasta. Szczególnie gorące boje o przywrócenie Łodzi polskiego charakteru toczył sekretarz redakcji „Dziennika" – Łucjan Kościelecki. Jednak ogólna usłużność gazety wobec niemieckich i żydowskich przemysłowców zniechęcała do niej część inteligencji polskiej, która rozpoczęła bojkot pisma. Ostateczny upadek „Dziennika Łódzkiego" nastąpił w wyniku szykan ze strony administracji carskiej. Najpierw za drobne przewinienie prasowe zawieszono pismo na przeciąg ośmiu miesięcy, żądając przy tym zmiany redaktora odpowiedzialnego. Ze zgłoszonych na to stanowisko kilku kandydatur, żadna nie zyskała aprobaty władz. Wreszcie wszystkie dokumenty redakcyjne zabrano i z końcem 1892 roku „Dziennik Łódzki" przestał ostatecznie wychodzić.

„CZAS ROZWOJU"

Zamknięcie „Dziennika" stworzyło sytuację, z którą trudno było się pogodzić miejscowemu społeczeństwu polskiemu. W trzydziestotysięcznej już Łodzi, w większości zasiedlonej przez Polaków, wychodziły dwie gazety niemieckie, natomiast nie było żadnego pisma polskiego. Wprawdzie w 1892 roku litograf Rudolf Luther począł wydawać gazetę w języku polskim, rosyjskim i niemieckim pod tytułem „Łódzka Gazeta Ogłoszeń", ale istniała ona tylko pół roku i nie mogła zastąpić normalnej gazety polskiej. Starania grona osób, ażeby założyć w Łodzi nowe pismo polskie, rozbijały się o niechęć wielkorządcy Królestwa Polskiego Josifa Hurki i gubernatora piotrkowskiego Konstantego Millera. Kiedy pod koniec rządów Hurki cenzura nieco zelżała, skorzystał z tego warszawski literat i publicysta Wiktor Czajewski, rozpoczynając starania o koncesję na polskie pismo codzienne w Łodzi. Po dłuższych zabiegach otrzymał zezwolenie na wydanie pisma codziennego pt. „Rozwój".

Początkowo pismo Czajewskiego tłoczono w zakładzie drukarskim Stanisława Dębskiego, przy ul. Piotrkowskiej 69. Na redakcję wynajęto przy tejże ulicy pod nr 73 trzyizbowe mieszkanie. Pierwszy pokój zamieniony został na administrację, w drugim ulokowała się redakcja, kuchnię przeznaczono dla roznosicieli i składania egzemplarzy gazety. Bliskość drukarni stanowiła znaczne ułatwienie w wydawaniu pisma.

Pierwszy numer „Rozwoju" ukazał się 1 grudnia 1897roku. Początkowo prenumerata gazety zapowiadała się słabo: rozsyłano 400 egzemplarzy w abonamencie i tyleż samo sprzedano na ulicy. Dopiero po roku osiągnięto liczbę 1 200 prenumeratorów, a przy końcu 1899 roku nakład gazety wyniósł 2 000 egzemplarzy. Już po dwóch miesiącach istnienia „Rozwój" począł drukować się we własnej drukarni. Czajewski sprowadził maszynę drukarską lekkiej konstrukcji, która mogła pomieścić tylko cztery

№ 2. Cena 6 groszy. Rok I.

KURJER ŁÓDZKI

Dziennik polityczny, społeczny i literacki

Wychodzi 2 razy dziennie pod [illegible] St. Książka.

Poniedziałek, dnia 2 Kwietnia 1906 r.

Telefonu № 253

kolumny gazety. Numer łamany był więc w taki sposób, że cztery stronice pisma tłoczono na maszynie przed południem, następne cztery, w których redakcja umieszczała depesze, kronikę bieżącą i najważniejsze wiadomości – po południu. „Rozwój" – podobnie jak pozostałe łódzkie gazety ukazywał się wieczorem. Podstawę finansową pisma stanowiły liczne ogłoszenia. Nadmiar ich powodował, że ośmiostronicowy „Rozwój" częstokroć ukazywał się w zwiększonej, kilkunastostronicowej objętości.

Sekretariat „Rozwoju" prowadził Władysław Ratyński. Reportażem w gazecie trudnili się: Eugeniusz Wiatrowski oraz bracia Stanisław i Antoni Książkowie. Na początku 1898 roku zespół redakcyjny zasilił uzdolniony literat i publicysta Stanisław Łąpiński. W „Rozwoju" pisywał recenzje teatralne i felietony, występował także jako kierownik literacki tego pisma. Swoimi tekstami zapełniał znaczną część gazety. Wokół „Rozwoju" zgrupowała się garść łodzkich inteligentów, mających aspiracje literackie i dziennikarskie, jak Leon Gajewicz, Karol Łaganowski, Zygmunt Bartkiewicz, Artur Glisczyński.

Organ Wiktora Czajewskiego, nawiązujący w pewnej mierze do tradycji pozytywistycznych „Dziennika Łódzkiego", różnił się jednak znacznie od swego poprzednika. „Dziennik" był przede wszystkim przemysłowym, „Rozwój" zaś pismem politycznym, stojącym na gruncie narodowym. Program narodowy gazety wspierany był szeroką działalnością kulturalną i oświatową zespołu redakcyjnego.

„GONIEC" HRABIEGO ŁUBIEŃSKIEGO

Niezadługo po ukazaniu się „Rozwoju" pojawiło się w Łodzi kolejne polskie pismo codzienne – „Goniec Łódzki". Założył je hrabia Henryk Łubieński przy pomocy finansowej księdza Zygmunta Łubieńskiego, proboszcza parafii św. Krzyża w Łodzi. Łubieński na redaktora naczelnego „Gońca" zaangażował byłego współpracownika „Dziennika Łódzkiego" – Antoniego Mieszkowskiego. Wydawca pozyskał także dla nowego pisma kilka osób z miejscowej inteligencji, dawnych współpracowników „Dziennika" – Karola i Melanię Łaganowskich, Romana Wierzchleyskiego, Pawła Hertza, Feliksa Halperna i innych. Ze składu współpracowników można było wnioskować, iż Łubieński przygotował się do walki konkurencyjnej z organem Czajewskiego.

Pierwszy numer „Gońca Łódzkiego" ukazał się 2 stycznia 1898 roku. Pismo posiadało duży format gazetowy i obejmowało cztery kolumny druku. Nakład gazety nie przekraczał 1 000 egzemplarzy. Gazeta Łubieńskiego stała na dość wysokim poziomie redakcyjnym. Sporo miejsca zajmowała w niej problematyka handlowo – przemysłowa oraz zagadnienia społeczne. Początkowo wydawało się, że w prasie polskiej w Łodzi „Goniec" grać będzie pierwsze skrzypce, rychło jednak zdystansował go „Rozwój", stając się najpoczytniejszym pismem polskim w mieście.

„Goniec Łódzki" od początku przynosił wydawcy znaczne straty. Ciosem dla wydawnictwa było zawieszanie dziennika na kilka miesięcy przez cenzurę. Wznowiony w lipcu 1899 roku „Goniec" nie odzyskał już utraconej pozycji. Łubieński szybko pozbył się gazety. Nabywcą pisma został adwokat Roman Wierzchleyski do spółki ze szwagrem ziemianinem Michałem Radoszewskim. W lipcu 1902 roku „Goniec Łódzki" ponownie zmienił właściciela. Nabył go współpracownik gazety Władysław Rowiński. W styczniu 1904 roku nastąpiły dalsze zmiany w kierownictwie dziennika. Odtąd jako wydawca figurował dr Kazimierz Brzozowski, rzeczywistymi zaś kierownikami gazety byli jego wspólnicy: Stanisław Książek i Jan Żółtowski. Zwiększono objętość pisma do ośmiu stron. Zgodnie z deklaracją redakcji „Goniec Łódzki" stał się pismem biorącym żywy udział w życiu politycznym i społecznym, na którego łamach ujawniły się wyraźne sympatie socjalistyczne. Angażowanie się gazety w sprawy polityczne i społeczne powodowało częste zatargi z cenzurą. Pismo było wielokrotnie zawieszane. W końcu z dniem 15 marca 1906 roku „Goniec Łódzki" został „raz na zawsze zamknięty".

Na miejsce „Gońca" 1 kwietnia 1906 roku ukazało się nowe pismo – „Kurier Łódzki". Przyjęło ono całkowicie kierunek ideologiczny swego poprzednika. Wydawcą gazety został Stanisław Książek, który już w okresie największych zmagań z cenzurą wystarał się o nową koncesję prasową na swoje nazwisko. Redaktorem odpowiedzialnym pisma został Władysław Rowiński. Wydawnictwo Książka przejęło siedzibę, a także prenumeratorów „Gońca". W okresie lokautu łódzkiego lewicujący „Kurier Łódzki" występował energicznie w obronie zlokautowanych robotników. Cenzura wielokrotnie

żądała zmiany kierunku pisma na bardziej przychylny fabrykantom. Wreszcie zawieszono gazetę do końca 1907 roku tj. na okres stanu wojennego.

Warto dodać, że w 1905 r. w okresie łódzkiej rewolucji wychodziły w mieście pisma nielegalne: „Robotnik Polski" – organ Narodowego Związku Robotników; „Do Walki" – organ Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy; „Łodzianin" – organ Polskiej Partii Socjalistycznej. Jeśli mowa o prasie nielegalnej należy wspomnieć, że właśnie w Łodzi, na przełomie lat 1899/1900 Józef Piłsudski, przed aresztowaniem, wydrukował na domowej drukarce dwa numery (34 i 35) „Robotnika" – organu PPS.

Po wygaśnięciu napięć społecznych w zrewoltowanej Łodzi wznowione zostało wydawnictwo „Kuriera Łódzkiego". Organ Stanisława Książka pod redakcją Władysława Rowińskiego, Władysława Gutowskiego, Bonifacego Hillera i Wiktora Monsiorskiego wysunął się na czołowe miejsce wśród gazet łódzkich osiągając nakład 10 000 egzemplarzy. W sierpniu 1911 roku ze względów cenzuralnych gazeta zaczęła ukazywać się pod nieco zmienionym nagłówkiem „Nowy Kurier Łódzki". Jako wydawca figurował brat dotychczasowego właściciela Antoni Książek. Gazeta dysponowała uzdolnionymi dziennikarzami jak Jan Garlikowski, Witold Giełżyński, Zygmunt Robakiewicz. W „Nowym Kurierze Łódzkim" debiutował jako poeta Julian Tuwim.

W owym czasie ukazało się w Łodzi jeszcze jedno pismo polskie „Gazeta Łódzka, powołana do życia przez miejscowego aptekarza Jana Grodka. Narodziny „Gazety" przypadły na dzień 1 lutego 1912 roku. Na czele zespołu redakcyjnego stanął Benedykt Filipowicz. W skład jego weszli m. in. Gustaw Wassercug, Marceli Sachs, Andrzej Nullus (Eliasz From). Z pismem współpracowali Zygmunt Lewartowicz i Czesław Gumkowski. Objętość „Gazety Łódzkiej" nie przekraczała sześciu stron. Nakład w najpomyślniejszym okresie sięgnął 12 000 egzemplarzy. Pismo reprezentowało kierunek antyrosyjski.

GAZETY NIEMIECKIE I ŻYDOWSKIE

W omawianym czasie zaszły spore zmiany w miejscowej prasie obcojęzycznej. Na początku IV kwartału 1902 roku społeczność niemiecka w Łodzi otworzyła trzecie pismo w języku ojczystym. Dotychczasowi współwpracownicy „Lodzer Zeitung" Aleksy Drewing i Aleksander Milker zaczęli wydawać nowoczesny organ prasowy „Neue Lodzer Zeitung". Pismo miało solidne podstawy finansowe, własną drukarnię i dobry zespół redakcyjny. Zapewniało mu to znaczną poczytność. Wydawcy utrzymywali z Polakami przyjazne stosunki. W 1905 roku „Neue Lodzer Zeitung" wchłonęła chylącą się do upadku „Lodzer Tageblatt".

Pierwsza żydowska gazeta codzienna w Łodzi pod nagłówkiem „Lodzer Nachrichten" pojawiła się w styczniu 1907 roku. Wydawcą był księgarz łódzki Abram Kossman, zaś redaktorem naczelnym Isajasz Uger, dziennikarz współpracujący dotąd

z niemiecką „Neue Lodzer Zeitung". Pismo drukowano w języku jidisz. Miało ono krótki żywot, gdyż następnego roku uległo likwidacji. Kolejną inicjatywę wydania gazety żydowskiej w Łodzi podjął właściciel drukarni Emanuel Hamburski. Już pod koniec stycznia 1908 roku ukazało się pismo codzienne „Łodzier Togblat". Redaktorem odpowiedzialnym został wspomniany już Uger. Gazeta popierała ruch syjonistyczny. Nakład jej sięgał 20 000 egzemplarzy.

Wybuch I wojny światowej zapoczątkował szczególnie trudny okres dla dziennikarstwa łódzkiego. Na początku wojny wychodziło w Łodzi sześć gazet codziennych, w tym trzy gazety polskie: „Rozwój", „Nowy Kurier Łódzki" i „Nowa Gazeta Łódzka, dwie gazety niemieckie: „Lodzer Zeitung" i „Neue Lodzer Zeitung" oraz jedna żydowska – „Łodzier Togblat". Natomiast na krótko przed wybuchem wojny zakończył żywot rosyjski „Łodziński Listok. „ Po zajęciu Łodzi przez Niemców na początku grudnia 1914 roku przy Wojskowym Gubernatorstwie Łódzkim utworzy został Zarząd Prasowy, zajmujący się cenzurą gazet. Zapoczątkowaniem działalności Zarządu Prasowego było zamknięte z dniem 6 grudnia 1914 roku. „Rozwoju", negatywnie ocenianego przez Niemców. Właściciel pisma, Wiktor Czajewski, zesłany został do Niemiec. Z gazet niemieckich zamknięto „Lodzer Zeitung" jako zbyt rusofilską. Na jej miejsce założona została gazeta „Deutsche Lodzer Zeitung. „ Pismo to reprezentowało interesy militaryzmu niemieckiego. Na miejsce zlikwidowanej gazety żydowskiej „Łodzier Togblat" zaczęto wydawać „Łodzier Fołksblat" o kierunku zgodnym z dążeniami okupanta.

Dzięki rozwadze i ostrożności redaktorów „Nowego Kuriera Łódzkiego", Zygmunta Robakiewicza i Witolda Giełżyńskiego, pismo to uniknęło losu „Rozwoju". Mimo ostrej cenzury niemieckiej dziennik ten stawał w obronie interesów społeczeństwa polskiego. Potwierdzeniem tego było stanowisko redakcji do sprawy przymusowego werbowania robotników polskich do Niemiec, do obchodu rocznicy Konstytucji 3 Maja w 1916 roku. W warunkach zaostrzonej cenzury wojennej pewną swobodę poglądów zachował organ prasowy Jana Grodka, który w okresie okupacji niemieckiej wrócił do pierwotnego tytułu „Gazeta Łódzka". Pismo to, reprezentujące kierunek zdecydowanie antyrosyjski, zyskało poparcie niemieckiego okupanta, wyrażone w formie bezpłatnej dostawy papieru i odbiorze pewnej ilości egzemplarzy dziennika.

To pierwsze jawnie kolaboracyjne pismo w Łodzi nie spełniło jednak nadziei pokładanej w nim przez okupanta. Miejsce, pozostającej w służbie niemieckiej i chylącej się do upadku „Gazety Łódzkiej" zajęła znacznie lepiej i technicznie sprawniej redagowana „Godzina Polski" (nazywana w środowisku POW „Gadziną"). Pierwszy numer nowego dziennika ukazał się na początku stycznia 1916 roku. Nakład jego wynosił 20 000 egzemplarzy. „Godzina Polski" pod naczelną redakcją Cezarego Zawiłowskiego, mimo jawnego wysługiwania się okupantowi, cieszyła się znaczną poczytnością, gdyż posiadała doskonały dział informacyjny i dobrze zorganizowany kolportaż. W zespole redakcyjnym pisma znalazło się kilku dotychczasowych współpracowników „Gazety Łódzkiej" z Marcelim Sachsem na czele. W „Godzinie Polski" odgrywał on znaczącą rolę. Dla kierunku politycznego tej gazety znamienne jest, że przestała ona wychodzić z dniem zakończenia okupacji niemieckiej w Łodzi.

Prasa łódzka okresu I wojny światowej odczuwała dotkliwie brak papieru, dlatego też gazety wychodziły w objętości nie przekraczającej czterech stronic. Wyjątek w tym względzie stanowiła jedynie „Godzina Polski", drukowana na co najmniej ośmiu kolumnach dużego formatu. Łamy łódzkich dzienników w tych czasach były przepełnione komunikatami wojennymi i rozporządzeniami władz okupacyjnych.

Wacław Pawlak - z wykształcenia ekonomista,
wnikliwy badacz dziejów Łodzi i okolic.
Autor pięciu książek o tematyce łódzkiej.

historia

z cyklu: czarne dziury, białe plamy

Jak SB czuwała nad „prawidłowym" obrazem interwencji w Czechosłowacji
Akcja „Podhale" w Łodzi
Krzysztof Lesiakowski
str. 106

Jak ideologia rozgromiła rachunek ekonomiczny
Likwidacja Cygańskiej Spółdzielni Pracy „Novo Drom" (2)
Gustaw Romanowski
str. 116

Jak SB czuwała nad „prawidłowym" obrazem interwencji w Czechosłowacji

Akcja „Podhale" w Łodzi

W nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 r. na terytorium Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej wkroczyły wojska interwencyjne Bułgarii, Polski, Węgier i ZSRR. W pierwszym rzucie znalazło się łącznie około 250 tys. żołnierzy i ok. 4,2 tys. czołgów. Na lotnisku w Pradze wylądowały sowieckie jednostki powietrznodesantowe. Przed godz. 5 rano sowieckie wozy pancerne zbliżyły się do najważniejszych obiektów partyjnych i rządowych. Zatrzymano czołowych czechosłowackich polityków. Społeczeństwo CSRS było zaszokowane. Czechosłowacka Armia Ludowa nie stawiała oporu.

Interwencja i okupacja terytorium Czechosłowacji doprowadziły do zahamowania szeregu postępowych przemian dokonujących się w tym kraju od początku 1968 r. umownie określanej mianem „praskiej wiosny". Poprzedziły ją zmiany w kierownictwie i funkcjonowaniu Komunistycznej Partii Czechosłowacji; objęcie stanowiska I sekretarza przez Aleksandra Dubczeka, radykalne ograniczenie cenzury i rehabilitacja osób represjonowanych w przeszłości, oraz żywiołowy rozwój masowego ruchu orga-

nizacyjnego i uchwalenie ważnych dokumentów. Partie i organizacje społeczne zaczęły funkcjonować w sposób pozbawiony doktrynalnego gorsetu, a prasa i radio donosiły o nabierających tempa przemianach.

Niestety, modernizacja CSRS nie miała większych szans na powodzenie. Choć kierownictwo KPCz, deklarowało wolę pozostawienia bez zmian kwestii o znaczeniu strategicznym (Dubczek zaraz po wyborze na I sekretarza KC KPCz podczas odwiedzin ambasady sowieckiej w Pradze stwierdził, że „kurs na przyjaźń z ZSRR jest nienaruszony"), polityka demokratyzacji CSRS zaczęła budzić coraz większe obawy Moskwy i jej sojuszników. Od marca 1968r. sytuacja w Czechosłowacji stała się przedmiotem kolektywnej oceny państw komunistycznych „wyrażających niepokój zakresem czechosłowackich zmian". Odbyły się w związku z tym „przyjacielskie spotkania": 6-7 marca 1968 r. w Sofii, 23 marca w Dreźnie, 8 maja w Moskwie (delegacja czechosłowacka spotkała się 4 maja tylko z władzami ZSRR), 14-15 lipca w Warszawie (bez delegacji czechosłowackiej). Władze czechosłowackie świadome tak poparcia społecznego, jak i istniejących realiów politycznych, uparcie broniły prawa do zachowania odrębności w sprawach wewnętrznych. Wyrazem daleko posuniętej postawy poszukiwania kompromisu z innymi państwami bloku wschodniego, i w efekcie działaniem o negatywnych skutkach, było wyrażenie zgody na odbycie na obszarze CSRS ćwiczeń wojskowych wojsk Układu Warszawskiego o kryptonimie „Szumawa" w terminie wyznaczonym przez ZSRR. Strona czechosłowacka spokojnie reagowała też na krytykę ze strony „zaniepokojonych sąsiadów". 28 lipca do Czernej nad Cisą na rozmowy – jak się później okazało o decydującym znaczeniu dla kontynuowania lub zahamowania przemian w Czechosłowacji – przybył pociągiem sam Breżniew ze swoją świtą. Niestety, stronie czechosłowackiej nie udało się przekonać Moskwy do swoich racji. Doktryna Breżniewa o ograniczonej suwerenności krajów bloku wschodniego zwyciężyła. W dniach 15-17 sierpnia 1968 r. Biuro Polityczne KC KPZR podjęło decyzję o dacie interwencji wojskowej.

Wśród pierwszego rzutu interwentów znalazły się 10 i 11 Dywizja Pancerna LWP ze Śląskiego Okręgu Wojskowego pod dowództwem gen. bryg. Franciszka Siwickiego. Łącznie władze PRL skierowały do Czechosłowacji blisko 30 tys. żołnierzy, 750 czołgów, blisko 600 pojazdów opancerzonych i 7 tys. samochodów. Fakt ten musiał zainteresować polską opinię publiczną. Służba Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska otrzymały zadanie obserwowania reakcji na to wydarzenie różnych grup społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem kręgów opiniotwórczych oraz osób o nastawieniu opozycyjnym.

Bezpieka cytuje literatów

Również w Łodzi bezpieka realizowała te zadania. W informacji przesłanej 24 lipca 1968 r. – czyli prawie na miesiąc przed interwencją – Stanisławowi

Jóźwiakowi, sekretarzowi KŁ PZPR znalazła się ocena, że „Wśród załóg łódzkich zakładów pracy aktualnie dominują komentarze na temat ostatnich wydarzeń w Czechosłowacji. „ Pracownicy zakładów im. Obrońców Pokoju, Zakładów im. Marchlewskiego, „Wifamy" czy Elektrociepłowni mieli wyrazić opinie: „Czesi nigdy na przestrzeni okresu historycznego nie byli dla Polski przyjaciółmi i zawsze bratali się z Niemcami, co robią i obecnie"; „Czesi już zapomnieli lata okupacji i obecnie usiłują się znów bratać z NRF, nie zważając na ich odwetowe tendencje, zaborcze plany wobec Czech i Polski oraz hitlerowską przeszłość władz bońskich." Krążyły też plotki jakoby w kierownictwie partyjno-państwowym CSRS powstał rozłam na tle narodowościowym, przy czym Słowacy mieli się zwrócić do ZSRR i Polski o przyłączenie ziem do naszego państwa, gdyż rzekomo są „pod każdym względem wykorzystywani i szykanowani przez Czechów."

Rzecz charakterystyczna, że w środowisku literackim, czyli przynajmniej teoretycznie bardziej otwartym na intelektualne i polityczne nowości, padały głosy świadczące o braku wiedzy o tym, co dzieje się u południowych sąsiadów i woli zaangażowania się na rzecz Czechów i Słowaków: „w świetle nadchodzących informacji z CSRS [...] trudno w tej chwili wyrobić sobie zdanie, co lepsze: czy stabilizacja przy reżimie wewnętrznym czy jej brak przy swobodzie." Dalej cytowany przez zastępcę Komendanta Miejskiego MO ds. Bezpieczeństwa w Łodzi płk Henryka Bilskiego poeta Jan Huszcza miał stwierdzić, że on „jest za poważny na to by jeszcze raz przeżywać kryzys ustroju w Polsce." Mieszkańcy Łodzi byli jednak zaniepokojeni zaostrzającą się sytuacją wokół Czechosłowacji, zwłaszcza wobec dyslokacji przez region łódzki wojsk radzieckich, czego przecież nie dało się ukryć.

Fakt, że nie wystąpiły na szerszą skalę objawy paniki wojennej można wiązać z dużą mobilizacją bezpieki i milicji, które starały się chronić sowieckie transporty. W szyfrogramie z 27 lipca 1968 r. dyrektora Departamentu II MSW płk Mikołaja Krupskiego znalazły się informacje, że 28-30 lipca przewidywane jest przemieszczenie niektórych jednostek wojsk radzieckich transportem kolejowym i samochodowym. „Ruch ten spowoduje niewątpliwie zainteresowanie ośrodków zagranicznych i ich agentury oraz dyplomatów, korespondentów i innych cudzoziemców przebywających w PRL. Można przewidywać również pewne uaktywnienie niektórych elementów krajowych, ewentualnie próby wytwarzania nastrojów paniki, wykupywania towarów." Zadaniem łódzkiego aparatu bezpieczeństwa w tej sytuacji było m. in. operacyjne zabezpieczenie tras przejazdu i niedopuszczenie dyplomatów oraz cudzoziemców do miejsc postoju, rozładunku i ześrodkowania jednostek. Bezpieka miała też: „uruchomić niezwłocznie pracę ze źródłami informacji – czytamy w szyfrogramie – a szczególnie posiadającymi dojście do elementów i grup nieprzychylnie usposobionych i wrogich, w celu zapewnienia stałej orientacji o nastrojach, wypowiedziach i ewentualnych destrukcyjnych zamierzeniach"; przeciwdziałać wszelkim próbom siania defetyzmu, wytwarzania paniki, podburzania zbiorowych wystąpień i innych.

Milicja obok zbierania informacji o nastrojach w społeczeństwie w związku z przemarszem, działaniach „wrogich elementów", zobowiązana była do kontroli zachowania się turystów zagranicznych, szczególnie z CSRS. Na trasach wylotowych z Łodzi MO wystawiła dziesięć posterunków kontrolno-blokadowych. Przygotowano też plan zabezpieczenia trasy kolejowej. Na nieprzewidziane sytuacje zgromadzono odwód w postaci jednej kompanii ZOMO. Dodać też można, że w SB „w celu zapewnienia realizacji stojących przed naszą służbą zadań" wprowadzono stan pogotowia operacyjnego, wzmożone dyżury „aktywu kierowniczego i odpowiedzialnych funkcjonariuszy" oraz przedłużono czas pracy do godziny 18.00.

W zaplanowanym terminie przez Łódź przejechały sowieckie transporty kolejowe (kołowe omijały miasto). 29 lipca o 18.30 przez stacje Olechów i Chojny przejechało sześć pociągów. Jak wynika z dokumentów SB, fakt przejazdu sowieckich transportów nie był znany szerszym kręgom mieszkańców Łodzi, wiedza o tym przekazana została jedynie środowisku dziennikarskiemu. Według SB dziennikarze łódzcy dopatrywali się w transportach żołnierzy „demonstracji militarnej i pewnej formy zabezpieczenia odbywających się rozmów politycznych." Niektórzy spośród nich postulowali, aby w „odpowiedniej formie" podać te wiadomości szerszej opinii publicznej, uprzedzając w ten sposób „fałszywe komentarze wrogich nam ośrodków i nie dopuścić do powstania paniki w społeczeństwie." Część dziennikarzy nie była jednak tak pewna rozwoju sytuacji. Jedna z redaktorek „Expressu Ilustrowanego" „przyjmując bojaźliwą postawę", odwołała wyjazd swego dziecka na kolonie letnie.

Z powodu przejazdu przez Łódź wojsk sowieckich nie zanotowano nasilenia się w mieście nastrojów podniecenia czy objawów paniki na tym tle. Zaniepokojenie ogólną sytuacją utrzymywało się jednak na wysokim poziomie. Podsycane było ono przez polską propagandę, która wykorzystując antyniemieckie nastawienie Polaków, akcentowała kwestię otwarcia się CSRS na RFN. Stąd wśród pracowników Politechniki Łódzkiej odezwały się głosy w rodzaju: „Co te Pepiczki wyprawiają? – widocznie za mało dostali w skórę podczas wojny." Ktoś nawet z zadowoleniem stwierdził, że ZSRR nie dopuści, aby w Czechosłowacji doszły do rządów koła proniemieckie. Dwóch profesorów Uniwersytetu Łódzkiego wyraziło przekonanie, że „jest już najwyższy czas, aby wreszcie zrobić porządek w Czechosłowacji." Jedynie dwaj adwokaci łódzcy: Tadeusz Szczerbic i Ksawery Gorzuchowski twierdzili, że otwarcie się Czechosłowacji na współpracę z RFN i innymi państwami kapitalistycznymi jest jak najbardziej słuszne, tym bardziej, że po takiej linii politycznej poszły inne państwa socjalistyczne, jak Jugosławia czy Rumunia i nie spotkało się to z radykalnymi krokami ze strony innych państw bloku sowieckiego. Wykluczali oni możliwość interwencji zbrojnej, uzasadniając tę tezę aktualnym układem sił na arenie międzynarodowej, dodając jednocześnie, że „metody, jakimi posłużono się wobec Węgier w 1956 r. są już przestarzałe i obecnie nie znajdują uznania nawet w ZSRR." Niedaleka przyszłość pokazała, że nie mieli racji.

TW „Mietek" i „Znicz" wśród dziennikarzy

Całość przedsięwzięć operacyjno-profilaktycznych SB w związku z interwencją w CSRS, zgodnie z zarządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych, otrzymała kryptonim „Podhale". Powołano odpowiedni Sztab Operacyjny SB w składzie: kierownik ppłk Stefan Grandys, członkowie – ppłk Henryk Tomaszewski – naczelnik Wydziału III, mjr Mieczysław Kieras – z-ca naczelnika Wydziału II, mjr Zenon Kiełbik – naczelnik Wydziału IV, mjr Henryk Pisarczyk – z-ca naczelnika Wydziału Śledczego, mjr Czesław Stasiak – z-ca naczelnika Wydziału Ogólnego. Do odwołania wstrzymano m. in. udzielanie funkcjonariuszom MO dni wolnych od służby oraz zabroniono oddalania się poza miejsce zamieszkania bez wiedzy przełożonych. Wydział III SB Komendy Miejskiej MO w Łodzi z dniem 21 sierpnia został postawiony w stan podwyższonej gotowości, wydatnie aktywizując rozpoznanie operacyjne i działalność profilaktyczną. W zakresie kontrolowania „wrogich" lub niepewnych środowisk bezpieka w Łodzi miała ułatwione zadanie. Młodzież akademicka, kadra naukowo-dydaktyczna łódzkich uczelni przebywała w większości na wakacjach. W odniesieniu do tzw. figurantów, (osób poddanych inwigilacji) wzmocniono kontrolę ich postępowania przez tajnych współpracowników. Dopływ informacji o komentarzach i nastrojach wśród dziennikarzy i literatów, „zwłaszcza zaś osób znanych z negatywnych postaw, zapewniało na bieżąco dwóch tajnych współpracowników funkcjonujących w tym środowisku („Mietek" i „Znicz") oraz tzw. cztery „kontakty obywatelskie". Podobnie miała się rzecz z osobami „znanymi z poglądów syjonistycznych" czy pracownikami łódzkich fabryk „znanymi z negatywnych postaw społeczno- politycznych oraz tendencji do rozpowszechniania destrukcyjnych plotek i inspirowania demagogicznych wystąpień." Z uwagą miały być też śledzone ruchy siedmiu obywateli CSRS zatrudnionych czasowo w łódzkim przemyśle

Kolejarze tropią syjonistów

W ciągu pierwszego dnia inwazji na Czechosłowację, realizując przedsięwzięcia w ramach akcji „Podhale", łódzka SB przekonywała, że podana przez radio informacja o tym wydarzeniu „wzbudziła wśród większości łódzkich zakładów pracy aprobatę dla słusznych posunięć naszej Partii i Rządu." Kadra techniczna „Wifamy" miała wyrazić pogląd, że CSRS po rozmowach ze stroną jugosłowiańską i rumuńską usztywniła swoje stanowisko, zaistniała realna groźba powstania bloku Czechosłowacja – Jugosławia – Rumunia, „co oznaczałoby koniec obozu socjalistycznego." Księgowe Zakładów im. Strzelczyka twierdziły, iż interwencja zapobiegła możliwości zwrócenia się władz czechosłowackich do RFN i innych państw kapitalistycznych o pomoc wojskową. Kolejarze łódzkiego węzła PKP ujawnili zaś, że w Czechosłowacji newralgiczne stanowiska w państwie opanowały „elementy syjonistyczno-rewizjonistyczne w jeszcze większym

stopniu aniżeli u nas i należało wcześniej zdecydować się na takie rozwiązanie tej sytuacji." W podobnym duchu, akceptując inwazję, wypowiadali się niektórzy robotnicy Łódzkiej Drukarni Dziełowej: „jeśli Czesi i Słowacy nie potrafili sami rozwiązać swoich spraw wewnętrznych zgodnie z interesem wspólnoty socjalistycznej to należało im w tym pomóc." Według SB również łódzkie środowisko dziennikarskie nie miało wątpliwości, że wprowadzenie wojsk interwencyjnych do CSRS było konieczne, np. Karol Baraniecki z „Karuzeli" stwierdził, że – jego zdaniem – nastąpiło to zbyt późno. Natomiast nie wymieniona z nazwiska dziennikarka „Expressu Ilustrowanego" wyraziła przekonanie, że lepiej jest mieć otwartych wrogów aniżeli fałszywych przyjaciół, jakimi okazali się Czesi i Rumuni.

Nie ma wątpliwości, że i w następnych dniach po interwencji część mieszkańców Łodzi było przekonanych o zasadności zastosowania argumentu siły. Inżynierowie z biura projektowania „Protech" – notatka wymienia nazwiska: (Mosdorf, Sokołowski, Jabłoński, Wasilewski) – stwierdzili nawet, że wojska interwentów w drodze powrotnej powinny „zrobić porządek w Rumunii." Niektórzy łódzcy dziennikarze doszli do wniosku, że „czerpiąc doświadczenia z wydarzeń w Czechosłowacji, należałoby stanowczo i konkretnie kontynuować zapoczątkowaną w marcu, lecz następnie zahamowaną politykę całkowitego oczyszczenia naszego aparatu partyjnego i państwowego z elementów, które wykorzystując zajmowane stanowiska mogą wcześniej czy później

str.6 Jak SB czuwała nad „prawidłowym" obrazem interwencji w Czechosłowacji
Wojska sowieckie na ulicach Brna. foto: archiwum autora

doprowadzić do podobnej sytuacji w Polsce." Ich koledzy stwierdzili, że Czesi sami są sobie winni, skoro „dopuszczają się prowokacji, paląc sprzęt a nawet mordując obywateli państw zaprzyjaźnionych."

Trudno zweryfikować informacje o rzekomym poparciu łodzian dla interwencji. Z pewnością należy dostrzec w nich echa niedawnej kampanii propagandowej w związku z wystąpieniami polskich studentów. Język zwolenników stłumienia „praskiej wiosny", ich argumenty o zagrożeniu ze strony imperializmu, syjonistów czy wątek rewizjonizmu zachodnioniemieckiego nie były nowe. Widać wyraźnie, że rozprawa z „marcowymi wichrzycielami" pozostała w ścisłym związku z reakcjami na ciąg wydarzeń w Czechosłowacji.

Głosy sprzeciwu

Niezależnie od tonu wypowiedzi, trzeba stwierdzić, że najazd na CSRS był przez pewien czas w centrum uwagi różnych kręgów mieszkańców Łodzi. Chcąc czy nie, SB musiała przyznać, że znacznie wzrosło zainteresowanie audycjami Radia Wolna Europa i innych zagranicznych stacji radiowych: „wiadomości uzyskiwane z tych źródeł są dość szeroko komentowane w zakładach pracy i w przelotnych skupiskach ludności." Odnotowane zostały też przejawy odrzucenia linii politycznej przyjętej przez ZSRR, Polskę i inne kraje bloku wschodniego wobec CSRS. Mówią o tym skrupulatne meldunki łódzkiej bezpieki słane codziennie do III Departamentu MSW. Pozostający w zainteresowaniu SB Włodzimierz Olejnik, student V roku Wydziału Prawa UŁ, jeden z aktywnych uczestników marcowej rewolty studenckiej (z tego powodu zawieszony w prawach studenta), wyraził pogląd, że władze PRL popełniły „historyczny błąd" uczestnicząc w inwazji. Przewidywał, że fakt ten spowoduje dla Polski wysoce ujemne konsekwencje polityczne i ekonomiczne. Aby przerwać tę błędną politykę, uznał, że konieczny jest stanowczy protest całego społeczeństwa polskiego. Również w kręgu osób narodowości żydowskiej, spotykających się w Klubie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów, ostatnie wydarzenie w związku z sytuacją w CSRS oceniono negatywnie: („brutalna interwencja", „agresja przeciwko suwerennemu państwu"). W podobnym duchu wypowiedzieli się niektórzy łódzcy księża. Jezuici Wirkus i Kraśniewski przyznali, że spodziewali się, iż ZSRR nie dopuści do uniezależnienia się Czechosłowacji, „ale nie za cenę tak wielkiej porażki politycznej jak obecna interwencja." Duchowni ci uważali, że interwencja nie jest w stanie zahamować naturalnych procesów i dążeń do liberalizacji. Salezjanin ksiądz Jan Bednarz użył jeszcze dosadniejszych słów. Powiedział, że po wysłuchaniu rano 21 sierpnia komunikatu radiowego o interwencji „wstydził się, że jest Polakiem i płakać mu się chciało." Znacznie łagodniej – według SB – interwencję ocenili łódzcy biskupi. Jeden z nich stwierdzi, że „dla obozu komunistycznego nie było innego wyjścia", inny dodał, że Ameryka nie postąpiłaby inaczej „w przypadku zagrożenia kraju będącego pod jej batutą."

Wkroczenie obcych wojsk na terytorium CSRS tragicznie przyjęli nieliczni obywatele Czechosłowacji przebywający w Łodzi. Pracujący w elektrociepłowni monterzy z fabryki pomp w Ołomuńcu byli przygnębieni. W rozmowie z polskimi robotnikami stwierdzali, że interwencja wojskowa w ich kraju nie była potrzebna. Mocniej zareagowało dwóch studentów czechosłowackich odbywających praktyki wakacyjne w zakładach im. Strzelczyka i w zakładach „Wólczanka". Przed południem 21 sierpnia przybyli oni do Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich prosząc o umożliwienie im zorganizowania masówki protestacyjnej studentów obcokrajowców przebywających w Łodzi przeciwko „bezprawnemu wkroczeniu wojsk części Układu Warszawskiego do Czechosłowacji." Natrafili na zdecydowany opór przewodniczącego RO ZSP i innych działaczy kierownictwa tej organizacji. Wzburzeni, opuszczając lokal ZSP stwierdzili, że „trzeba już skończyć z tą zgnilizną komunizmu i że wiec i tak zorganizują." Nie mieli jednak większych szans na wyeksponowanie swojego sprzeciwu. Już następnego dnia bezpieka przeprowadziła z nimi rozmowy profilaktyczne, a 31 sierpnia skończyły im się wizy pobytowe.

Niepokój o rozwój sytuacji u południowego sąsiada w kolejnych dniach i tygodniach po interwencji, nie przekładał się jednak zbyt często na wyrazy współczucia i sympatii dla Czechów i Słowaków. Głosy, jakie wypowiedzieli księża w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny: „jeżeli będziemy się kłócić z sąsiadami to o autorytecie w świecie nie mamy co marzyć", należały do wyjątków. Jeszcze dobitniej politykę polską wobec CSRS ocenił ks. Józef Spychała z parafii św. Wojciecha, który interwencję wojskową nazwał „zbrojnym, bezpodstawnym najazdem na małe zaprzyjaźnione państwo w celu usunięcia legalnych władz, nieposłusznych jednak wobec Moskwy". Nieliczne wyrazy sympatii pochodziły ze środowiska studenckiego. Obok akcentowania aspektu „niehumanitarnego i niedemokratycznego postępowania" interwentów, zwracano uwagę na możliwość powtórzenia tego precedensu w przyszłości w innych krajach. Negatywne oceny najazdu na CSRS podtrzymali też przedstawiciele kręgów żydowskich. Z informacji SB wynika, że były rabin Łodzi Wawa Morejno przygotowywał dokument, w którym zamierzał władzom PRL zarzucić obłudę – potępiły Izrael, który w 1967 r. wystąpił zbrojnie w obronie własnej suwerenności, podczas gdy państwa socjalistyczne weszły na teren CSRS i „nadal okupują terytorium tego kraju", chociaż nie były niczym zagrożone.

Wyrazem potępienia interwencji były ulotki i anonimowe listy. Tylko 24 sierpnia w mieście SB odnotowała „kilka aktów wrogiej propagandy pisanej w formie ulotek", wykonanych pismem technicznym i wrzuconych do skrzynek pocztowych (18 egz.) oraz anonimowych kart pocztowych adresowanych do różnych osób prywatnych i instytucji (9 egz.). „Treść ich stanowią prymitywne inwektywy polityczne, wezwania do nie dawania wiary prasie itp." Ponadto w nocy z 25 na 26 sierpnia w trzech punktach Łodzi ujawniono ulotki z hasłami solidarności z Czechosłowacją „wykonane

nieudolnym pismem na kartkach papieru zeszytowego." Nie były to odosobnione przypadki, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że następną noc ujawniono kolejną „wrogą" ulotkę. „Żenująco prymitywna treść i forma ulotki wskazuje, iż jej autorem jest uczeń szkoły podstawowej lub zasadniczej zawodowej pod wpływem audycji wrogich rozgłośni radiowych."

Niektóre „wrogie" ulotki nadeszły z Czechosłowacji. 3 i 4 września do Fabryki Maszyn Jedwabniczych „Majed" przysłano dwie odezwy w języku polskim podpisane przez robotników czechosłowackiej fabryki, w której pracowały maszyny wyprodukowane przez „Majed". Odezwy wzywały do wycofania Wojska Polskiego z terytorium CSRS. Podobny „protest przeciwko okupacji ojczyzny" nadszedł do Zjednoczenia Przemysłu Włókien Sztucznych i Zjednoczenia Przemysłu Gumowego w Łodzi.

Blokada informacyjna, propaganda, brak szerszej aktywności niezależnych ośrodków kształtowania opinii publicznej spowodowały, że w połowie września 1968 r. zainteresowanie łodzian sytuacją w CSRS wyraźnie osłabło. Zresztą polskie odziały 24 października 1968 r. zaczęły się wycofywać z terytorium czechosłowackiego. Informacje SB o nastrojach i zachowaniach mieszkańców Łodzi stały się skromniejsze w treści. O negatywnych dla Polski skutkach interwencji w wymiarze międzynarodowym łodzianie niewiele wiedzieli.

Jak SB czuwała nad „prawidłowym" obrazem interwencji w Czechosłowacji
Okupacja Pragi przez sowietów. foto: archiwum autora

Akcja „Podhale", zgromadzone przez SB w czasie jej trwania wypowiedzi różnych osób, nieliczne ulotki i anonimy wyraźnie pokazują, że dramat Czechów i Słowaków nie stał się płaszczyzną, na której Polacy współprzeżywali z sąsiadami ich ciężkie chwile. W braku żywszej reakcji mieszkańców Łodzi należy dopatrywać się obok lęku w wymiarze jednostkowym, niepewności o pokój światowy, a nade wszystko policyjnego nacisku oraz manipulacji ze strony propagandy. Brak nawet werbalnego wsparcia „praskiej wiosny" nie wynikał jednak z tego, że Polacy zapomnieli o wolności, że zaakceptowali „siermiężny socjalizm". Z pewnością swoiste ideologiczne zaczadzenie w tamtym czasie było ważnym faktem, który rzutował na oceny najazdu na południowych sąsiadów, najistotniejsze jednak jest to, że interwencja w CSRS przypadła na okres, kiedy w Polsce jeszcze nie opadł bitewny kurz po rozprawie z „marcowymi wichrzycielami", niepokornymi intelektualistami, osobami niewygodnymi dla rządzącej ekipy. Wielu tych, którzy mogli potencjalnie opowiedzieć się po stronie dążeń Czechów i Słowaków, latem 1968 r. leczyło rany po pałkach milicyjnych, przebywało w więzieniach, opuszczało Polskę. Przypomnijmy, że 27 sierpnia 1968 r. przed Sądem Powiatowym dla m. Łodzi stanęło czterech „prowodyrów marcowych zaburzeń studenckich" w Łodzi: Jerzy Szczęsny, Andrzej Makatrewicz, Brunon Kapala, Andrzej Kowalski. Ci, którzy pozostali na wolności nie mieli wątpliwości, że interwencja stworzyła „niekorzystny klimat dla kontynuowania „ruchu studenckiego". W tych warunkach podjęcie nawet najmniejszej akcji solidarnościowej było bardzo ryzykowne. Nawet jednostkowa, prywatna wypowiedź Mariana Bańbury – dziennikarza redakcji nocnej „Głosu Robotniczego", że gazety pisane są pod dyktando i wprowadzają opinię publiczną w błąd (dowodzi tego sprawa Czechosłowacji, na temat której społeczeństwo polskie wie tylko nieprawdę) mogła mieć dla niego negatywne skutki. Niewielu miało w sobie tyle odwagi by się przeciwstawić. Tym bardziej nie można zapomnieć nawet o najdrobniejszych gestach będących wyrazem solidarności z obywatelami Czechosłowacji.

Krzysztof Lesiakowski – doktor nauk historycznych, adiunkt w UŁ, pracownik łódzkiego oddziału IPN.

[Śródtytuły pochodzą od redakcji]

Jak ideologia rozgromiła rachunek ekonomiczny

Likwidacja Cygańskiej Spółdzielni Pracy „Novo Drom" (2)

Powstała w Łodzi w 1959 r. Cygańska Spółdzielnia Pracy „Novo Drom" była pierwszym w PRL utworzonym przez samych Romów tzw. uspołecznionym podmiotem gospodarczym. Narodzinom na łódzkim gruncie tego niewielkiego przedsiębiorstwa sprzyjać miała sama Michalina Tatarkówna – Majkowska, ówczesna I sekretarz KŁ PZPR – dostrzegając w inicjatywie grupy osiadłych w Łodzi Cyganów pożądany przez władzę przejaw ich zawodowej aktywizacji. I modelowy wprost krok prowadzący ku asymilacji Romów, niechętnie dotąd poddających się administracyjnemu nadzorowi.

„Novo Drom" trafiła – jak byśmy to dziś powiedzieli – w swoistą lukę rynkową oferując specyficzne usługi określane jako pobielanie naczyń. Ta tradycyjna i pielęgnowana przez pokolenia zawodowa umiejętność Cyganów okazała się szczególnie niezbędna dla uspołecznionych zakładów branży spożywczej zobowiązanych nowymi normami sanitarnymi do dokonywania okresowej renowacji kadzi przemysłowych i innych urządzeń produkcyjnych. Minimalna biurowość, prosta organizacja pracy oraz długie kolejki oczekujących na usługi „Novo Drom" spowodowały, że spółdzielnia w krótkim czasie zaczęła wykazywać bardzo wysokie obroty. Za wysokimi obrotami poszły zaś świetne zarobki załogi. Podczas gdy w latach sześćdziesiątych XX w. przeciętny robotnik uspołecznionego zakładu zarabiał miesięcznie około 2 tys. zł, to w „Novo Drom" w tym samym czasie pensja wynosząca 20 tys. zł należała do normalnych. Bardzo zaś wydajny pracownik mógł zarobić nawet 50 tys. zł, a bywało nawet, że więcej.

To zdenerwowało rządzącą partię. Wysokie zarobki Cyganów nie mieściły się w ideologii „państwa socjalistycznego". Małą Spółdzielnią „Novo Drom" (zatrudniała niewiele ponad 40 osób) zajął się w 1972 r. Sekretariat KŁ PZPR – najwyższy organ wykonawczy łódzkiej organizacji partyjnej. Kiedy zlecone przez ten organ (kierował nim już wówczas Bolesław Koperski) wielorakie kontrole nie wykazały oszustw czy innych nadużyć przy przyjmowaniu zamówień na usługi spółdzielni, a procedura wyliczania poborów okazała się poprawna, partia nakazała przyśpieszoną likwidację tego prosperującego i bardzo potrzebnego na rynku zakładu pracy. Wart też szczególnego podkreślenia jest czas podjęcia owej partyjnej akcji – rok 1972, a więc okres „wczesne-

go Gierka", kiedy władza obiecując wzrost stopy życiowej i racjonalizację ekonomicznych bodźców publicznie ogłaszała kurs na uzdrowienie tkwiącej w regresie gospodarki.

W Nr. 1/2003 „Kroniki" przedstawiliśmy pierwszą część opowieści o tej niedorzecznej bo jawiącej się na poziomie absurdu sprawie. Teraz dalsza część owej nieznanej „czarnej plamy" wydobytej z lamusa niedawnej historii.

POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA

KOMITET ŁÓDZKI

L. dz. .....

ŁÓDŹ, dnia 25.01. 1972 r.
Al. Kościuszki 107/109
Tel. 288-80, skrytka pocztowa nr 218

ŁÓDZKI ZWIĄZEK
SPÓŁDZIELNI PRACY
Ob. PREZES
J. ŚWITONIAK
w miejscu

W załączeniu przesyłamy do wiadomości i realizacji wnioski dotyczące środowiska cygańskiego w Łodzi oraz formy organizacji Spółdzielni Pracy Nowa Droga z prośbą o bezzwłoczne przystąpienie do ich wykonania. Jednocześnie prosimy o powiadomienie w terminie do dnia 31.III.1972 r. Wydział Administracyjny KŁ PZPR o wykonaniu wniosków 2,3,4 które bezpośrednio dotyczą Łódzkiego Związku Spółdzielni Pracy.

KIEROWNIK WYDZ. ADMINISTRACYJNEGO
KŁ PZPR
/Józef Niewiadomski/

ŁZGraf. Zam. 799/D. 12.X.68. 5 000

RAŻĄCE I NIEPRAWIDŁOWE ZAROBKI

Wszystkie zachowane dokumenty dotyczące likwidacji „Novo Drom" jako konieczność podjęcia tej radykalnej decyzji wskazują na „nieprawidłowe płace Cyganów", „rażące i nieprawidłowe zarobki", „permanentne zawyżanie zarobków", „bezprecedensową kumulację dochodów jednej rodziny" itp. Wprawdzie przyjęta przez Sekretariat KŁ PZPR w grudniu 1971 r. tzw. „Informacja dotycząca ludności cygańskiej zamieszkałej na terenie m. Łodzi" zawiera ogólnikowe stwierdzenia jak „nadużycia dokonywane przez Cyganów", „przestępstwa w przedsiębiorstwie", ale do końca procesu likwidacji cygańskiego przedsiębiorstwa ż a d e n dokument nie wymienia jakiegokolwiek k o n k r e t n e g o przykładu owego nadużycia lub przestępstwa. Nie pada też w tym kontekście

nazwisko żadnego Roma. Ale przestępstwa i nadużycia rzeczywiście w „Novo Drom" się zdarzyły. Tyle tylko, że dopuścili się tego nie Romowie, ale niektórzy członkowie ostatniego zarządu spółdzielni. Zarządu, z którego wszystkie osoby narodowości cygańskiej na polecenie partii zostały już kilka lat wcześniej wyeliminowane. Będzie o tym mowa dalej.

Wymuszona partyjnymi naciskami Uchwała Centralnego Związku Spółdzielni Pracy z 19 października 1972 r. stawiająca w stan likwidacji cygańskie przedsiębiorstwo odpowiedzialnością za tę restrykcję obciąża, oczywiście Romów, wytykając im, że wcześniej nie wyrazili zgody na połączenie „Novo Drom" z deficytową Spółdzielnią Pracy „Sława". „Utrzymywanie samodzielnej działalności gospodarczej w warunkach nieustannego naruszania przepisów, stabilizowania się anomalii (sic!) płacowych i nieprawidłowych zasad gospodarności tak małego przedsiębiorstwa jest ekonomicznie nieuzasadnione" – napisali w uzasadnieniu uchwały jej autorzy popadając jednocześnie w sprzeczność. Bo kilka zdań wcześniej przyznali, że obroty tej małej spółdzielni osiągnęły za trzy kwartały 1972 roku blisko 9 mln zł, co z ekonomicznego punktu widzenia było wynikiem wprost imponującym.

Uchwała CZSP nakazywała ostateczne ustanie działalności „Novo Drom" z końcem 1972 r. Oznaczało to konieczność wypłacenia w przyspieszonym tempie dużych odpraw zwalnianym pracownikom. A że wśród zwalnianych znalazły się ciężarne kobiety więc odprawy dla nich ze względu na ustawową ochronę stosunku pracy były szczególnie wysokie. Radca prawny Janusz Kaźmierczak, któremu zlecono formalną likwidację spółdzielni poprosił centralę o przesunięcie daty jej agonii. Tłumaczył to koniecznością wypracowania niezbędnych pieniędzy na odprawy pracownicze. Na jego wniosek termin likwidacji „Nowo Drom" przedłużano jeszcze kilkakrotnie ze względu na pełny wciąż portfel zamówień i możliwość bezpiecznego gromadzenia środków na odprawy i inne zobowiązania.

CENNIK TYLKO DLA CYGANÓW

Wówczas doszło do kolejnej niespodzianki. W okresie likwidacyjnym zarobki przewidzianej do zwolnień załogi zamiast zmaleć wzrosły. W grudniu 1972 r. pracownicy zarobili przeciętnie grubo po ponad 10 tys. zł zaś w styczniu 1993 r., na liście płac pojawiły się wynagrodzenia po 50 tys. zł. – Były to pieniądze naprawdę zarobione przez tych ludzi, a nie wykombinowane w jakiś oszukańczy sposób – wspomina po latach likwidator Kaźmierczak. – Pakiet zamówień na pobielanie urządzeń masarskich czy mleczarskich wciąż pęczniał, a Cyganie zdając sobie sprawę, że tracą definitywnie źródło dochodów uwijali się jak w transie pracując po kilkanaście godzin na dobę.

Pod naciskiem KŁ PZPR centrala spółdzielczości zwróciła się do ŁZSP by doprowadziła do takiego zredukowania cennika za usługi „Novo Drom", aby uniemożliwić jej pracownikom zarobienie więcej niż 5 tys. zł. Było to w tym samym cza-

sie kiedy dla innych podmiotów tej branży CZSP ustalił cenę za podobna usługę wyższą o ponad 300 procent od ceny obowiązującej w cygańskiej spółdzielni! ŁZSP jednak nie poddał się sugestii warszawskiej centrali. „Niemożliwe jest dalsze obniżanie cennika tylko dla Spółdzielni „Nowa Droga" z pominięciem innych zakładów wykonujących ten rodzaj usług" – tłumaczyli się łódzcy urzędnicy w piśmie z 9 lutego 1972 r.

Ograniczenie wypłat wynagrodzeń do 2,5 tys. zł wywołało ostrą reakcję Romów. Oświadczyli że nie przyjmą „napiwku" i złożyli w sądzie kilkanaście pozwów. – Wiedziałem, że wygrają bo sprawa ich wynagrodzeń była oczywista – opowiada Janusz Kaźmierczak. I choć Stanisław Dyniewski, wiceprezes ŁZSP informował 2 marca 1973 r. KŁ PZPR o konsekwencjach finansowych związanych z zatrzymaniem poborów należnym Cyganom – partia pozostała nieugięta.

Spółdzielnia „Novo Drom" zaprzestała działalności gospodarczej z końcem lutego 1973 r. Jej majątek w postaci hali (wybudowanej kosztem 2 mln zł) oraz maszyn i urządzeń został przekazany Spółdzielni Pracy „Sława" – tej samej, z którą wcześniej Romowie nie chcieli się połączyć. W 1973 r. Sąd Powiatowy w Łodzi wydał 12 wyroków zasądzając byłym już pracownikom cygańskiej spółdzielni kilkaset tysięcy złotych zaległych poborów powiększonych o odsetki i koszty procesu. Romów reprezentował Jerzy Stefaniak, nieżyjący już łódzki adwokat.

Likwidacja cygańskiej spółdzielni zbiegła się z procesem karnym byłej głównej księgowej skazanej na trzy lata więzienia za malwersacje. Zarówno ona jak i dwaj inni pociągnięci do odpowiedzialności sądowej członkowie kierownictwa spółdzielni nie byli Romami, gdyż jeszcze w 1968 roku partia w ramach „zadania nasycania spółdzielni elementem polskim" narzuciła Cyganom niecygańskie kierownictwo. Warto dodać, że Romowie przez co najmniej dwa lata próbowali bezskutecznie zainteresować organy ścigania podejrzanymi uchybieniami w działaniu narzuconego im kierownictwa.

PRZYKŁAD AKTYWNEJ PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Po zlikwidowaniu „ND" niektórzy Romowie próbowali bez większego powodzenia reaktywować działalność swojej zakazanej firmy w Skierniewicach po szyldem tamtejszej „Spółdzielni Samopomoc Chłopska". W większości jednak dawni pracownicy w niedługim czasie wyemigrowali, głównie do Szwecji. Maria Łakatosz mieszka w Malmö. Pracowała kiedyś z mężem w „Novo Drom". Pracował też tam jej kuzyn Stefan Buriański, niegdyś mistrz Polski w zapasach. – To była taka dobra rodzinna firma – wspomina. – Nikt się nie oszczędzał, każdy dawał z siebie dużo bo chciał zarobić. U nas nie trzeba było nikogo poganiać chociaż praca przy chemii i kwasach była i ciężka i niebezpieczna – mówi była pracownica.

Józef Niewiadomski w 1972 r. był kierownikiem Wydziału Administracyjnego KŁ PZPR. To ten wydział realizował decyzję Sekretariatu wymuszającą bez-

względna likwidację cygańskiego przedsiębiorstwa. Mówi, że niewiele pamięta z tej sprawy, bo pilotował ją jego podwładny, który już nie żyje. – Staraliśmy się im pomagać – mówi, mając na myśli Romów, ale nie może sobie przypomnieć kto z kierownictwa łódzkiej instancji partyjnej tak szczególnie uwziął się na Cyganów, doprowadzając wbrew jakiemukolwiek rachunkowi ekonomicznemu do likwidacji tej przynoszącej wysokie dochody spółdzielni. Zgadza się, że dzisiaj taka „Novo Drom" byłaby uważana za przykład szczególnie aktywnej przedsiębiorczości.

Gustaw Romanowski

Zał. nr 1

Zarządzenie wewnętrzne

Prezesa Zarządu Łódzkiego Związku Spółdzielni Pracy nr. 2 z dnia 5 lutego 1972 roku, znak: N/63/ 72

w sprawie: reorganizacji Sp-ni "Nowa Droga"

Komitet Łódzki PZPR przeprowadził ocenę warunków środowiska cygańskiego na terenie m. Łodzi, z której wyciągnął wnioski, że organizacja Sp-ni "Nowa Droga" nie jest prawidłowa.

W oparciu o polecenia KŁ PZPR w przedmiocie:

a/ zwiększenia stanu zatrudnienia Sp-ni pracownikami polskimi, aby Cyganie utracili prymat decydowania o formie działalności i organizacji Spółdzielni,

b/ podjęcia działania w kierunku połączenia Cygańskiej Sp-ni "Nowa Droga" z inną spółdzielnią branży metalowej celem zmniejszenia ilości etatów w administracji oraz ustalenia prawidłowej organizacji pracy w przedsiębiorstwie przy zagwarantowaniu Cyganom pracy w nowej spółdzielni,

c/ natychmiastowego uregulowania spraw płacowych w Sp-ni przez ustalenie ich na poziomie średniej płacy wykwalifikowanego robotnika w przemyśle metalowym,

polecam co następuje:

1. Dział Ekonomiczny przy współpracy z Działem Produkcji ustali normy produkcyjne i stawki płacowe na poziomie średniej płacy wykwalifikowanego robotnika w branży metalowej, wyznaczy fundusz płac i liczbę etatów dla Sp-ni przy założeniu oszczędności wynikających z komasacji Sp-ni "Nowa Droga" z inną Sp-nią.
2. Dział Samorządu i Organizacji wprowadzi do programu połączenie Sp-ni "Nowa Droga" z inną Sp-nią branży metalowej z uwzględnieniem przejęcia Sp-ni "Nowa Droga" przez Sp-nię o dobrej organizacji pracy,
3. Dział Produkcji ustali odpowiedni profil produkcji uwzględniając działalność połączonych sp-ni.
4. Sam.Wydział Techniki określi i uwzględni potrzeby Sp-ni w zakresie uzupełnienia parku maszynowego.
5. Stań. Inwestycji przeanalizuje potrzeby w zakresie inwestycji.

O wykonaniu zaleceń należy złożyć sprawozdanie Prezesowi Zarządu ŁZSP w terminie do 15 marca 1972 roku.

Nadzór nad wykonaniem powierza się resortowym Z-com Prezesa Zarządu wg. ich kompetencji.

PREZES
J. Switoniak

Otrzymują:
do wiadomości i nadzoru
Z-cy Prezesa Zarządu ŁZSP

do wykonania
Dział Ekonomiczny
Dział Samorządu i Organ.
Dział Produkcji
Sam.Wydz.Techniki
Stan.Inwestycji

Źródło:
Akta KŁ PZPR w Łodzi (Nr księgi ewid. 3414) „Cyganie na polskich drogach" – A. Mirga, L. Mróz, PWN Warszawa 1994 Relacje Marii Łakatosz, Mariki Słowackiej i Romana Zielińskiego.

łodzianie

Entuzjastka
Bożenna Banasik
Gustaw Romanowski
str. 123

W 60 rocznicę łagrowej śmierci
Eugeniusz Bodo, zapomniany łodzianin.
Maria Sondej
str. 125

Magnat filmowy
Artur Brauner
Jacek Witkowski
str. 131

Badacz kultury kaszubskiej.
Jadwiga Kucharska
Michał Niewiadomski
str. 137

Przewodnik
Stanisław Łukawski
Mieczysław Gumola
str. 142

Gustaw Romanowski

Entuzjastka

Bożenna Banasik

Wśród łódzkich adwokatów uchodziła za kogoś z trochę innej bajki. Niby zabiegana i zadyszana na codzień, jak każdy zapracowany mecenas – tyle, że nie od nadmiaru terminów sądowych czy natłoku klientów. Jej wieczny pośpiech nie brał się z pogoni za lukratywnymi zleceniami, bo te raczej się jej nie zdarzały, ale ze społecznikowskiej potrzeby działania. Kiedy w 1990 r. zakładała Stowarzyszenie Przyjaźni Prawników Polskich i Frankofońskich, tylko kilku kolegów z palestry zechciało przyłączyć się do takiej inicjatywy, widząc w pomyśle Bożenny co najwyżej sympatyczne dziwactwo urodziwej koleżanki. Ale kiedy 20 września 2003 r. chowano Bożennę na Starym Cmentarzu przy Ogrodowej, żegnało ją pewnie ponad tysiąc wyraźnie wstrząśniętych tą nagłą śmiercią osób.

Bożenna urodziła się 29 stycznia 1950 r. w Łodzi w rodzinie o patriotycznych tradycjach. Jej ojciec – pochodzący z Wołynia Mieczysław Kenig – miał bogatą AK -owską przeszłość. Jako radca prawny swoje zawodowe życie poświęcił pracy w Kurii Archidiecezji Łódzkiej. Społecznik i idealista nie liczący czasu, gdy trzeba było komuś pomóc wpłynął pewnie zasadniczo na przyszłe wybory drogi życiowej córki. Bożenna została adwokatem, ale od początku pociągały ją bardziej problemy ochrony praw człowieka niż sądowa drobnica, dominująca na ogół w przeciętnej adwokackiej kancelarii. Problem łamania tych podstawowych praw użądlił ją najmocniej w 1982 r., kiedy jeszcze jako aplikantka adwokacka znalazła się na procesie Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego, przywódców łódzkiej „Solidarności" oskarżonych i skazanych bezprawnie na podstawie przepisów dekretu o stanie wojennym. Od tego czasu ochrona tych praw stała się jej prawdziwa obsesją. Jeszcze w latach 80' broniła w procesach politycznych, a w wolnej już Polsce zaangażowała się w tworzenie na wzór europejski struktur zajmujących się taką ochroną. Organizując wspólnie z prawnikami z Lyonu konferencje poświęcone humanizacji prawa i podnoszenia poziomu etyki zawodu spowodowała, że coraz większe grono polskich prawników – adwokatów, sędziow, prokuratorów zaczęło aktywnie interesować się tymi sprawami. Miała małą adwokacką kancelarię,

ale była typem wiecznego entuzjasty, zarażającego innych swoim optymizmem. W 1998 r. przebojem wygrała wybory na dziekana łódzkiej palestry zmieniając całowicie dotychczasowy styl sprawowania tego urzędu. Trzy lata później powtórzyła ten sukces otrzymując mandat środowiska na następną kadencję. Jednocześnie objęła przewodnictwo Komisji Praw Człowieka przy Naczelnej Radzie Adwokackiej. Jej inicjatywie polska palestra zawdzięcza w dużym stopniu powołanie Instytutu Praw Człowieka. A przecież mimo tych osobistych satysfakcji los nie szczędził Bożennie ciosów. W 1999 r. dotkneła ją nagła śmierć męża, dwa lata poźniej niemal tego samego dnia zmarli brat i ojciec.
Bardzo cierpiała choć na zewnątrz ukazywała tę samą uśmiechniętą twarz entuzjastki. Dopiero w ubiegłym roku zwierzyła się przyjaciołom, że jakoś uporała się z ciężarem bólu po odejściu najbliższych. Potem wystartowała w wyborach na prezydenta Łodzi. Programowo bezpartyjna, bez zaplecza politycznego i pieniędzy na kampanię, zaraziła swoim entuzjazmem ponad 14 tysięcy mieszkańców miasta, którzy oddali na nią głos. Kiedy w połowie kampanii nagle zniknęła, niektórzy twierdzili, że zrejterowała. Okazało się, że wyjechała na dzień do Rzymu. Przyjął ją Ojciec Święty, pocałował w czoło. Po powrocie z dumą pokazywała zdjęcie z audiencji. I choć wyborów nie wygrała zdobyła sympatię łodzian zyskując wielu nowych przyjaciół.
Byłem rzecznikiem Bożenny w tej kampanii. Pamiętam jak śmiała się ze swojej przegranej, bo tak naprawdę nie wierzyła w sukces wyborczy. – To miał być tylko test, na ile może liczyć bezpartyjna łodzianka, która ma pomysły na miasto – mówiła. Mało kto wiedział, że pisała wiersze i opowiadania. Przetłumaczony cykl jej poezji wydano we Francji.
Od jakiegoś czasu myślała o kandydowaniu do Parlamentu Europejskiego. Znała jezyki, dobrze poruszała się w prawie europejskim. Denerwowało ją jednak to, że nie może stanąć do tych wyborów jako bezpartyjna obywatelka RP. – Obiecałam kiedyś ojcu, że nie wstąpię do żadnej partii – lubiła powtarzać. Zmarła nagle na zawał serca 17 września 2003 roku.

Gustaw Romanowski

Maria Sondej

W 60 rocznicę łagrowej śmierci

Eugeniusz Bodo, zapomniany łodzianin.

Moja mama, która w chwili wybuchu wojny miała 19 lat, przez całe życie zachowała sentyment do tego aktora. Był niekwestionowaną gwiazdą filmową jej przedwojennej młodości. Znała jego role, nuciła śpiewane przez niego piosenki. Takich miłośniczek Eugeniusz Bodo miał miliony.

Ze Szwajcarii do Łodzi

Był z pochodzenia Szwajcarem i szwajcarskie obywatelstwo zachował do końca życia. Urodził się w Genewie 29 grudnia 1899 roku, ale od bardzo wczesnego dzieciństwa mieszkał w Łodzi. Prawdziwe nazwisko aktora brzmiało Bohdan Eugene Junod. Ojciec, Teodor Junod, założył w Łodzi wzięty teatrzyk kabaretowy „Urania", mieszczący się przy ul. Cegielnianej (dzisiaj Jaracza). Około 1902 roku wprowadził tam, obok programu kabaretowego, także pokazy filmowe.

Różne są informacje na temat czasu przyjazdu małego Bodo do Łodzi, ale w życiorysie napisanym przez samego aktora czytamy: „Zjeździwszy całe imperium rosyjskie oraz pogranicze Chin i Persji, gdzie ojciec mój wyświetlał filmy (był jednym z pierwszych propagatorów sztuki filmowej) zawitaliśmy do Polski i osiedliliśmy się tu na stałe. Ojciec mój w Łodzi otworzył kinoteatr Urania". Najprawdopodobniej do Łodzi trafił Bodo jako trzyletnie dziecko.

Potwierdzają to także wspomnienia Ludwika Starskiego (przywołał je cztery lata temu Tomasz Zbigniew Zapert w artykule zamieszczonym w „Rzeczpospolitej") o dziesięcio-

letnim Bodo, który budził zachwyt łódzkiej widowni w Uranii, występując w „kowbojskim numerze", z lassem i rewolwerami. Starski twierdził, że już w wtedy przyszły aktor używał pseudonimu „Bodo", który potem przyjął w życiu zawodowym. Było to połączenie pierwszych sylab dwóch imion: jego – Bogdan i matki – Dorota (Jadwiga Anna Dorota z Dylewskich).

Już taki jestem zimny drań

Od dzieciństwa ciągnęło go więc na scenę, ale – zgodnie z wolą rodziców – poszedł do szkoły handlowej. Szybko ją porzucił i jako 19-latek uciekł do Poznania, gdzie znalazł zatrudnienie w teatrzyku „Apollo", najpierw jako bileter, potem – statysta. Gdy rodzice pogodzili się wreszcie z jego wyborem, w 1919 r. pojechał do Warszawy występując w teatrzykach rewiowych „Qui pro Quo", „Morskie Oko", „Stańczyk", „Cyrulik Warszawski". Do Łodzi wrócił w 1921 roku i przez prawie dwa lata grywał w kabarecie ojca.
Jednak prawdziwą popularność przyniosło mu dopiero kino. Filmową karierę zaczynał w 1925 r. jeszcze w niemym obrazie „Rywale", reżyserowanym przez Henryka Szaro. W kilku kolejnych, również niemych filmach, wykorzystał swoje umiejętności taneczne.

W 60 rocznicę łagrowej śmierci fotos z filmu „Na piętrze" str.2

Pełnię talentu wykazał jednak na ekranie, dopiero po wprowadzeniu do kina dźwięku. Głos miał niezbyt mocny, ale miły i znakomity słuch, śpiewał więc niemal w każdym filmie. Występował w kilku obrazach rocznie, prawie w każdym kreując jakiś muzyczny szlagier. Piosenki pisali dla niego znani kompozytorzy, m. in. Henryk Wars i Jerzy Petersburski. „Już taki jestem zimny drań", „Sex-appeal" „Jeśli znajdę taką żonę", „Umówiłem się z nią na dziewiątą", „Ach te baby, człek łyżkami by je jadł" czy „Kołysanka" śpiewana z Adolfem Dymszą w filmie „Paweł i Gaweł" – to tylko część listy przebojów Eugeniusza Bodo. Warto przypomnieć, że piosenkę Warsa „Sex-appeal" śpiewał w farsie „Piętro wyżej" z 1937 r. przebrany za kobietę! Nawet dziś oglądany zachwyca poziomem aktorstwa.

Bodo odnosił sukcesy również poza filmem. W 1932 r. ogłoszono go „Królem Ekranu 1932", w 1936 został „Królem Mody". Uchodził w tej dziedzinie za arbitra, był nawet pionierem reklamy. Pozwalał się fotografować w butach od renomowanego szewca albo w tweedowych marynarkach ze znanego sklepu. Jednak nie zgodził się na reklamowanie znakomitej wódki Baczewskiego. Tłumaczył, że... jest abstynentem i nie byłby wiarygodny, zachwalając „Starkę".

W filmach grywał głównie role amantów, ale nie stronił od filmu ambitnego i ról dramatycznych. W 1938 r. z powodzeniem wystąpił w „Strachach" Eugeniusza Cękalskiego, zrealizowanych w Spółdzielni Autorów Filmowych. Ten niezależny, samodzielny ośrodek produkcyjny powstał zgodnie z postulatami rozwiązanego w 1935 r. Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego „Start". „Strachy" uważa się dziś za film ważny i bardzo dojrzały.

Był także Bodo producentem. Razem z Michałem Waszyńskim i Adamem Brodziszem założył w 1931 r. spółkę produkcyjną, nazwaną od nazwisk wspólników „BWB". Dwa lata później utworzył własną wytwórnię o nazwie „Urania-Film", w której powstało wiele odnoszących sukcesy filmów z jego udziałem. Z czasem zaczął także pisać scenariusze, a nawet reżyserować (wodewil „Królowa przedmieścia" z 1938 r. i melodramat „Za winy niepopełnione" z tego samego roku).

Nigdy nie był żonaty. Mieszkał z matką i ukochanym psem, dogiem Arlekinem.

Element społecznie niebezpieczny

Ostatnim przed wojną filmem, który przygotowywał jako reżyser, i w którym miał także wystąpić, był dramat sensacyjny „Uwaga – szpieg". O jego realizacji donosił ostatni, sprzedawany tylko w Warszawie numer „Kina" z 3 września 1939 r. Wybuch wojny uniemożliwił także prowadzenie własnej kawiarni o nazwie „Cafe Bodo", którą aktor założył pięć miesięcy wcześniej.

Wyjechał więc z Warszawy do nie objętego jeszcze wojną Lwowa. Razem z big-bandem „Tea Jazz" Henryka Warsa odbył tournée po ZSRR, śpiewając po polsku i po rosyjsku.

Potem już tylko czekał na wyjazd do Ameryki, co – jak sądził – gwarantował mu szwajcarski paszport. Zamiast tego został 26 czerwca 1941 r. aresztowany i przewieziony do moskiewskiego więzienia na Butyrkach.
Paradoksalnie szwajcarski paszport, który miał mu zapewnić bezpieczeństwo, wywołał nieufność władz sowieckich.
Trafił najpierw do obozu pracy pod Ufą, potem przeniesiono go do łagru w pobliżu Archangielska. Zmarł tam 7 października 1943 roku. Ale o tym wiemy dopiero od niedawna. Wcześniej przez wiele lat nie było na ten temat żadnych pewnych informacji.
Najpierw za datę śmierci Eugeniusza Bodo uważano rok 1941. W Wielkiej Encyklopedii PWN czytamy, że wtedy zginął z rąk hitlerowców. Z kolei Encyklopedia Powszechna PWN z 1973 r. przy haśle „Bodo" podaje tylko daty: 1899-ok. 1941. Żadnych więcej szczegółów. Popularny w latach 70. Magazyn Filmowy w 1971 r. (nr 8) piórem Stefanii Beylin sporządził notkę poświęconą Eugeniuszowi Bodo. Kończy ją zdaniem: „Zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach w czasie wojny". Dopiero w Encyklopedii Popularnej PWN z 1995 roku możemy przeczytać: „... zginął w 1941 (?) w obozie w ZSRR". O rok późniejsza jednotomowa Encyklopedia Popularna przytacza już prawdziwą datę śmierci – 1943 rok. I informację: „Zginął w ZSRR". Najnowsza Wielka Encyklopedia PWN (tom 4, 2001 r.) podaje dokładnie: zginął w obozie sowieckim 7 października 1943 r.
Ten fakt jako pierwszy upublicznił Stanisław Janicki w dokumentalnym filmie „Za winy niepopełnione – Eugeniusz Bodo". Dramatyczną biografię aktora zrealizowała w 1997 roku łódzka „oświatówka".

Wszystko przez to szwajcarskie obywatelstwo

Skąd Stanisław Janicki wiedział o tragicznych losach aktora?
Otóż w 1972 r. jeden z prowadzonych przez siebie programów telewizyjnych poświęcił Eugeniuszowi Bodo. W listach, jakie dostał po emisji, było sporo informacji (bardziej lub mniej prawdopodobnych) na temat śmierci aktora. Niektóre wzajemnie się wykluczały. Pisano, że Bodo zginął na ulicach Lwowa; że zamordowało go NKWD za próbę przekroczenia w 1940 r. granicy rumuńskiej; że Niemcy zakłuli go bagnetami przy biurku w czerwcu 1941 r.; że został zastrzelony po występie, gdzieś pod Lwowem. Nieliczne listy wskazywały: „sowiecki łagier".
Oficjalnie potwierdziła tę wersję Irena Kuleszyna, cioteczna siostra Bodo, którą już w 1958 r. Międzynarodowy Czerwony Krzyż poinformował o śmierci kuzyna w roku 1943 w łagrze na terenie ZSRR. Ale dużo wody jeszcze upłynęło, zanim tą wiedzą można się było bezpiecznie podzielić.
Janicki do sprawy wrócił dopiero po roku 1989, gdy łagry przestały być tematem tabu. Ponownie nawiązał kontakt z autorami listów sprzed lat. Wielu już nie żyło, pamiątki po nich przepadły. Dotarł do nowego świadka: profesora Alfreda Mirka z Moskwy, muzy-

kologa polskiego pochodzenia, który w 1990 r. opublikował „Dziennik więźnia". Znalazł się tam opis spotkania z Eugeniuszem Bodo w celi więzienia na Butyrkach w Moskwie. Aktor, wspominając swoje aresztowanie opowiadał, że hitlerowskie czołgi były już blisko Lwowa. Sądził więc, że NKWD zatrzymując go, chce uratować przed okupacją niemiecką. Dopiero później zrozumiał, że dla lwowskich enkawudzistów aktor z paszportem szwajcarskim, miał być przepustką do Moskwy.

Oficjalnie informacje o osadzeniu w Butyrkach potwierdziła inna krewna Eugeniusza Bodo (Irena Kuleszyna już nie żyła) – Wiera Rudź z Tomaszowa Mazowieckiego. Ona także dociekała, jak i gdzie zginął słynny kuzyn. Jej list do prezydenta Jelcyna został przesłany do Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, skąd pani Wiera otrzymała odpowiedź. W oficjalnym piśmie poinformowano ją: „Żano-Bodo Eugeniusz-Bogdan, ur. 1899 Genewa, syn Teodora, z zawodu aktor, reżyser, został aresztowany w dniu 26 VI 1941 r. i decyzją Specjalnego Kolegium przy NKWD ZSRR skazany na 5 lat ciężkiego obozu wychowawczego (jako element społecznie niebezpieczny). Okres kary odbywał w Więzieniu Butyrskim w Moskwie, w mieście Ufa i w Obłasti Archangielskiej. Zmarł 7 X 1943 roku (Informacji o przyczynie zgonu i miejscu pochówku brak).

Na podstawie artykułu 3 Ustawy Federacji Rosji „O rehabilitacji ofiar represji politycznych" z dnia 18 X 1991 roku w/wymieniony został rehabilitowany" (cytuję za miesięcznikiem Kino z 1996, nr 6).

Do pisma dołączono kopię jedynego zdjęcia Bodo, zrobionego w więzieniu.

Robi wstrząsające wrażenie: postarzała i spuchnięta twarz, ogolona głowa.

Uliczka jest, o gwieździe nikt nie pamiętał

Eugeniusz Bodo ma w Łodzi – mieście swojej młodości – maleńką uliczkę swego imienia: na Widzewie Wschodzie, za cmentarzem komunalnym przy ul. Lodowej, między ulicami Puszkina a Snowalnianą.

W maju 1994 roku przewodniczący komisji nazewnictwa Rady Miejskiej – Lucjan Muszyński – zaproponował, by zlokalizować tam ulicę Eugeniusza Bodo. Wiedział, że Bodo zmarł w sowieckim łagrze, ale we wniosku o tym nie wspominał. Dzięki temu wniosek został przyjęty jednogłośnie.

Jest więc w Łodzi uliczka imienia Eugeniusza Bodo. Ale czy ten wielki aktor nie powinien mieć także swojej GWIAZDY? Istniejąca od 1998 roku Aleja Gwiazd liczy już ponad 40 nazwisk ludzi filmu. Są reżyserzy, jest dokumentalista (Włodzimierz Puchalski) i historyk filmu (Jerzy Toeplitz). Są także aktorzy, zarówno współcześni (Gustaw Holoubek, Zbigniew Zapasiewicz) jak i przedwojenni (Jadzia Andrzejewska). Zabrakło jednak miejsca dla Bodo. Dlaczego?

Najwyższy czas nadrobić to zaniedbanie. W tym roku upłynęło 60 lat od tragicznej śmierci wielkiego aktora. Czy to nie wystarczająca okazja?

Maria Sondej
– wieloletnia była dziennikarka „Gazety Wyborczej",
redaktorka miesięcznika „Kalejdoskop".

Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Kinematografii

W 60 rocznicę łagrowej śmierci - Maria Sondej
Eugeniusz Bodo w wieku 20 lat.

Jacek Witkowski

Magnat filmowy

Artur Brauner

Przeciętny miłośnik X-tej muzy, nawet taki często odwiedzający kina i zaliczający większość bieżącego i archiwalnego repertuaru, nie posuwa się przeważnie w swoich zainteresowaniach i wiedzy poza znajomość nazwisk aktorów oraz reżyserów. Co bardziej wnikliwi znają jeszcze czasami nazwiska kompozytorów muzyki filmowej. Mało kogo, spoza ścisłej branży, obchodzi, kto zaryzykował pieniądze, aby dzieło w ogóle mogło powstać. Kto zadbał o to, by odpowiedni ludzie dostali pracę i kto zorganizował skomplikowaną układankę terminów, kontraktów, scenopisów, pracy w studiach, w plenerach i pracowniach krawieckich oraz rekwizytorniach. Producent musi mieć obraz całej tej machiny jeszcze zanim ruszy i kontrolować jej działanie przez cały proces powstawania dzieła. Wielu kinomanów w Polsce zdziwiłoby się, gdyby wiedziało, że filmy tak różne od siebie, a jednocześnie tak znane, zarówno u nas jak i za granicą, jak „Hanussen" Istvana Szabo, „Europa Europa" Agnieszki Holland czy „Walka o Rzym" Roberta Siodmaka powstały dzięki istnieniu CCC, czyli wielkiej wytwórni filmowej Artura Braunera. Jeszcze większą liczbę kinomanów zaskoczyłby zapewne fakt, że Artur Brauner jest łodzianinem. Ten prawdziwy „obywatel świata" brylujący na wszelkich uroczystościach filmowych, miłośnik cygańskiej muzyki i szybkich samochodów, poliglota mówiący biegle po niemiecku, rumuńsku, angielsku, rosyjsku i oczywiście po polsku, urodził się w naszym mieście 1 sierpnia 1918 roku.

Przyszedł na świat jako pierworodny syn Mosze Braunera, bogatego żydowskiego handlarza drewnem, oraz jego żony Brany. Wraz z czwórką rodzeństwa (Wolfem, Dawidem, Felą i Idą) odebrał staranne, choć nie ortodoksyjne, żydowskie wychowanie. Niestety, o jego ojcu i szczegółach życia rodzinnego państwa Brauner wiadomo bardzo niewiele.

Chociaż nadano mu imię Abraham, już w szkole podstawowej zrezygnował z niego, pragnąc by nazywano go Arturem. Od dziecka był bardzo utalentowany. Z zamiłowaniem grywał na skrzypcach. Potrafił śpiewać i komponować. Chciał nawet zostać muzykiem, ale z woli ojca przeznaczona mu była politechnika. Według niego tylko tego typu wykształcenie mogło mu w przyszłości zapewnić jakiś konkretny i przynoszący chleb zawód. Plany te zniweczyła napaść hitlerowskich Niemiec na Polskę.

Największą pasją młodego Artura było kino. Nie wyobrażał sobie życia bez niego, co wyraźnie podkreśla w swojej autobiografii „Mich gibt's nur einmal" („Ja zdarzam się tylko raz"). To właśnie tu, w przedwojennych łódzkich kinach „Luna" i „Splendid" ukształtował się jego sposób pojmowania X-tej Muzy.

Po wejściu hitlerowców do Łodzi, wraz z całą rodziną znalazł się w łódzkim gettcie. Co do konkretnych faktów dotyczących prześladowania swojej rodziny i najbliższych, wypowiadał się później zawsze jedynie ogólnikowo. Podkreślał tylko to, że starał się unikać noszenia obowiązkowej gwiazdy żydowskiej. Życie w gettcie, choroby, głód i nieodłącznie związane z takimi warunkami stałe poczucie zagrożenia i strachu to koszmary, do których wraca na spotkaniach i wywiadach bardzo niechętnie. Unika komentarzy i zwierzeń na temat tamtych czasów na tyle konsekwentnie, że zainteresowani jego historią muszą sobie niektóre fakty żmudnie rekonstruować, a inne dopowiadać lub wręcz się ich domyślać.

Jest np. wysoce prawdopodobne, że w końcu jedna z jego ucieczek z getta powiodła się tak dalece, że w jej efekcie znalazł się Brauner aż na terenie Ukrainy. Uratował również swoich najbliższych, którym zapewnił przetrwanie, często samemu głodując, a także biorąc jakiś udział w akcjach ruchu oporu. On sam oblicza, że 49 innych krewnych i członków dalszej rodziny zginęło w gettach i obozach zagłady.

Rodzinna Łódź w zasadzie nie doznała większych zniszczeń podczas działań wojennych. Brauner nie zdecydował się jednak na pozostanie w Polsce. Istotny wpływ na tę decyzję miał okryty złą sławą kielecki pogrom Żydów w lipcu 1946. Wraz z bratem Wolfem postanowili opuścić Europę i osiąść na stałe w Stanach Zjednoczonych. Los jednak, paradoksalnie, umieścił następne rozdziały z życia Artura w kraju ludzi, którzy największą w historii tragedię Żydów spowodowali. Zawrotna kariera przyszłego magnata filmowego zaczęła się w berlińskiej poczekalni kolejowej, gdzie tysiące Żydów, którym udało się przetrwać Holocaust, oczekiwało na wyjazd do Palestyny, Kanady bądź USA. Jak twierdzi, został właśnie w Niemczech, ponieważ tylko tam mógł myśleć o produkowaniu filmów, na których wówczas najbardziej mu zależało: piętnujących nazizm i ukazujących grozę tego, co spowodował.

W zawierusze przemieszczeń, przesiedleń i powrotów mas ludzkich po wojnie krzyżują się drogi życiowe Artura i Marii Albert – Żydówki, która przeżyła wojnę w Niemczech, ukrywając się pod fałszywą tożsamością polskiej katolickiej robotnicy przemysłowej. W lutym 1947 biorą ślub.

Bez żadnych koneksji ani znajomości Artur Brauner wkracza w dopiero raczkujący, powojenny niemiecki przemysł filmowy, rozwijający się w brytyjskiej strefie okupacyjnej Berlina. Jedna z wersji mówi, że w sfinansowaniu pierwszego, skądinąd mało znaczącego, powstałego na licencji brytyjskiej, filmu Braunera „Mów prawdę" wydatnie pomogło spieniężenie futra matki Artura. Niebawem udaje się też znalezienie francuskiego partnera aby sfinansować „Horzkonig", pierwszy film zrodzony już pod szyldem własnej wytwórni CCC – Film Kunst (Central Cinema Company). Założył ją we wrześniu 1946, mając wówczas 28 lat. W obydwu filmach zagrała Sonja Ziemann, późniejsza pierwsza gwiazda filmów powstających w CCC.

Obie wspomniane produkcje były lekkimi, nastawionymi na szybkie zyski przedsięwzięciami, których zadaniem było, między innymi, zgromadzenie wystarczających funduszy na produkcję filmu, którego tematyka szczególnie leżała Braunerowi na sercu. „Morituri" był pierwszym z serii Braunerowskich filmów poświęconych terrorowi czasów narodowego socjalizmu. Powstała historia o przemocy i strachu, ale też o woli przetrwania i zachowaniu człowieczeństwa nawet w chwilach ekstremalnej próby. Film znalazł wprawdzie spodziewane zrozumienie u krytyki, spotkał się jednak ze zdecydowaną niechęcią u publiczności. Zmęczony dopiero co zakończoną wojną widz nie dojrzał jeszcze do filmowych rozrachunków z przeszłością i nie chciał oglądać koszmarów, które jeszcze nie zdążyły ulotnić się z jego psychiki.

Brauner umiał uczyć się i wyciągać wnioski z każdej porażki. W konsekwencji komercyjnego niepowodzenia swego ambitnego dzieła zdecydował się na kompromis – produkowanie łatwych, rozrywkowych i nie przynoszących żadnego ryzyka finansowego filmów, które od czasu do czasu przetykał poważniejszymi propozycjami. W niedługim czasie produkcja owych „Tra la la filmów" (jak sam je nazywał), zaczęła przynosić oczekiwane dochody i w 1950 roku Brauner buduje wreszcie swoje własne, wymarzone, wielkie studio filmowe. Wykorzystał do tego celu tereny i zabudowania dawnej fabryki śmiercionośnych gazów w Haselhorst obok Spandau, niedaleko Berlina. W swoim czasie były to najnowocześniejsze hale zdjęciowe i atelier w Niemczech.

W 1955 roku ze studia wytwórni CCC wychodziło już więcej niż 10 filmów rocznie. Praktycznie wszystkie znaczące gwiazdy filmu niemieckiego tamtych lat przewinęły się przed kamerami wytwórni Braunera. Artyści tej miary co Maria Schell, Romy Schneider czy Kurt Jurgens grali u reżyserów takich jak Robert Siodmak i Helmut Kautner, a wkrótce dołączył do nich, uwielbiany przez Artura w dzieciństwie, Fritz Lang. Studio zatrudniało najlepszych fachowców – scenarzystów, architektów, kostiumologów i kompozytorów. Interes kwitł. Już w 1954 roku Brauner zmuszony jest do dobudowy dodatkowych hal zdjęciowych. Im większym staje się całe przedsięwzięcie, tym bardziej jego szef nastawia się na produkcję „pewniaków".

Widzowie żądali rozrywki, więc CCC im jej dostarczała. Adaptacje wielkiej literatury przeplatają się z komediami, melodramatami i operetkami, a wszyst-

ko w gwiazdorskiej obsadzie. Do odkryć Braunera należała m. in. znana niegdyś i modna także u nas, śpiewaczka i tancerka Catherina Valente. Przełom lat 1958/ 59 okazał się rekordowym. Wytwórnia wyprodukowała wówczas 19 filmów. Powstała superprodukcja Fritza Langa „Indyjski grobowiec", ale także „Ósmy dzień tygodnia" Aleksandra Forda z Sonją Ziemann i Zbigniewem Cybulskim. Michele Morgan zagrała w „Ludziach w hotelu" a Romy Schneider i Lili Palmer w „Dziewczętach w mundurkach".

Kryzysy ekonomiczno-gospodarcze końca lat 50-tych i początku 60-tych, które usuwały grunt spod nóg wielu przemysłowcom, nie ominęły również branży filmowej i rozrywkowej, a wytwórnia w Spandau nie stanowiła wyjątku. Przeprowadzone wówczas sondaże, mające wskazać ewentualne możliwości wyjścia z trudnej sytuacji wykazały, że jeśli chce się nadal produkować filmy kinowe, należy zwrócić się w kierunku młodszej publiczności. Starsi widzowie zdążyli już zasmakować małej, domowej stabilizacji i względnego dobrobytu, którego widocznym symbolem stał się telewizor, dostarczający rozrywki bez potrzeby opuszczania własnych czterech ścian. Artur Brauner ma wówczas 40 lat i zdaje sobie sprawę z nowej sytuacji aż nazbyt dobrze.

W 1963 roku jego były współpracownik – Horst Wendlandt, odnosi niebywały sukces produkcją filmu luźno opartego na prozie Karola Maya.. Film był swoistą mieszaniną westernu w wydaniu europejskim oraz opowieści przygodowej i nosił tytuł „Skarb w Srebrnym Jeziorze". Główne role odtwarzali w nim: nieznany wówczas nikomu Francuz Pierre Brice, jako wódz Apaczów Winnetou, oraz Amerykanin Lex Barker, który wcielił się w białego poszukiwacza przygód i obrońcę uciśnionych – Olda Shatterhanda. Film przyniósł kolosalne dochody i stał się kultowym wśród nastoletniej widowni niemieckiej, głodnej nowych ideałów do naśladowania. Wendlandt nie czeka i natychmiast dyskontuje swój sukces, zabezpieczając sobie prawa do następnych ekranizacji powieści Maya.

Brauner postanawia za wszelką cenę dowiązać się do sukcesu swego byłego współpracownika. Na przeszkodzie stoi m. in. fakt, że Wendlandt, posiada wyłączne prawa do ekranizacji powieści Karola Maya. Brauner więc wpada na sprytny pomysł, aby nakręcić kolejny film o Winnetou, ale taki, którego ani tytuł ani treść nie byłyby związane z żadną k o n k r e t n ą powieścią autora. Zamawia więc odpowiedni scenariusz, a samemu filmowi nadaje tytuł „Old Shatterhand", jako, że żadna z książek Maya nigdy takiego tytułu nie nosiła. Reżyserię powierzył hollywoodzkiemu rzemieślnikowi nazwiskiem Hugo Fregonese. Kwestię angażu odtwórcy roli Winnetou, czyli francuskiego aktora Pierre Brice, bez którego film oczywiście nie mógłby powstać, załatwiono drogą prostej i sprawdzonej w przemyśle filmowym wymiany gwiazd. W zamian za wypożyczenie Brice, Wendlandt otrzymał od Braunera sławną i urodziwą Elke Sommer, którą natychmiast zatrudnił na planie swojej kolejnej produkcji- adaptacji Maya: „Winnetou wśród Sępów".

„Old Shatterhand" nie zawiódł pokładanych w nim nadziei swego

producenta. Okazał się kolejnym sukcesem Braunerowskiej CCC. Usiłowano film nawet promować (w wersji 70 mm) na rynku amerykańskim, jednakże tamtejsza widownia, przyzwyczajona do rodzimej wersji legendy o dzikim zachodzie, przyjęła europejski western kpiną i ironią.

Po tym, jak fala popularności filmów według Karola Maya zaczęła już jakby opadać, Brauner decyduje się jeszcze raz na próbę wskrzeszenia legendy. W 1968 roku Harald Reinl najlepszy reżyser serii, twórca oryginalnych, pierwszych dwóch filmów o Winnetou, (pracujący wówczas dla Horsta Wendlandta), tworzy łabędzi śpiew całej serii. W filmie zatytułowanym „Winnetou w Dolinie Śmierci" obaj idole młodzieżowi – biały i czerwony brat – po raz ostatni galopują na tle cudownych krajobrazów ówczesnej Jugosławii.

Złote czasy filmu niemieckiego w Europie zdają się jednak dobiegać końca. Na rynku zaczynają dominować wysokobudżetowe produkcje amerykańskie. Ponadto, wzrasta wciąż ilość sieci i wytwórni telewizyjnych. Zmieniają się środki i metody produkcji. Wszystko to bardzo odbija się na działalności wytwórni Artura Braunera. Usiłując ratować sytuację, decyduje się na produkcję rodzimych gigantów, nawiązujących do germańskiej mitologii („Nibelungi" z 1966) lub do spektakularnych wydarzeń z antycznej przeszłości („Walka o Rzym" z przełomu 1968/ 69). Ten ostatni przynosi jednakże finansową klęskę.

Od połowy lat 70-tych koncentruje się głównie na filmach, które znów demaskują działanie systemu narodowego socjalizmu („Sie sind frei Dr Korczak", „Charlotte", „Miłość w Niemczech", „Ogród Różany"). W 1990 otarł się prawie o Oscara. Niemiecka Komisja Kwalifikacyjna nie zdecydowała się jednak na wytypowanie filmu Agnieszki Holland pt. „Hitlerjunge Salomon" (u nas nosił tytuł „Europa Europa") do nominacji, mimo iż dzieło zostało już wcześniej dostrzeżone i uhonorowane prestiżową nagrodą Złotego Globu. Zadziałały zapewne jakieś wewnętrzne niesnaski wewnątrz niemieckiego środowiska filmowego (Brauner ma tam tyluż zwolenników, co wrogów). Sama reżyserka zwracała w jednym z wywiadów uwagę na to, że w sytuacji, gdy wśród członków Komisji Kwalifikacyjnej znajdowały się osoby o sympatiach pronazistowskich, nie może dziwić fakt, że film żydowskiego producenta i polskiej reżyserki nie nadawał się do reprezentowania Niemiec za oceanem.

W roku 1990 cały wysiłek i praca Braunera zostają uhonorowane odpowiednią wystawą monograficzną w Muzeum Filmowym we Frankfurcie. W uznaniu długoletniej i wybitnej działalności na polu niemieckiej kinematografii otrzymuje w 1995 roku na uroczystości w Wiesbaden, Złoty Krzyż Zasługi 1-szej klasy. Jest ponadto laureatem Złotej Wstęgi Filmowej. W ciągu ponad półwiecza zrealizował ponad dwieście pięćdziesiąt filmów. Były wśród nich i dzieła wybitne i te mniej udane. Były i sukcesy i porażki. Podczas swej działalności Artur Brauner stykał się z najwybitniejszymi posta-

ciami kina światowego, ale – co godne podkreślenia – nigdy nie zapomniał skąd pochodzi i nie wypierał się swoich związków ani z Polską ani z Łodzią.

Dwukrotnie współpracował z Agnieszką Holland, wcześniej z Jerzym Hoffmanem („Wedle wyroków Twoich"). Reżyserowali dla niego: Andrzej Wajda („Miłość w Niemczech"), Aleksander Ford („Jest pan wolny, Doktorze Korczak") i Jan Kijowski („Tragarz puchu"). W 1990 roku realizował w Polsce pierwszy wschodnio-zachodni serial TV „Alaska Stories". Przy okazji pobytu w naszym kraju był gościem specjalnym Krakowskiego Festiwalu Kultury Żydowskiej.

16 września 1992 Artur Brauner otrzymał od Rady Miejskiej Honorowe Obywatelstwo Miasta Łodzi. Obok wyróżnionych równolegle Karla Dedeciusa, ojca Stefana Miecznikowskiego oraz arcybiskupa Władysława Ziółka. Brauner jest też posiadaczem „Artura" – nagrody specjalnej przyznawanej przez Muzeum Kinematografii w Łodzi, za twórczy wkład w rozwój sztuki filmowej.

„Atze" (tak Braunera nazywają przyjaciele) mieszka z żoną w miejscowości Grünewald pod Berlinem. W Berlinie – jak twierdzi – zawsze uważają go za Polaka, co podobno bardzo sobie ceni, mimo iż stereotyp typowego przedstawiciela naszej narodowości w oczach Niemców wciąż nie jest dla nas korzystny.

Artur Brauner jest w pełni uprawnionym kandydatem do posiadania swojej gwiazdy na łódzkim bulwarze filmowych sław. Spełnia wszystkie merytoryczne kryteria. A poza tym jest z Łodzi.

Jacek Witkowski
– anglista, miłośnik filmu,
badacz historii Łodzi,
nauczyciel w jednej z łódzkich szkół średnich.

Michał Niewiadomski

Badacz kultury kaszubskiej.

Jadwiga Kucharska

14 sierpnia 2003 roku minęła ósma rocznica śmierci prof. dr hab. Jadwigi Kucharskiej – wybitnego etnologa, uczennicy prof. dr Kazimiery Zawistowicz-Adamskiej, cenionego dydaktyka i wychowawcy wielu pokoleń etnografów Uniwersytetu Łódzkiego. Tym bardziej zdumiewa fakt, że tak niewiele napisano na jej temat.

Jadwiga Kucharska urodziła się 31 marca 1922 roku. w Łodzi, jako córka Józefy z Kubiszewskich i Lucjana Teodora Kucharskiego. Ojciec był farmaceutą. Wiele lat pracował w Aptece Kasy Chorych, a po wojnie w aptece nr 22 w Łodzi. Matka zajmowała się domem i dziećmi, gdyż wkrótce rodzina powiększyła się o syna Jana.

W 1935 roku, po ukończeniu 6 oddziałów Publicznej Szkoły Powszechnej nr 30 w Łodzi, Jadwiga rozpoczęła naukę w cieszącym się znakomitą opinią Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Emilii Szczanieckiej. Wybuch wojny przerwał edukację Kucharskiej. Jesienią 1944 r. wysłano ją do Sieradza, gdzie pracowała przy budowie okopów.

O dalszej nauce przyszła profesor mogła myśleć dopiero po zakończeniu wojny. W 1945 r. zdecydowała się kontynuować naukę w Spółdzielczym Liceum Handlowym, gdzie uczyła się księgowości, stenografii i podstaw prawa. W tej bardzo praktycznej szkole zdała maturę w 1946 r. i zgodnie z marzeniami ojca o medycznej karierze córki, zapisała się na studium przygotowujące na Akademię Medyczną. Szybko

jednak przekonała się, że medycyna ją nie interesuje. Zaczęła więc studiować geografię na Uniwersytecie Łódzkim.

Studia stały się dla Jadwigi Kucharskiej ogromną pasją. Jak gdyby chciała nadgonić zabrane przez wojnę lata. I dodatkowo uczęszczała na wykłady z etnografii prof. Kazimiery Zawistowicz- Adamskiej, znanej już z przedwojennych, pionierskich badań w Zaborowie. Zafascynowana tą dziedziną zdecydowała się studiować równolegle etnografię. W trakcie studiów, aby podreperować budżet przyjmowała prace zlecone z Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie. W 1950 r. otrzymała stypendium naukowe.

Obydwa kierunki Kucharska ukończyła z wyróżnieniem. 21 sierpnia 1951 r. uzyskała stopień magistra filozofii w zakresie geografii, a 6 maja 1952 r. – w dziedzinie etnografii. Już praca magisterska Jadwigi Kucharskiej „ Gospodarcze i społeczne podstawy maszoperii kaszubskich „ tak dalece wyróżniała się poziomem od innych opracowań dyplomantów, że promotorka K. Zawistowicz – Adamska przedstawiła ją na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, gdzie przyjęto ją bardzo przychylnie. Jeszcze przed ukończeniem studiów Jadwiga Kucharska podjęła pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym, a następnie w Przedsiębiorstwie Geologiczno- Inżynieryjnym, gdzie szybko doceniono predyspozycje i zdolności pani magister. Wkrótce awansowała na stanowisko kierownicze w Pracowni Hydro-Geologicznej, szefowała zespołami, prowadziła prace i pomiary w terenie. W perspektywie miała możliwości dalszych awansów, a względnie wysokie zarobki – 2800 zł. miesięcznie gwarantowały dostatnie życie.

Kucharska nie zaniechała jednak zainteresowań etnograficznych i wszystkie urlopy poświęcała na badania na Helu.

W 1956 r. wznowiono studia na kierunku etnograficznym w Uniwersytecie Łódzkim i prof. Zawistowicz-Adamska zaproponowała Kucharskiej stanowisko starszej asystentki w Zakładzie Etnografii. Ku zdumieniu wszystkich Kucharska zrezygnowała z dalszej pracy w przedsiębiorstwie, wybierając asystenturę na Uniwersytecie, aby mozolne wspinać się po stopniach naukowej kariery ze skromną pensję asystentki. Zapytana w 1994 r. przed jubileuszem 45-lecia pracy naukowej, co wpłynęło na taki wybór, odpowiedziała, że przede wszystkim chęć zajmowania się w życiu tym, co ją naprawdę ciekawiło.

A zainteresowała ją szczególnie tradycyjna kultura rybacka na Kaszubach, oraz przemiany zachodzące w społeczności wiejskiej i maszoperie, czyli krewniacze spółki rybackie. Kaszubskie maszoperie działały sprawniej, niż współczesne związki zawodowe, otaczały opieką wdowy i sieroty, pełniły rolę samorządu dla całej wsi. Do jednej maszoperii należało zwykle od czterech do sześciu łódek. O podziale zysków decydował wkład sprzętu i pracy. Zasada sprawiedliwości obowiązywała również przy podziale wybrzeża. Rezultatem tego etapu pracy młodej uczonej była napisana

wspólnie ze Zdzisławem Batorowiczem monografia „Rybołówstwo przybrzeżne w Kuźnicy". W 1961 r. Jadwiga Kucharska obroniła pracę doktorską pt.: „Podstawy organizacyjne tradycyjnego rybołówstwa zespołowego na Wybrzeżu Kaszubskim". Pracę uznano za wyjątkowo cenną.

Po uzyskaniu stopnia doktora, zgodnie z potrzebami Katedry Etnografii, Kucharska poświęcała wiele czasu na zajęcia dydaktyczne ze studentami. Prowadziła wykłady i ćwiczenia z etnografii społeczeństw pierwotnych, etnografii Polski i historii etnografii. Kierowała pracami terenowymi studentów i prowadziła prace magisterskie. Pobyty i stypendia zagraniczne w Niemczech i Finlandii pozwoliły jej pogłębić znajomość etnografii Europy i dały szersze spojrzenie na etnografie pozaeuropejską.

4 maja 1971 r. rada Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika nadała dr Jadwidze Kucharskiej stopień doktora habilitowanego na podstawie rozprawy habilitacyjnej p t: „ Przemiany struktury społeczno- zawodowej wsi kaszubskiej w XX w. „ Rozprawa stanowiła dorobek długoletnich badań autorki na Kaszubach i stawiała ją w rzędzie ekspertów o międzynarodowym autorytecie.

Doświadczenie i kontakty z nauką światową przyniosły ewolucję zainteresowań badawczych Kucharskiej.

W latach 70-ych coraz bardziej pochłaniały ją problemy przemian w procesie kształtowania się świadomości narodowej Kaszubów. W tym czasie był to problem wyjątkowo aktualny. Wiele rodzin kaszubskich wyjeżdżało na stałe do Niemiec w ramach tzw. akcji łączenia rodzin", głównie z chęci poprawy bytu. Za miejsce badań Kucharska wybrała typowy teren pogranicza, czyli Ziemię Bytowską zamieszkałą przez Polaków, Kaszubów i Niemców. Na tle przemian historycznych, jakie zachodziły na tym terytorium (w latach 1919-1945 Ziemia Bytowska leżała w granicach państwa niemieckiego) badaczka analizowała mechanizm przemian zachodzący w samookreśleniu się bytowian w ciągu minionych 80 lat, czyli w okresie życia trzech pokoleń. Wyniki badań wykazały zmagania ludności kaszubskiej o zachowanie swojej tożsamości kulturowej i etnicznej.

Badania w Ziemi Bytowskiej zaprowadziły docent Kucharską do... Kanady. Początek kanadyjskich kontaktów wyglądał bardziej na fascynującą reporterską przygodę, niż na badania naukowe. W 1976 r. do Jadwigi Kucharskiej zgłosiła się Izabella Jost- Polka z Kanady, która na Uniwersytecie w Lublinie przygotowywała pracę doktorską na temat polskiego osadnictwa w stanie Ontario w Kanadzie. Wymiana doświadczeń i dokumentów potwierdziła przypuszczenia Kucharskiej, iż część osadników w Ontario pochodziła właśnie z Ziemi Bytowskiej. W tej sytuacji stało się jasne, że należy kontynuować badania w Kanadzie i tam prześledzić zmiany zachodzące w trakcie „ zderzenia się kultur „.

Dzięki długiemu łańcuchowi ludzi dobrej woli Kucharska mogła zrealizować swoje plany i dwukrotnie wyjechać do Kanady w 1977 i 1978 r.

Tam w parafii Wilno w stanie Ontario na Wyżynie Madawaskiej przeprowadzała badania wśród kaszubskich emigrantów.

Kaszubi pojawili się w Kanadzie od I poł. XIX w. W spartańskich warunkach uprawiali farmy i pracowali przy wyrębie lasów, w tartakach i w kopalniach. Przeżyli dzięki wzajemnej pomocy sąsiedzkiej i głębokiej solidarności. Kucharska przeprowadzała badania wśród rodzin, które co najmniej od trzech pokoleń identyfikowały się z kaszubską grupą etnograficzną, podtrzymywały rodzime tradycje kulturowe i językowe. Emigranci posługiwali się językiem kaszubskim, który odcięty od korzeni, zachował się w formie archaicznej: zawierał germanizmy przywiezione ze Starego Kraju i nowe wyrażenia angielskie. Jednocześnie od emigrantów z Galicji, Kaszubi uczyli się języka polskiego i zdali sobie sprawę z bogactwa polskiej kultury i tradycji. „Kaszubi nie poddali się bezkrytycznie asymilacji kulturowej, potrafili się przystosować, nie tracąc poczucia swej odrębności." – napisała autorka po powrocie w książce „Poszukiwanie tożsamości kulturowej ludności kaszubskiej w Polsce i w Kanadzie". Wykształciło się wśród nich pojęcie ojczyzny ideologicznej, czyli „wspólnoty ideologicznej Polaków, a więc ludzi mogących się ze sobą komunikować, uznających te same wartości kulturowe bez względu na teren zamieszkania, ukształtowane w toku wspólnie przeżywanych losów historycznych". Kaszubi przyjmowali anglosaskie (kanadyjskie) wory kulturowe bardzo powoli, zwykle za sprawą działaczy społecznych, organizacji lub poprzez małżeństwa mieszane.

Najmłodsze pokolenie emigracji z zapałem poszukiwało swoich korzeni. Jadwiga Kucharska podała przykład mieszkańca z parafii Barrys's Bay, który pojechał na kilka tygodni do Gdańska. Po raz pierwszy w życiu zwiedzał muzea, zabytki sakralne, był w teatrze. Przekonał się, że ta daleka Polska, znana ze wspomnień pradziadków, posiada cenione w świecie bogactwa kultury. Po powrocie do Kanady powiedział sąsiadom: „trzeba chronić tradycję i przekazywać ją innym, niech nie myślą, że nasi przodkowie byli prymitywnymi biedakami". Wyniki swoich badań J. Kucharska wielokrotnie prezentowała na międzynarodowych konferencjach naukowych. Spotykały się one z ogromnym zainteresowaniem i uznaniem dla autorki.

W 1990 r. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nadał jej tytuł profesora zwyczajnego nauk humanistycznych.

Wszystkie znaczące prace prof. Kucharskiej były oparte o wyniki badań uzyskanych podczas prac terenowych. „Teren był dla niej – jak często podkreś ała – swoistym laboratorium badawczym. „ Wyniki uzyskane w tym laboratorium Kucharska, podobnie jak przedstawiciele nauk ścisłych, porównywała pod względem ilości i jakości, konfrontowała z bogatą wiedzą teoretyczną. W terenie najbardziej interesował badaczkę człowiek – żyjący w określonych warunkach ekonomicznych, oraz tradycji historycznej i kulturalnej.

Profesor Kucharska przeszła na emeryturę w 1992 r. jednak nadal prowadziła wykłady i ćwiczenia dla studentów etnologii.

Bibliografia prac naukowo–badawczych obejmuje 90 pozycji, w tym 4 książki, 75 rozpraw i artykułów, oraz recenzje i prace redakcyjne.
Jadwiga Kucharska była niezwykle skromna, czasami nawet umniejszała swoje zasługi. Autorytet i szacunek zdobywała dojrzałością intelektualną,
pracowitością i wytrwałością w pracy. Serca studentów i współpracowników podbijała życzliwością, dobrocią, wyrozumiałością dla popełnianych przez nich błędów i słabostek, oraz poczuciem humoru. Absolwenci tłumnie stawili się w 1994 r. na jubileuszu 45-lecia pracy naukowej „Wisi „ (jak nazywali między sobą swoją profesor).

Nikt wówczas nie przypuszczał, że rok później zabierze ją śmiertelna choroba. Zmarła 14 sierpnia 1995 r. i została pochowana w Łodzi na cmentarzu pod wezwaniem św. Rocha na Radogoszczu.

Przyniosła chlubę rodzinnej Łodzi i pozostawiła po sobie trwałe miejsce w historii polskiej i europejskiej etnografii.

Michał Niewiadomski
– absolwent Etnologii Uniwersytetu Łódzkiego,
autor pracy magisterskiej:
„Etnografia w ujęciu Jadwigi Kucharskiej"

Przewodnik

Stanisław Łukawski

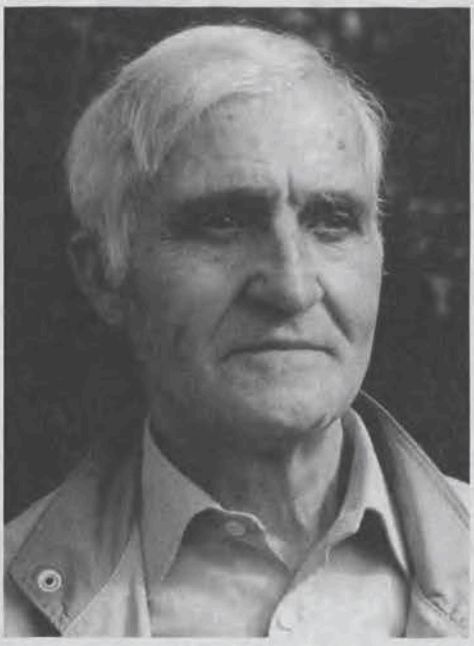

Prowadził tysiące łodzian znanymi wszystkim z widzenia ulicami, ukazywał piękno zabytkowych cmentarzy, odkrywał bogactwo i urok parków, a wszystko po to, aby zaszczepić nam miłość do miasta, które sam ukochał całym sercem.

Urodził się 27 lipca 1912 r. w Gorzyczanach w powiecie sandomierskim, w zaborze austriackim. Wykształcił się na nauczyciela. Pracował w Szkole Powszechnej w Radoszycach, powiat Końskie. Tam zastała go wojna. Wstąpił do Narodowych Sił Zbrojnych. Po wojnie nie mógł ukończyć studiów na Katolickim Uniwersytecie Katolickim w Lublinie, ani powrócić do szkolnictwa. W 1952 r. osiadł w Łodzi. Zatrudnił się w spółdzielni „Elektrometal", później pracował w „Uniprocie" na skromnych, urzędniczych posadach. Pole do realizacji życiowej pasji otworzyło mu Polskie Towarzystwo Turystyczno – Krajoznawcze. W 1965r. zdał egzamin na przewodnika PTTK. Stale poszerzał swoją wiedzę, proponował nowe trasy wycieczek po mieście, konsekwentnie realizował każdy ze zgłoszonych pomysłów. Został wybrany do Zarządu Łódzkiego Oddziału PTTK i na prezesa Łódzkiego Koła Przewodników.

Powszechną sympatię zaskarbił sobie prowadząc niezmordowanie przez niemal 30 lat, od 1970 r., wspólnie z podobnym zapaleńcem – Henrykiem Szubertem, niedzielne „Spacery po Łodzi". Uczestniczyły w nich całe rodziny, traktując wycieczki jako swego rodzaju żywą encyklopedię wiedzy o rodzinnym mieście. Do każdego spaceru Stanisław Łukawski starannie się przygotowywał, studiował przedwojenne i powojenne przewodniki, bywało że wcześniej przemierzał całą trasę, odwiedzał placówki, znajdujące się na szlaku, uzgadniał z nimi godziny odwiedzin.

foto: archiwum

Każda z wędrówek ściągała kilkadziesiąt osób. Mikrofonu nie używał, ale kiedy zaczynał swoją opowieść rozgadana grupa cichła i chłonęła każde jego słowo. Miał dar trafiania do słuchaczy – mówił prosto, bardzo poprawną polszczyzną i zawsze z wielkim wewnętrznym żarem. Łódź była dla niego wspaniałym gmachem, który przed dziesięcioleciami wznieśli budowniczowie różnych narodowości – Polacy, Niemcy, Żydzi, ludzie pracowici i zaradni, dlatego godni szacunku i podziwu.

Redaktor Jadwiga Wileńska namówiła go do prezentowania zabytków miasta w łódzkiej telewizji. W tej roli również się sprawdził, jednak brakowało mu bezpośredniego kontaktu ze słuchaczami i po pewnym czasie znowu do nich powrócił, prowadząc wycieczki po mieście. W 1997 r. wydał książkę zatytułowaną „Łódzka secesja". Aktywnie uczestniczył, jako członek zarządu, w pracach Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Coraz więcej uwagi poświęcał Cmentarzowi Staremu przy ulicy Ogrodowej. Oprowadzał po nim wycieczki, organizował specjalne wędrówki w okresie zaduszek, ale ciągle uważał, że to wszystko za mało. Porównywał to, co robiono w Łodzi, z działaniami Jerzego Waldorffa na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie i zazdrościł stolicy.

Na zazdrości nie poprzestał. Porwał się na rzecz wydawałoby się przerastającą jego siły. Mając 85 lat postanowił powołać Towarzystwo Opieki nad Starym Cmentarzem przy ulicy Ogrodowej w Łodzi. Kiedy idea stowarzyszenia kiełkowała a wszystko wydawało się łatwe do załatwienia na zebraniach zbierało się ponad dwadzieścia osób, później przychodziło ich coraz mniej. Przy kłopotach z rejestracją stowarzyszenia groziło, że na pomyśle wszystko się zakończy. Stanisław Łukawski nie odstąpił jednak od realizacji najważniejszej życiowej pasji, postanowił postawić na swoim. Sam upór by nie wystarczył – szukał wsparcia u sojuszników. Umiał prosić ich o pomoc. Mówił: „Nie możesz zostawić mnie samego, nie dam rady, wierzę że mi pomożesz, zawsze w ciebie wierzyłem". Prośby takiej, która była jednocześnie zobowiązaniem, nie można było odmówić.

Kiedy na początku 1999 r. Towarzystwo Opieki nad Starym Cmentarzem przy ulicy Ogrodowej zostało wreszcie zarejestrowane dbał o to, aby energicznie zabrało się do pracy. Znalazł godnego realizatora swoich zamierzeń w osobie historyka sztuki Jana Dominikowskiego. Wspierał także redaktora Wojciecha Słodkowskiego z łódzkiej telewizji przy organizacji kwest przeprowadzanych corocznie w dniu 1 listopada na Starym Cmentarzu. Sam też kwestował, a łodzianie nie żałowali pieniędzy. Dzięki zebranym funduszom Stowarzyszenie odnowiło już blisko 30 najcenniejszych pomników Starego Cmentarza, i będzie odnawiało następne.

Łukawski nie lubił eksponować swojej osoby i wysuwać się na plan pierwszy, wiele jego pomysłów pozostało anonimowych. Godzi się wymienić jeden z nich – wprowadzenie do kalendarza Święta Łodzi, obchodzonego w połowie maja. Wcześniej uroczystości z okazji rocznicy nadania Łodzi praw miejskich przez króla Władysława Jagiełłę w 1423 r. organizowano, zgodnie z kalendarzem historycznym, 29 lipca. Nie

budziły one jednak większego zainteresowania łodzian, przypadały bowiem na okres wakacji i urlopów.

Stanisław Łukawski corocznie 29 lipca składał wiązankę kwiatów przy tablicy umieszczonej na ścianie dawnego ratusza a później, z grupą członków Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, jechał do Przedborza na dalszy ciąg uroczystości. Uczestniczyło w nich kilkanaście ciągle tych samych osób. Uważał to za nieporozumienie i postanowił zmienić. Odszukał w dokumentach wsi biskupiej, jaką była Łódź, że przed królem prawa miejskie nadał jej biskup włocławski w dniu 14 maja 1414 r. Opracował memoriał o ustanowieniu drugiego Święta Łodzi w połowie maja. Zgłosił swoją propozycję na spotkaniu zorganizowanym w Archiwum Miejskim, po uroczystościach w dniu 29 lipca 1993 r. Wysłuchał go uważnie ówczesny przewodniczący Rady Miejskiej – Andrzej Ostoja Owsiany. Wkrótce projekt rozpatrzyła Rada Miejska i od 1994 r. Łódź obchodzi swoje święto dwa razy w roku – 29 lipca i znacznie huczniejsze, z udziałem tysięcy mieszkańców miasta – 14 i 15 maja.

W pamięci rodziny i kolegów pozostał jako człowiek niezwykle delikatny, skromny, obdarzony dobrotliwym poczuciem humoru i głęboko religijny. Uczestniczył we wszystkich ogólnopolskich pielgrzymkach przewodników turystycznych na Jasną Górę, poza ostatnią – w 2003 r. Zapowiedział jednak, że weźmie udział w jubileuszowej 20 – tej pielgrzymce w 2004 roku i jak dotąd zawsze bywało, stanie na czele łódzkiej grupy przewodników. Niestety, zdrowie się nie poprawiało, wiek robił swoje. Miał świadomość, że zbliża się kres życiowej wędrówki. Któregoś czerwcowego wieczoru powiedział ukochanemu wnukowi: „Jasiu, Pan Bóg daje mi znaki, mówi: *Stasiu, szykuj się...*". W Boże Ciało wyspowiadał się i przyjął komunię. Zmarł w sobotę nad ranem 28 czerwca 2003 r. w Grotnikach, wśród drzew i budzących się ptaków, w domu córki.

W słoneczny, upalny czwartek, 3 lipca 2003 r. pożegnał go tłum łodzian. Pochowany został na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej, którego był strażnikiem, opiekunem i miłośnikiem. Dołączył do tych, których podziwiał.

Mieczysław Gumola

religie, kościoły, wyznania

Wierni Biblijnej Tradycji
Kościół Adwentystów Dnia Siódmego
Marek Strąkowski
str. 147

Marek Strąkowski

Cykl „Kościoły, religie, wyznania" jest próbą obiektywnej prezentacji tych łódzkich wspólnot wyznaniowych, które są obecne w ekumenicznej zbiorowości miasta. Historia Łodzi nierozerwalnie związana jest z etniczną wielorodnością, a kultura miasta ukształtowała się w znacznym stopniu na tle wielości światopoglądów, religii rodzinnych tradycji mieszkańców, więc także ludzi należących do różnych religijnych społeczności, gdzie inne zasady etyczne określały ich odmienną tożsamość kulturową. Inaczej okazywali też swoją bogobojność, ale w tym samym mieście tworzyli własny charakter lokalnej przynależności.

„Kościół Adwentystów Dnia Siódmego" otwiera niniejszy wykaz zgodnie z chronologią alfabetyczną.

Wierni Biblijnej Tradycji

Kościół Adwentystów Dnia Siódmego

Łacińskie słowo *adventus* oznacza „przyjście", pochodzi od imiesłowu *advenire* – „przybywać". Oznacza kierunek konfesyjny religii chrześcijańskiej reprezentowany przez wspólnotę religijną, występującą pod nazwą Kościół Adwentystów Dnia Siódmego.

Wspólnota „Trzeciej Reformacji"

W użyciu potocznym funkcjonuje również skrót: „Kościół Adwentystyczny." Jest to związek wyznaniowy wywodzący się z kościoła chrześcijańskiego, pozostający z nim w ścisłych relacjach zasad wiary. W typologii następowalności, ten chrześcijański ruch religijno-konfesyjny proweniencji protestanckiej, reprezentuje „trzecią reformację", biorąc swój początek z baptyzmu i metodyzmu. (Przede wszystkim zaś od biblijnej idei „Kościoła Ostatków", który miał wyłonić się w zinstytucjonalizowanej formie w pierwszej połowie XIX wieku, zgodnie z proroctwem zawartym w Księdze Daniela.) Społeczność adwentystyczna narodziła się wraz z dziewiętnastowiecznym „przebudzeniem adwentowym", występującym w krajach anglosaskich pod nazwą Adwent Awakening, zwanym również „ruchem drugiego adwentu". Był to prąd umysłowo-religijny o charakterze eschatologicznym, który powstał na przełomie XVIII i XIX wieku w Europie.

„Ruch drugiego adwentu" wykorzystał potrzebę odnowy wiary i ożywienia chrześcijańskiej pobożności. Powrót do ideałów apostolskiej prostoty był jednym z podstawowych elementów charakteryzujących adwentystyczną doktrynę wyznaniową. Jednym z jej przejawów jest póź-niejszy powrót wspólnoty Adwentystów do święcenia siódmego dnia tygodnia – soboty, zgodnie z dekalogiem zawartym w Księdze Wyjścia (Exodus 20) i zwyczajem pierwszych chrześcijan.

W Europie ruch „przebudzenia adwentowego" nie przybrał formy instytucjonalnie zorganizowanej. Zabrakło w nim charyzmatycznego przywódcy. Formę bardziej jednolitą, scentralizowaną i dynamiczną, a zarazem radykalną, ruch przybrał w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jego intensywny rozwój wystąpił tam pod postacią tzw. milleryzmu, tj. międzywyznaniowego prądu, kierowanego przez baptystycznego pastora, Williama Millera (1782-1849).

Wystąpienie pastora Millera w roku 1831 zapoczątkowało proces integracji prozeitów, którzy trzynaście lat później stanowili na kontynencie amerykańskim blisko stutysięczną rzeszę wyznawców.

Na dzień 22 października 1844 roku milleryści wyznaczyli datę wtórnej paruzji (przyjścia) Jezusa Chrystusa. Zawód jakiego doświadczyli stał się główną przyczyną rozpadu organizacji pastora Millera.

Po roku 1844 powstały nowe ośrodki wspólnoty adwentystycznej i adwentyzmu współczesnego. Społeczności wyznaniowej przewodzili pastorzy Jacob White, Joseph Bates, Hiram Edson, oraz wybitna kobieta Ellen White, z domu Harmon.

W historii Kościoła Adwentystów pierwsze 20 lat działalności, to okres tworzenia się struktury organizacyjnej i gruntownej organizacji życia religijnego współwyznawców. Podstawową jednostką organizacyjno-kanoniczną Adwentystów jest zbór (parafia). Stanowi on lokalną wspólnotę wiernych. Zbór realizuje program eklezjalny za pośrednictwem swoich organów. Organy zboru są zarówno jednoosobowe jak i kolegialne. Starszy zboru pełni funkcję organu nadrzędnego, natomiast funkcję kolegialną

foto: Siedziba Zboru Łódź-Widzew Kościoła Adwentystów, ul Kopcińskiego 67

reprezentują: zarząd, rada i zebranie zboru. Formuła organizacji tej eklezji, w skali światowej, obejmuje ponadto: diecezje (kościół partykularny), kościół krajowy, kościół uniwersalny (podzielony na wydziały – Polska należy do wydziału Transeuropejskiego), oraz organ nadrzędny – Generalną Konferencję.

Kształtując swoje cele religijnego posłannictwa Kościół Adwentystyczny szczególny nacisk położył na: nauczanie etyki opartej na dekalogu i ewangelii, rozwijanie i upowszechnianie teologii biblijnej, prowadzenie działalności kultowej, katechetyczno-duszpasterskiej, ewangelizacyjnej, oświatowo-wychowawczej i charytatywno-opiekuńczej. Ważnym działaniem Adwentystów jest także propagowanie zdrowego trybu życia i ochrona naturalnego środowiska człowieka, jak również kształtowanie wysokiej postawy obywatelskiej.

W roku 1864 zapoczątkowany został nowy etap rozwoju wspólnot adwentystycznych. Wiązało się to z przekroczeniem granic Ameryki Północnej w celu zwiększenia przestrzeni misyjnej i ewangelizacyjnej działalności.

Znaczącą rolę w organizowaniu struktur Kościoła w Europie odegrał Polak, pastor Michał Belina-Czechowski. Ten franciszkanin (r. w 1818 roku) po przybyciu do Ameryki przyjął adwentyzm, pracował jako duchowny przez kilkanaście lat w Kościele Adwentystycznym, by w 1864 roku powrócić na Stary Kontynent, stając się prekursorem adwentyzmu europejskiego. Swoją działalność misyjną rozpoczął od Włoch. W Szwajcarii założył pierwszy zbór adwentystyczny i utworzył pierwszy w Europie ośrodek religijny. Przez Niemcy udał się do Rumunii zakładając tam podwaliny pod przyszły Kościół Adwentystów Dnia Siódmego. Swoje posłannictwo wypełniał także na Węgrzech i w Austrii. Zmarł w Wiedniu w 1876 roku.

Drugi ośrodek misji adwentystycznej powstał w Danii w roku 1877. Założył go pastor J. G. Matteson. Trzeci ośrodek był dziełem pastora Williama Ingsa. Zainaugurował swoją działalność w Anglii w 1878 roku. Prace misyjne były sprawnie zorganizowane i przeprowadzane z ogromną żarliwością. W roku 1875 rozpoczęto działalność w Niemczech, w 1876 – we Francji, w 1877 – w Danii, w 1878 – w Norwegii, w 1880 – w Szwecji, w 1882 – w Rosji, w 1886 – na Ukrainie i w Mołdawii, w 1888 – w Polsce, w 1891 – w Macedonii, w 1892 – w Finlandii, Czechach i na Słowacji, w 1895 – w Belgii, w 1896 – na Łotwie, w 1897 – na Islandii, w 1898 – w Irlandii, Holandii i Bułgarii. Ostatnim krajem do którego została zaniesiona nauka adwentystyczna, jeszcze w XIX wieku, była Turcja. Nastąpiło to w 1899 roku.

Wiek XX zastał Kościół Adwentystyczny w stadium dalszego rozwoju terytorialnego, utrwalaniu swojej pozycji i wzmożonej działalności religijnej. Kościół prowadzi także szeroko zakrojoną działalność zdrowotną i medyczną (ok. 400 ośrodków zdrowia na świecie). Najbardziej znanym szpitalem Adwentystycznym jest Loma Linda w USA, gdzie leczono m. in. prezydenta Ronalda Regana, po zamachu na jego życie. W dniu dzisiejszym Kościół Adwentystów Dnia Siódmego liczy ponad 15mln. członków ochrzczonych oraz ponad 5 mln. dzieci, młodzieży i sympatyków.

I choć Adwentyści nie stali się w żadnym kraju europejskim dominującą wspólnotą wyznaniową, to pozostali świadomi swojej funkcji społecznej, koherencji wiary i roli w kształtowaniu „duchowej przestrzeni" Europy.

ADWENTYZM W POLSCE

W roku 1888, na Wołyniu, powstał pierwszy ośrodek polskiego adwentyzmu. Stało się tak za sprawą Hermana Szkubowca, który idee ruchu przywiózł z Krymu do swojej rodzinnej wsi Żarnówka. Trzy lata później odbył się chrzest neofitów, którego dokonał zaproszony z Krymu duchowny adwentystyczny, pastor Jakub Laubhan.

Z Wołynia „nowa religia" dotarła wprost do Łodzi. Jej misjonarzami byli dwaj Polacy: Karol Fendel i Józef Szlodziński. Tutaj też zorganizowany został pierwszy w Królestwie Polskim zbór adwentystyczny – w domu Adama Lacha. Miało to miejsce w 1895 roku. Pierwszych chrztów dokonał pastor Johan H. Lebsack z Hamburga. Kolejnym duszpasterzem zboru był, przybyły z Odessy, pastor Dawid P. Gede (1871-1961).

Kościół Adwentystów w Łodzi

Pierwsi adwentyści przybyli do Łodzi z Wołynia w roku 1895. Dwaj stolarze – Karol Fendel i Józef Szlodziński sprowadzili ze sobą rodziny, co w sposób naturalny wpłynęło na ogólną liczbę wyznawców w mieście. Zamieszkali w domu baptysty – pastora Lacha. Tutaj też odbywały się pierwsze adwentystyczne nabożeństwa.

W roku 1905 zbór liczył 24 osoby ochrzczone. Grupa wyznaniowa składała się głównie z Niemców, oraz Polaków niemieckiego pochodzenia. Większość z nich – idąc za przykładem Adama Lacha – porzuciła baptyzm, stając się orędownikami nowej religii. Od roku 1906 sala do nabożeństw mieściła się w prywatnym mieszkaniu na ulicy Milscha (obecnie Kopernika).

Kolejna zmiana miejsca kultu nastąpiła w roku 1914. Zbór przeniósł się do lewej oficyny, kamienicy przy Andrzeja Struga 17. Wspólnota powiększyła się do sześćdziesięciu członków. W jej skład wchodzili przede wszystkim neofici ze środowisk protestanckich.

W czasie Pierwszej Wojny Światowej adwentyści – Niemcy zostali internowani. Wielu z nich po zakończeniu działań wojennych opuściło Łódź, przenosząc się głównie do Niemiec. W tym czasie kościołowi przewodniczył pastor Teodor Will. Był autorem, opracowanych w dwóch językach – polskim i niemieckim – lekcji biblijnych dla dzieci i dorosłych. Funkcję po nim przejął jego syn – Waldemar, który zmarł na tyfus w roku 1920.

Niesprzyjające historyczne okoliczności i uwarunkowania polityczne nie wpłynęły destabilizująco na trwanie Kościoła Adwentystycznego. W roku 1926 liczba wiernych powiększyła się do siedemdziesięciu osób. W tym okresie duchowe przywództwo nad wspólnotą sprawował pastor Ferdynand Dzik.

Jego zasługą było silne zaangażowanie się zboru w sprawy społeczne miasta. Wpłynęło to na decyzję wojewody łódzkiego, który zaliczył Kościół Adwentystów Dnia Siódmego do tzw. „kościołów tolerowanych." Takie oficjalne uznanie i zezwolenie na działalność religijną w nowych warunkach wzajemnej akceptacji i poszanowania prawa do odmienności, było ewenementem w skali kraju.

Z ulicy Jaracza zbór przeniósł się na ulicę Wólczańską. Pozostawał tam do 1941 roku. W okresie międzywojennym adwentyści prowadzili sprawnie zorganizowaną działalność społeczną i oświatową. Wydawali liczne podręczniki do nauki religii i czasopisma, prowadząc akcję misyjną - indywidualną i grupową. Kobiety, wypełniając zadanie pielęgniarek społecznych, pomagały ludziom starym i chorym. Ta działalność misyjna i samarytańska, będąc wartością inherentną w życiu adwentystów, znalazła spore miejsce do realizacji w warunkach przedwojennej Łodzi.

W 1941 roku, decyzją niemieckich władz, w kamienicy mieszczącej lokal adwentystów powstała kwatera SS. Wyrugowani zatrzymali się na krótko na ulicy Piotrkowskiej, najpierw pod numerem 73, później 101.

Zbór nie uniknął jednak restrykcji innego rodzaju. W 1942 roku Niemcy dokonali podziału Kościoła Adwentystów na dwie grupy. Zastosowano, charakterystyczne dla hitlerowców, kryterium narodowościowe. Powstały dwie odrębne wspólnoty wiernych, w ramach tej samej organizacji wyznaniowej. Grupa niemiecka nie została obciążona żadnymi dodatkowymi obostrzeniami praktyk religijnych, natomiast zbór polski zdelegalizowano.

Do rozdzielenia zboru, kościół gromadził 80 ochrzczonych członków.

Zlikwidowany formalnie zbór polski nie zaprzestał praktyk religijnych. Przewodniczący eklezji, pastor Nowicki przygotował w roku 1944 do chrztu osiem osób. Prawdopodobnie je ochrzcił.

W latach 1947 – 49, predykant Gustaw Baron prowadził wspólnotę liczącą 77 osób, złożoną z samych Polaków. Do roku 1951 kaplica znajdowała się na ulicy Struga 17 – tym razem w prawej oficynie. Potem dom modlitwy mieścił się na ulicy Nowotki 79. Od 1962 roku stała siedziba Kościoła Adwentystycznego znajduje się przy Kopcińskiego 67. Powiększająca się liczba wiernych spowodowała powołanie drugiego zboru wyznaniowego. Powstał w roku 1982 ulicy Płockiej 28. Trzeci, najmłodszy, zbór – Łódź Bałuty do niedawna znajdował się na ulicy Ciesielskiej 6a. Obecnie jest w trakcie reorganizacji.

Pierwszemu zborowi przewodzi od 1998 roku pastor Remigiusz Krok. Zgromadzeniem na Górnej kieruje pastor Mirosław Karauda.

Liczba adwentystów w Łodzi to aktualnie ponad 200 osób.

Adwentyści wykazują znaczącą aktywność w dziedzinie zaangażowania w życie społeczne i kulturalne miasta. Programowo krzewiąc zdrowy tryb życia i kulturę fizyczną, kościół był współorganizatorem „biegu po zdrowie." Członkowie wspólnoty byli autorami programów radiowych dotyczących porad w zakresie psychoterapii. Prowadzili również kursy zdrowego gotowania. Ich programy były nadawane w latach 1997 – 99 na antenie radia „Classic" i radia „Parada". W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych kościół współpracował z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy. Jest też organizatorem cyklicznych kursów zdrowego gotowania i pięciodniowych kursów „rzucam palenie" – obie akcje charytatywne.

Ponadto wszystkie zbory w Łodzi prowadzą wielorakie prace misyjne. Zorganizowane zostały bezpłatne punkty wydawania odzieży, adwentyści współpracują z hostelami dla ludzi bezdomnych, organizują pomoc dla biednych; pomagali powodzianom w Polsce i na Ukrainie poprzez zbiórkę produktów żywnościowych i wsparcie finansowe.

W środowisku wspólnoty działają profesjonalni muzycy i wokaliści. Utworzyli zespół muzyczny i duet wokalny, zapewniając w ten sposób możliwość kontaktu z muzyką klasyczną nie tylko swoim współwyznawcom.

Większość członków kościoła to ludzie młodzi i w tzw. „wieku średnim". Są wśród nich dziennikarze, śpiewacy operowi, archeolodzy, lingwiści, nauczyciele, aktorzy, handlowcy, menagerowie.

Kościół Adwentystów Dnia Siódmego realizuje swoje zadania religijne, społeczne i kulturalne w sposób określony przez formułę misyjną. Łódź ze swoją rozerwaną strukturą tożsamości miejskiej stanowi mocny punkt oparcia dla takiego działania. Taka współzależność generuje jednocześnie sprzężenie zwrotne, które pozwala nadać miastu charakter przypisany powstawaniem i potwierdzony historią.

DOKTRYNA

Doktryna religijna Kościoła Adwentystycznego - pod względem treści - posiada charakter chrześcijański o proweniencji protestanckiej. Ze względu na wierność zapisom Pisma Świętego jest orientacji skrypturystycznej, czyli biblijnej. (Biblia jest dla adwentystów jedynym źródłem wiary). Nauki Chrystusa i apostołów stanowią podstawowe założenia doktrynalne adwentyzmu. Dziedzictwo myśli chrześcijańskiej, odwołujące się do teorii poapostolskich, pozostaje poza zainteresowaniem adwentystów.

Teologia adwentystyczna ma charakter trynitarny w ujęciu monoteistycznym. Jest zbieżna z ogólnochrześcijańskim założeniem wiary w Boga występującego pod postacią Trójcy Świętej. W formie doktrynalnej ta zasada wiary brzmi: Bóg jest jeden: Ojciec, Syn i Duch Święty, jedność trzech wiecznie istniejących osób.

Kościół Adwentystyczny stosuje obrzędy (sakramenty) ustanowione przez samego Jezusa Chrystusa: chrzest święty przez zanurzenie, wieczerzę pańską pod dwoma postaciami, umywanie nóg jako symbolu pokory i służby. Ponadto nauka ta wyraża się w czterech dogmatach: sola scriptura (tylko biblia), solus Christus (tylko Chrystus), sola fide (tylko wiara), sola gratia (tylko łaska). Kościół uznaje też matkę Jezusa Chrystusa, Marię, jako wzór bogobojności, posłuszeństwa i cnót chrześcijańskich.

Jedną z ważniejszych zasad programowych doktryny religijno-etycznej wspólnoty jest nauka o powtórnym przyjściu (paruzji) Jezusa Chrystusa.

Ważnym elementem kultycznym jest modlitwa. Nie występuje ona w formie cyklicznego powtarzania sformalizowanych treści. Jest odmawiana w pozycji klęczącej, na stojąco, bądź siedząco; głośno, lub cicho, tak aby z potrzeby chwili stawała się prywatnym, osobistym wyznaniem wiary. Modlitwy skierowane są wyłącznie do Boga, Chrystusa i Ducha Świętego, nigdy do aniołów, świętych i zmarłych.

Świątecznym skupieniem adwentystów jest nabożeństwo sobotnie. Sobota - dzień odpoczynku bożego, po sześciu dniach kreacji - jest dniem „święconym" przez adwentystów. W liturgii nie występuje pojęcie ceremoniału mszalnego, ołtarza, ofiarowania, święconej wody. Duchowni sprawują posługę jako funkcję z urzędu. Pastorów nie obowiązuje celibat, zwykle nie posiadają szat liturgicznych (chociaż mogą stosować takie w przypadku pogrzebu i ślubu), nie przysługują im szczególne zaszczyty i honory.

Miejscem spełniania kultu religijnego jest dom modlitwy. Nie ma on charakteru świątyni, przejawiającej cechy i specyfikę „kościoła". Służy odprawianiu nabożeństw i urządzaniu zebrań religijnych.

Obrzęd kultyczny składa się z dwóch stałych elementów: część katechetyczno - ewangelizacyjna polega na systematycznym studiowaniu przez wiernych biblii, w części drugiej, kaznodziejsko - obrzędowej, zawiera się kazanie, śpiewanie pieśni i psalmów, modlitwa zbiorowa, oraz osobiste wyznanie wiary uczestników nabożeństwa.

Kazanie „słowa bożego" zajmuje centralne miejsce w ceremoniale mszalnym. Działalność kaznodziejska nie jest domeną samych pastorów, chociaż do nich głównie należy. Również ludzie świeccy, tzw. ewangeliści zborowi i starsi zborów, mogą przewodzić wykonywaniu obrzędów religijnych. Treść kazań stanowią wszystkie zasady i prawdy wiary ujęte w aspekcie religijnych obowiązków i powinności.

Uroczystość chrztu przeznaczona jest dla osób dorosłych, mogących świadomie decydować o własnej przynależności eklezjalnej.

Marek Strąkowski

osiedla, domy, ulice

Architektoniczny chaos przedmieść Łodzi
- rola urbanistyki, architektury i planowania w kształtowaniu wizerunku miasta
Dominika Krogulska
str. 157

Dominika Krogulska

Architektoniczny chaos przedmieść Łodzi

- rola urbanistyki, architektury i planowania w kształtowaniu wizerunku miasta

Łódź to nie tylko zabytkowe fabryki i sklepy na ulicy Piotrkowskiej. Owszem, gościom oprowadzanym po Łodzi możemy kazać zamknąć oczy i otworzyć tylko na przykład na Piotrkowskiej, Księżym Młynie, przy fabryce Poznańskiego i dla odmiany w Galerii Łódzkiej. Ale ci goście w jakiś sposób do centrum dojechali, przypuszczalnie widząc co się dzieje dookoła.

Miasto stanowi całość. Od konsekwencji tej całości zależy jego uroda i atmosfera. Dlatego trudno jest mówić o tym, co znajduje się na obrzeżach miasta a więc o przedmieściach. To temat wstydliwy i pomijany w rozmowach o architekturze. Wychodzi się z założenia, że po prostu nie ma tam nic ciekawego.
Duża część łodzian, którzy tam mieszkają często ogląda łódzkie przedmieścia. Dlatego o tej części miasta nie powinno się zapominać, choć jej wygląd pozostawia wiele do życzenia, a może właśnie dlatego.

Dużą część przedmieść Łodzi stanowi zabudowa jednorodzinna. Praktycznie przy każdej drodze wylotowej z miasta znajdują się tereny na których stoją domy indywidualne. Można wyodrębnić pewne specyficzne typy tej zabudowy różniące się przyczynami i sposobem powstania, kierunkiem rozwoju, a w konsekwencji wyglądem i atmosferą.

Wieś zaadaptowana

Największą a przez to najbardziej widoczną przestrzeń przedmieść stanowi zabudowa indywidualna tworzona spontanicznie przez właścicieli działek, na terenach, które przed włączeniem w granice miasta stanowiły wsie. W większości są to olbrzymie rozlane tereny bez wyraźnych granic, na których stoją domy przemieszane z nieużytkami oraz innymi przypadkowymi zabudowaniami – (warsztatami, hurtowniami itp.)

Obecny kształt zespołów jest wynikiem nałożenia się kilku czynników powodujących chaos przestrzenny:

Istniejąca wcześniej wiejska organizacja przestrzeni, układu zabudowy i pól, nie jest dostosowana do pełnienia funkcji osiedla mieszkaniowego. Była tworzona w zupełnie innych warunkach i dla innych celów. Ponieważ zespoły te próbując dostosować się do funkcji miejskiego osiedla znajdują się w dalszym ciągu na tyku wsi i miasta, tym trudniej nadać im jakiś określony charakter. Pomimo stopniowego zagęszczania zabudowy, w układzie działek nadal czytelne są układy pól uprawnych, w przypadkowy sposób poprzecinanych nowymi drogami dojazdowymi. Układ przestrzenny wsi został zmieniony ale ograniczenia są zbyt silne by stworzyć nowy klarowny układ urbanistyczny całości. Również architekturę tych terenów trudno jednoznacznie zaklasyfikować z uwagi na jej niejednorodność. Wśród istniejącej i wciąż funkcjonującej starej zabudowy siedliskowej powstały nowe domy świadczące o zupełnie innych potrzebach ich mieszkańców.

Bardzo silne piętno na terenach przedmiejskich odcisnął okres PRL. Doktryna komunistyczna nie uwzględniała indywidualnych form mieszkania. W tekstach o urbanistyce i architekturze z tamtych czasów nie pojawiał się więc temat domów jednorodzinnych, bo ta forma mieszkalnictwa stała w sprzeczności z ówczesną filozofią społeczną. Nie było więc określonych standardów takiej zabudowy. Takie domy jednak również powstawały, tyle że poza zorganizowanym nurtem rozwoju urbanistyki i architektury. Nie próbowano więc poprawiać istniejących układów urbanistycznych, co powodowało ich dalszy, niekontrolowany rozrost. Aby jednak nie pozostawiać procesu powstawania domów absolutnie bez kontroli narzucono formę projektów typowych, ze sztywnymi normami ograniczającymi inwencję, inwestorów i projektantów. Domy budowano z byle czego, często nawet z płyt prefabrykowanych, nieprzystosowanych zupełnie do budowy małych obiektów. Jak wiele tego typu domostw powstało dobrze widać oglądając przedmieścia. Przeważają domy przezwane przez architektów „klocami polskimi" o pudełkowatej bryle tak banalnej, że każdy pomysł na przebudowę uwidacznia jeszcze bardziej ich szpetotę.

Przełom jaki nastąpił po 1989 roku również nie był łaskawy dla terenów mieszkaniowych na granicy miasta. Dawne zasady przestały funkcjonować a nowe nie zdążyły się jeszcze wykształcić. Mamy już duże wymagania wobec swojego otoczenia i sposobu życia, ale brak nam środków i wiedzy do realizacji swoich marzeń. Skutkuje to brakiem właściwych procesów prawnych i administracyjnych regulujących kształtowanie zabudowy. Skutkuje też brakiem świadomości w jaki sposób te procesy powinny przebiegać. Obszary nieużytków rolnych nagle stały się atrakcyjnymi działkami budowlanymi. Budynki tłoczą się na niewielkich skrawkach ziemi sprzedawanych na ilość dla zwiększenia zysku. Marzenie o własnym domu jest po raz pierwszy łatwiej osiągalne. Powrócił szacunek dla własności prywatnej ale też urósł on do rangi „świę-

tej krowy". Bardzo trudno w takiej sytuacji zrozumieć, że proces powstawania osiedla powinien być przemyślany już od momentu podziału terenu, a sposób postępowania nawet ze swoją prywatną własnością musi podlegać pewnym ograniczeniom.

Urbanistyka - czyli królestwo przypadku

Brak porządku w zagospodarowaniu terenów bardzo dobrze widać analizując rysunki planów zagospodarowania poszczególnych osiedli. Przypadkowość widać w każdym elemencie urbanistyki.

Nowe drogi przelotowe (często drogi wylotowe z miasta) biegną przez istniejący układ zespołów mieszkalnych. Zdarzają się sytuacje, w których układ działek nie jest prostopadły do drogi, co powoduje konflikt z sytuowaniem zabudowy. Często można spotkać zabudowę stojącą skosem do drogi. To powoduje wrażenie, że droga jest elementem obcym a nawet wrogim w przestrzeni. Gdy nie ma wzajemnej prostopadłości, trudno jest stworzyć pierzeję uliczną. Zagospodarowanie działki dookoła domu jest wtedy często nielogiczne i niefunkcjonalne, a w przestrzeni widać ogrodzenia poszczególnych działek, które nie pasują ani do drogi ani do zabudowy.

Układ komunikacyjny wewnątrz zespołów nie stanowi siatki regularnych ulic, bo drogi wyznaczono według chwilowej potrzeby. Gdy potrzeba przestaje być aktualna, ulica jest już zbudowana. W ten sposób przypadkowo ukształtowany układ drogowy wymusza dostosowanie do niego w sposób sztuczny zabudowy i zagospodarowania pozostałych terenów, a układ całości chociaż koślawy w jakiś sposób nadal funkcjonuje. W sytuacji gdy ulica i ukształtowanie działek są ze sobą zgodne, brak konsekwencji objawia się w usytuowaniu budynków w dowolnych odległościach od drogi. Zabudowa nie tworzy

wtedy pierzei ulicznej. Często jest to wynikiem obecności starych domów powstałych wtedy kiedy ulica była węższa oraz budowania nowych domów, już według nowych przepisów. Ale nowe domy również powstają w różnych odległościach od ulicy, przepisy z reguły zezwalają na sytuowanie domów w określonym pasie, nie precyzując dokładnej linii zabudowy. Jeśli zaś przepisy na coś zezwalają to każdy właściciel działki skwapliwie z tego korzysta nie zastanawiając się z reguły nad konsekwencjami swoich działań.

Architektura - czyli ucieczka w świat pozorów

Patrząc na poszczególne budynki widać głównie olbrzymią mentalną spuściznę czasów „władzy ludowej". Chcemy za wszelką cenę uciec od monotonii, szarości, biedy. Chcemy zaakcentować swoją odrębność. Odrzucając sposób myślenia przeszłości, jednocześnie budujemy nie tak jak tego rzeczywiście pragniemy ale na przekór temu co do niedawna obowiązywało. Sprzeciwiając się obowiązującym w poprzednim okresie skromnym normatywom mieszkaniowym, tworzymy domy zbyt duże na nasze rzeczywiste potrzeby, pozbawione właściwej skali (nie starcza potem pieniędzy na skończenie budowy, takie domy latami stoją nie wykończone niszczejąc powoli). Sprzeciwiając się stylistyce „klocków", budujemy domy z nieograniczoną ilością dekoracyjnych detali, o skomplikowanych, trudnych do wykonania dachach, pomalowane na najróżniejsze często krzykliwe kolory. Budowanie wbrew temu co było dawniej nie zapewnia umiejętności budowania dobrze. Chcąc uciec od minionego okresu, nie mając nowych wzorów, nawiązujemy do dalszej przeszłości. Podobają nam się domy „tradycyjne" najczęściej nawiązujące do stylu dworkowego. Ale tak naprawdę to przecież nie nasza tradycja, wychowaliśmy i ukształtowaliśmy się w zupełnie innych warunkach. Przebudowy „klocków" jak i budowa nowych domów są obrazem bezradności, z jednej strony braku ciągłości tradycji, a z drugiej ciągłych prób odwoływania się do niej, w rezultacie nieumiejętności wykształcenia odpowiedniej formy dla nowej rzeczywistości.

Obok zespołów budowanych na granicy wsi, istnieją w Łodzi osiedla domów jednorodzinnych powstałe w ten sam spontaniczny sposób, lecz na terenach wcześniej nie zagospodarowanych. Architektonicznie nie odbiegają od

zespołów opisanych powyżej ale ich tkanka przestrzenna jest trochę bardziej jednorodna.

Urbanistyczna kompozycja zespołów jest prosta, ze względu na brak historycznych uwarunkowań. Ulice zazwyczaj tworzą prostopadłą siatkę zapewniającą swobodny dojazd do każdej posesji. Układ taki jest najbardziej ekonomiczny i najprostszy, chociaż brak w nim ciekawszych elementów będących charakterystycznymi miejscami (place, skwery, trasy spacerowe). Pomimo dopasowania układu komunikacji i działek, pojawia się taki sam brak konsekwencji w sytuowaniu budynków względem ulicy. Chociaż może w mniejszym stopniu widoczny, bo działki są zwykle mniejsze a zabudowa gęstsza. Wszystkie cechy architektury opisane dla zespołów poprzedniego typu występują i tutaj. Nie ma wspólnego kształtu architektonicznego i kolorystyki dla wszystkich budynków. Domy powstałe w latach 70-tych i 80-tych o prostej bryle (niektóre już przebudowane i odnowione) stoją na przemian z nowymi o przebogatych formach. Większość domów na tych osiedlach wygląda niczym zły sen.

Istnieje jeszcze inny rodzaj osiedli mieszkaniowych jednorodzinnych – te które w tej chwili dopiero powstają. Obszary w większości niezabudowane, na których istnieją już nieliczne budynki i w coraz szybszym tempie powstają nowe. Nie wiadomo jeszcze do którego z opisanych typów zabudowy będą w przyszłości najbardziej podobne, a może będą wyglądać zupełnie inaczej. Dla tych terenów to prawdopodobnie ostatni moment, w którym można jeszcze wpłynąć na ich ostateczny kształt. Kiedy powstaną już wszystkie drogi dojazdowe, podział działek zostanie ostatecznie dokonany, niewiele będzie można zmienić. Niestety osiedla te już dzisiaj wykazują większość złych cech łódzkich przedmieść: brak uporządkowanego układu działek, chaotycznie tworzone drogi dojazdowe, architektura budynków dowolna, nie posiadająca cech spajających osiedle, dowolna, absurdalna kolorystyka poszczególnych domów. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że za parę lat te tereny nie będą się niczym pozytywnym wyróżniać spośród innych opisanych tu osiedli.

Szeregowce – umiar czy ostentacja

Warto zwrócić uwagę, że i w Łodzi powstają osiedla projektowane w sposób zorganizowany. Różnią się one układem przestrzennym, wyglądem, atmosferą w zależności od okresu w którym powstały. Cechą wspólną tych osiedli jest to, że układ przestrzenny i budynki zostały opracowane według jednego wspólnego projektu. Często zostały też zbudowane jednocześnie, jako całość.

Do osiedli powstałych pod koniec lat 70-tych należy zespół przy ulicy Pienistej, na skraju Retkinii. Jest to osiedle zabudowy szeregowej. Charakteryzuje się skrajną prostotą zarówno układu urbanistycznego jak i architektury. Niezręczność układu przestrzennego widać zwłaszcza na skrzyżowaniach i łukach ulic. Wynika ona z braku możliwości dowolnego kształtowania brył budynków o jednakowych prostokątnych

rzutach, bez możliwości odpowiedniego kształtowania narożników i końców szeregu. Architektura segmentów jest prosta i niezbyt porywająca, a wykonanie fatalne, jak w większości budynków z tamtego okresu. Budynki ze względu na okres powstania nie są zbyt wysokie, mają dwie kondygnacje, a w gruncie rzeczy toporne bryły wzbogaciła korzystnie zieleń, która zdążyła już wyrosnąć tworząc wrażenie kameralności i spokoju.

Tworzone nieco później w latach 80-tych osiedla zabudowy szeregowej wyglądają już nieco inaczej. Są typowym przykładem budownictwa okresu przełomowego – zmian w organizacji i świadomości społeczeństwa. Układ urbanistyczny i wielkości działek zostały podporządkowane prawom ekonomii – stąd wąskie ulice bez chodników i małe działki. Jednocześnie wzrosły oczekiwania wobec wielkości domów na małych działkach powstają budynki o wysokości nawet do czterech kondygnacji. W rezultacie otrzymano ciasne osiedle, w którym nie czuje się zupełnie komfortu zespołu jednorodzinnego, a zabudowa wygląda jak małe bloki. Poszczególne domy wznoszono systemem gospodarczym, w trakcie budowy modyfikując projekt według własnych upodobań i potrzeb (przeważnie powiększając budynek). Przy poszczególnych uliczkach osiedla nie ma jednolitości, poczynając od bryły, sposobu wykończenia ścian i dachu, po kolorystykę. Nawet w przypadku domów bliźniaczych architektonicznie tworzących jedną całość nie zdarza się jednakowe wykończenie obu części – kolorystyki ścian, dachu, rodzaju okien. Sąsiedzi nie potrafią wspólnie ustalić jednolitego wykończenia domu albo po prostu nie myślą nawet o takiej potrzebie. Typowymi przedstawicielami takich osiedli są: osiedle przy ulicy Liściastej i rozrosłe do gigantycznych rozmiarów osiedle na Smulsku. To ostatnie jest cały czas rozbudowywane, do częstych widoków należą domy przez wiele lat niedokończone lub opuszczone. Często można spotkać nieutwardzone gruntowe drogi, brak chodników, chwasty wysokie po pas. Tuż obok znajduje się kwartał zabudowy wolnostojącej o wysokim standardzie, gdzie działki od otoczenia są wydzielone wysokim murem, zza którego nie widać co dzieje się wewnątrz. Świadczy to o dość specyficznym pojmowaniu luksusu. Całe osiedle sprawia wrażenie olbrzymiego placu nigdy niekończącej się budowy i jest zdecydowanie jednym z najbrzydszych łódzkich osiedli.

Począwszy od lat 90-tych pojawiają się osiedla deweloperskie. Działalność taka polega na projektowaniu i wznoszeniu całego zespołu przez prywatnego Inwestora i sprzedawaniu później poszczególnych budynków lub mieszkań indywidual-

nym klientom. Zespoły te charakteryzują się spójnością zarówno układu urbanistycznego jak i architektury. W odróżnieniu od pozostałych opisanych typów architektura budynków jest jednolita, choć nie monotonna. Często pojawiają się mieszane układy budynków – zabudowa jednorodzinna indywidualna w połączeniu z budynkami szeregowymi a nawet małymi budynkami wielorodzinnymi. Ze względu na sposób budowania, wykończenie i kolorystyka budynków są jednakowe. Nawet w takich zespołach można jednak znaleźć nieuporządkowane i niezagospodarowane otoczenie, z piaszczystymi drogami włącznie.

W architekturze wszystkich opisanych osiedli niezależnie od warunków w jakich powstawały występują pewne wspólne cechy. W ich układzie przestrzennym, nawet tych powstających w sposób zorganizowany, nie pojawiają się elementy korzystnie wpływające na atmosferę osiedla. Brak placów, chodników, elementów małej architektury (choćby ławek, czy placów zabaw dla dzieci). W pasie ulicy brakuje trawników, nie pojawiają się drzewa, nie mówiąc o terenach spacerowych (tę rolę pełnią puste pola porośnięte chwastami). Częstym widokiem są gruntowe, nieutwardzone drogi. Na pierwszy rzut oka wszędzie widać brak zainteresowania dopasowaniem swojego domu do sąsiednich, brak świadomości wpływu zaniedbanego otoczenia na wygląd całego osie-

dla, nawet tam gdzie domy i przydomowe ogródki są pięknie wykończone i zadbane. Poza nielicznymi wyjątkami problemem jest również zbyt zróżnicowana, niejednolita architektura domów lub nieudane modernizacje. To efekt niskiej świadomości estetycznej inwestorów i ich niedojrzałości społecznej. Ale także nieobecność wizji i nadzoru urbanistycznego.

Można było lepiej

A jednak są w Łodzi przykłady skromnych, ale przyzwoicie zaprojektowanych osiedli. Powstały w międzywojniu. Okres ten charakteryzował się bardzo trudną sytuacją mieszkaniową. W 1935 roku po kilku latach ustaleń i negocjacji władz miasta z mieszkańcami zatwierdzono „Ogólny plan zabudowania m. Łodzi", w którym między innymi wyznaczono strefy niskiej zabudowy mieszkaniowej na ówczesnych obrzeżach miasta (rejony: Doły, Marysin, Julianów, Żubardź, Koziny, Polesie, Karolew, Rokicie, Dąbrowa, Zarzew, Widzew). Plan ten przez 25 lat służył za podstawę prawną kierunków rozwoju. Na przedmieściach powstały osiedla budowane indywidualnie lub w sposób zorganizowany. Rozwiązanie problemów mieszkaniowych na większą skalę widziano zwłaszcza w spółdzielczości. Powstało wiele projektów spółdzielczych i społecznych kolonii, głównie dla robotników, urzędników i innych grup zawodowych. Ze względu na trudną sytuację gospodarczą projektów tych nie zrealizowano w całości. Wybudowano jednak kilka osiedli.

Pierwszą grupę stanowią dwa zespoły domów szeregowych wybudowane w latach 30-tych przez Towarzystwo Osiedli Robotniczych – osiedle „Marysin III" w rejonie ulic Ołowianej i Kwarcowej oraz osiedle na Stokach w rejonie ulic Turnie, Wichrowej i Halnej. Obydwa osiedla zostały stworzone na podobnych zasadach z myślą o tej samej grupie użytkowników. Bardzo starannie choć przy pomocy prostych środków opracowano układ urbanistyczny osiedli i konsekwentnie go zrealizowano. Mimo najekonomiczniejszego układu przestrzennego w każdym z osiedli znajdują się pewne elementy wzbogacające kompozycję.

W przypadku osiedla na Marysinie jest to układ uliczek biegnący po lekkim

łuku oraz zróżnicowanie typów budynków, w osiedlu na Stokach zastosowano wysunięcie budynków na granicach powtarzalnych zespołów. W obydwu osiedlach na tyłach ogródków wprowadzono ścieżki spacerowe. Integralną częścią osiedla Marysin jest zieleń wprowadzona pomiędzy bloki zabudowy. Kompozycja jest prosta i czytelna, zdecydowanie wyróżnia się dziś spośród sąsiadujących zespołów. Projekty budynków powstały na podstawie koncepcji znanych modernistycznych architektów: Heleny i Szymona Syrkusów (Marysin), Barbary i Stanisława Brukalskich (Marysin i Stoki). Architektura budynków jest bardzo prosta i tania lecz funkcjonalna jak na ówczesne warunki. Mieszkania są niezwykle skromne – o powierzchni około 40 m^2. W obydwu osiedlach występują dziś podobne problemy wynikające z niedostosowania do dzisiejszych wymagań: układ przestrzenny nie przewidywał parkingów, mieszkania nie spełniają standardów pod względem wielkości i instalacji sanitarnych. Tworzy to niebezpieczeństwo samowolnej niekontrolowanej rozbudowy domów, co już gdzieniegdzie widać, pomimo że obydwa osiedla ze względu na swoje walory znajdują się w strefie ochrony konserwatorskiej.

Kolejną grupę stanowią osiedla budowane w tym samym okresie dla bardziej zamożnych mieszkańców: osiedle przy radiostacji – w rejonie ulic Kopcińskiego (dawniej Zagajnikowej), Zelwerowicza (dawniej Mostowej), Tkackiej oraz osiedle na Julianowie – w rejonie ulicy Biegańskiego. To większe zespoły mieszkaniowe, na które składa się szereg kolonii oraz indywidualnych domów budowanych w okresie międzywojennym i po wojnie. Mimo niejednorodnego sposobu i czasu powstawania tak jak w poprzedniej grupie zwraca uwagę staranny układ urbanistyczny. W osiedlu przy radiostacji kompozycja jest prosta ale konsekwentna (lekko zaburzona przez wprowadzenie w późniejszym okresie kilku budynków wielorodzinnych rozbijających układ), w osiedlu na Julianowie ze względu na większy obszar oraz obecność kilku kolonii układ jest bardziej skomplikowany – na pierwszy rzut oka zwraca uwagę kompozycja oparta

na wycinku koła w rejonie ulic Przyrodniczej i Alei Róż. W obydwu zespołach przy większych ulicach wprowadzono szpalery drzew wprowadzających spokojną i kameralną atmosferę. Poszczególne budynki powstawały według indywidualnych projektów. Wyjątkiem jest kolonia Urzędników Bankowych na Julianowie (domy z charakterystycznymi mansardowymi dachami) oraz dwie bardzo niewielkie kolonie przy ulicach Tkackiej i Zelwerowicza (7 charakterystycznych budynków w stylu dworkowym Osiedla Oficerskiego oraz modernistyczne budynki Osiedla Pracowników Zarządu Miejskiego „Pokój"). Pomimo różnorodności domów znajdujących się w zespołach zabudowa jest utrzymana w jednolitym charakterze: budynki stoją w jednej linii w stosunku do otaczających ulic, jednolite są również ich gabaryty – podobne obrysy i wysokości budynków. Przeważają domy modernistyczne -geometryczne proste bryły, płaskie dachy. Obydwa zespoły stanowią dziś dużą atrakcję ze względu na panującą w nich miłą atmosferę, bliskość terenów parkowych oraz standard budynków. Wymagają one co prawda dostosowania do dzisiejszych warunków ale oferują za to wysoką jakość architektury. Widoczne w osiedlach nieudane przebudowy i rozbudowy domów jeszcze w tej chwili nie psują pozytywnego odbioru całości, przy odrobinie uwagi istnieje szansa zachowania klimatu oraz urody zespołów.

Na wschodnim skraju dużego osiedla wielorodzinnego wzniesionego w czasach okupacji na Stokach w rejonie ulicy Skalnej istnieje niewielki zespół wy-

budowany w latach 50-tych. Jego układ kompozycyjny wydaje się być próbą nawiązania do wydłużonego układu tego niemieckiego osiedla. To zapewne zadecydowało o włączeniu niezwykle skromnego zespołu do wspólnej strefy ochrony konserwatorskiej. Konstrukcja układu jest bardzo swobodna, nieprostoliniowa ale w dalszym ciągu czytelna, a wijące się uliczki stwarzają bardzo kameralną i zaciszną enklawę pomimo biegnącej tuż obok ulicy Pomorskiej. Architektura budynków jest skromna i prosta ale jednolita, strome dachy mogą być odczytane jako nawiązanie zarówno do charakterystycznych poniemieckich bloków stojących obok jak i do tradycyjnej architektury wiejskiej. Zabudowa przy ulicy Skalnej, Krzemieniowej i Podgórze stanowi w dalszym ciągu niezwykle malowniczy ciąg.

Opisane powyżej osiedla nie mogą dziś dla nas stanowić dosłownego wzoru. Standard budynków (energooszczędność, powierzchnie mieszkań, instalacje) odbiega od przyjętego współcześnie powodując trudności techniczne i finansowe przy renowacji, zdarzają się budynki zaniedbane lub zdewastowane zwłaszcza w biedniejszych częściach miasta. Niektóre z osiedli do dziś nie mają dostępu do miejskiej sieci kanalizacyjnej, w układach przestrzennych brak przewidzianych miejsc parkingowych. Jednak na pierwszy rzut oka uderzające są pewne cechy, których brakuje w dzisiejszych zespołach. Przede wszystkim staranne opracowanie układów przestrzennych osiedli – urbanistyka rozumiana nie tylko jako mechaniczne wytyczenie siatki prostopadłych ulic lecz stworzenie żywego organizmu, w którym każdy wprowadzony element ma swoje uzasadnienie. Nie są rzadkością ulice prowadzone łukowo lub swobodnie się wijące co mogłoby być cenne w dzisiejszych czasach jako naturalne spowolnienie ruchu samochodowego wewnątrz osiedli. Chodniki nie biegną tylko przy ulicach, lecz również stanowią niezależny element komunikacyjny. Zieleń wprowadzono do wnętrza osiedli zarówno w formie ogródków przydomowych jak i jako element uzupełniający kompozycję przestrzenną. Szpalery drzew stwarzają atmosferę spokoju i kameralności bardzo potrzebną w strefie mieszkalnej. Architektura domów może się wydawać niezbyt efektowna. Dziś są do dyspozycji najnowsze technologie, szeroki wybór materiałów i kolorów a tamte budynki są w większości szarawe, proste i skromne. Jednak jednolitość architektury, nawet tam gdzie każdy budynek był projektowany indywidualnie, stwarza wrażenie uporządkowanej przestrzeni. Takiego dopasowania budynków: usytuowaniem w stosunku do ulicy i działki, gabarytami, wysokością i stonowaną kolorystyką nie spotyka się w dzisiejszych czasach.

URBANISTYKA SOBIE, ARCHITEKTURA SOBIE

Dlaczego nastąpiła tak duża zmiana w wyglądzie osiedli, które dzieli różnica w czasie tylko około 50 lat? Znikła umiejętność kształtowania swojego najbliższego otoczenia i naturalne wyczucie przestrzeni, w której żyjemy. Swobodę i niewymuszoność zastąpiło dążenie do perfekcji. Ale nawet najbardziej okazały dom wykończony

na wysoki połysk i wypieszczony ogródek zwiększa tylko kontrast w zetknięciu z nieprzemyślanym układem całości, zaniedbanymi ulicami i polami pełnymi chwastów.

Jak powinna wyglądać droga do poprawy złego stanu?

W procesie powstawania zespołów domów jednorodzinnych biorą udział trzy podstawowe grupy ludzi:

- administracja i władze miasta zajmujące się planowaniem zabudowy miejskiej oraz udzielaniem pozwoleń na budowę,
- architekci projektujący domy
- inwestorzy czyli w większości przyszli mieszkańcy osiedli.

Każda z tych grup ma wpływ na ostateczny kształt osiedla więc do powstania udanych dobrze funkcjonujących zespołów potrzebna jest zgodna współpraca wszystkich stron. Rolą administracji miasta jest wytyczanie kierunków i sposobu rozwoju miasta w porozumieniu z mieszkańcami i ustalanie praw jakich należy przestrzegać żeby ustalone założenia osiągnąć. Szczegółowe plany zagospodarowania są bardzo istotną sprawą – nie tylko dotyczącą śródmieścia lecz również przedmieść i to właśnie tych terenów, które będą potem zabudowywane indywidualnie. W naszych realiach trudny jest proces tworzenia takich planów ale jeszcze bardziej zaniedbuje się kontrolę nad późniejszym przestrzeganiem ustalonych reguł. Następną kwestią należącą do miasta jest zagospodarowanie i dbałość o przestrzenie publiczne – w omówionych osiedlach zwracają uwagę gruntowe drogi dojazdowe i niezagospodarowane przestrzenie pomiędzy działkami – ten stan nie jest wynikiem tylko niedbałości mieszkańców.

Konieczność przestrzegania prawa przy zagospodarowaniu działki i wznoszeniu budynków jest z reguły przez inwestorów traktowana jako ograniczenie wolności. Przestrzeganie odpowiednio skonstruowanych reguł może działać i w drugą stronę – jako zapewnienie odpowiedniego sąsiedztwa, stworzenie przyjemnego otoczenia dla każdej działki i w rezultacie może doprowadzić do poprawy komfortu życia.

Bardzo znaczący udział w kształtowaniu przestrzeni mają architekci – każdy budynek jest wznoszony według tworzonych przez nich projektów. Niekorzystnym zjawiskiem w naszej kulturze jest rozdział profesji architekta i urbanisty. Architekt projektujący budynek czuje się więc zwolniony z obowiązku myślenia o urbanistyce i skupia się wyłącznie na zaprojektowaniu pojedynczego obiektu. Jednocześnie domy jednorodzinne są przez architektów traktowane jako mniej ważna architektura, a jej projektowanie jest spychane na margines twórczości architektonicznej (również ze względu na mniejszy zysk). Ma to wpływ na jakość projektów. Taki stan rzeczy zauważają zresztą sami architekci. Massimiliano Fuksas – znany włoski architekt mówi: - *Miasto się tworzy i przetwarza samo – i rezultaty są często katastrofalne. Tereny są niszczone, obgryzane przez architektów i nie-architektów. W tym chaosie rola architekta jako twórcy jest bardzo ograniczona, a to dlatego, że nie mając związków z rzeczywistością, żyje on nawet dziś w przekonaniu, iż z jego wielkich wizji powstanie wspaniały obiekt.*

... W końcu, co może zrobić architekt poza odwróceniem oczu od rzeczy autentycznie ważnych, by zająć się swoimi małymi ślicznymi obiektami – a nawet dużymi ślicznymi obiektami – zamówionymi przez klientów bardzo wykształconych i bardzo bogatych?... Czy warto więc za wszelką cenę próbować wejść do tej trzydziestki sław światowych, opłacanych przez trzydziestu najbogatszych klientów, by zrealizować trzydzieści najdroższych projektów – czy nie lepiej zająć się tym, co dotyczy nas wszystkich? Czy chcemy się zamknąć w tym małym światku, gdzie jest piękny kościół, wspaniałe muzeum, butik Prady i Armaniego – czy też przypomnimy sobie o miliardach ludzi zmuszonych do godzenia się z niemożliwą do zaakceptowania jakością życia?

Osiedlom mieszkaniowym najbardziej potrzebna jest w tej chwili architektura rzetelna, profesjonalna i skromna – na takim tle mogą dopiero pojawić się dzieła sztuki. Takie przesłanie pojawia się ostatnio w wypowiedziach wielu znanych architektów bez względu na narodowość.

Architektura, zdolna ukryć się na chwilę, też jest ważna. Myślę, że architektura, która krzyczy, stanowi symbol, jest dobra w przypadku jednego czy dwóch budynków w mieście. I to wystarczy. Miasto nie może być złożone wyłącznie z budynków ikon, bo wtedy wszystkie straciłyby na znaczeniu. *Zwyczajność jest wspaniała i piękna* – uważa australijski architekt Glenn Murcatt.

Kierunek rozwoju cywilizacji wskazuje na to, że tereny przedmieść będą w coraz większym stopniu pełnić funkcję mieszkaniową, będą ją pełnić przez długie lata i trzeba zrobić wszystko by tę funkcję spełniały jak najlepiej. Problemy omówione na podstawie Łodzi występują w różnym nasileniu we wszystkich polskich miastach, choć może w Łodzi są bardziej widoczne ze względu na kondycję finansową i ogromne wcześniejsze zaniedbania. Również na świecie coraz bardziej zwraca się uwagę na architekturę przedmieść i chociaż Polskę dzieli przepaść od Europy Zachodniej, to jednak czytając przemyślenia wielu dobrych architektów z całego świata odnajdujemy nuty jak najbardziej dla nas aktualne:

W ostatnich latach doszliśmy do pewnych wspólnych wniosków dotyczących architektury i urbanistyki. Po pierwsze: przedmieścia to nie miejsca wyklęte, ale takie same jak inne, gdzie też mieszkają ludzie. Przedmieścia uzyskują tożsamość, nawet jeśli nie zawsze udaje się radykalnie poprawić tam warunki życia. Po drugie: architektura-śmieć, brzydka, nieciekawa, ma wpływ na równowagę miasta równie wielki jak ta wielka i wspaniała – twierdzi wspomniany Fuksas.

Rzeczywistość podmiejska, obejmująca w Europie terytorium zamieszkałe przez sześćdziesiąt procent ludności, jest często niedostrzegana. Ignoruje się ją, a przecież mimo całej jej nijakości, nie można jej nie widzieć.

... Trzeba umieć dostrzec miernotę, ubóstwo, degradację tych przestrzeni, ale prawdą jest, że ta degradacja często jest również winą architektury – podkreśla włoski urbanista Stefano Boeri.

Punktem wyjścia do dalszych działań odpowiednio kształtujących przedmieścia jest realne uzmysłowienie sobie złego stanu dzisiejszego, świadomość że poprawa leży w zasięgu naszych możliwości oraz przede wszystkim próba otwartej i szczerej dyskusji na temat stanu łódzkich przedmieść. Zaniechanie dialogu skazuje z góry nasze miasto na brzydotę a nas na spędzenie życia w nudnym, nieciekawym i przygnębiającym otoczeniu.

Dominika Krogulska
– architekt, pracuje w Pracowni Architektoniczno – Urbanistycznej „Lipski i Wujek".

Bibliografia:

Leszek Łukoś, Cztery osiedla społeczne zabudowy jednorodzinnej z czasów międzywojennych w Łodzi w oczekiwaniu na rewitalizację, (w:) Materiały z międzynarodowej konferencji: Budownictwo społeczne 1 poł. XX w. w Europie. Problemy ochrony i rewitalizacji, Wydział Architektury Politechniki Gdańskiej 2000, s. 107-111.

Joanna Olenderek, Jak chronić kolonie mieszkalne Łodzi II Rzeczypospolitej w czasach III Rzeczypospolitej, (w:) Materiały z międzynarodowej konferencji: Budownictwo społeczne 1 poł. XX w. w Europie. Problemy ochrony i rewitalizacji, Wydział Architektury Politechniki Gdańskiej 2000, s. 119-121, 129-132.

Renata Mikielewicz, Zjawisko urbanizacji a marzenie o wsi na skraju miasta, (w:) Miasto z widokiem na wieś, Materiały sesji naukowej Warszawa 22-23 maja 1997 r. Pod redakcją Bożeny Wierzbickiej, Biblioteka Towarzystwa Opieki nad Zabytkami 1998, s. 179-183

„Na nowy wiek" -Corina Mersch rozmawia z Massimiliano Fuksasem, (w:) Architektura-Murator nr 02/2003, s. 10-12

„Na nowy wiek" – Brit Andresen rozmawia z Glennem Murcattem, (w:) Architektura-Murator nr 03/2003, s. 14-15

„Na nowy wiek" – Bohdan Paczowski rozmawia ze Stefano Boerim, (w:) Architektura-Murator nr 08/2003, s. 15,19

zdjęcia Adam Bykowski

jak nas widzą tak nas piszą

Ulica piękniejsza nad wszystkie
Nieznany spór o Piotrkowską
Mieczysław Gumola
str. 173

Mieczysław Gumola

Ulica piękniejsza nad wszystkie

Nieznany spór o Piotrkowską

We wrześniu 1988 r. Süd – West – Funk, popularna zachodnio – niemiecka stacja telewizyjna SW 3, mająca swoją siedzibę w Baden Baden, zapowiedziała film prezentujący kolejną ważną ulicę europejską – ulicę Piotrkowską w Łodzi. Wywołało to zrozumiałe poruszenie w kręgu dawnych łodzian od dziesięcioleci mieszkających po zachodniej stronie Łaby. Jeden telefonował do drugiego, ten do następnego. Wieczorem 7 września 1988 r. zasiedli przed telewizorami w gronie rodzinnym, razem ze znajomymi i przyjaciółmi. O godzinie 20.15 na ekranie pojawił się napis: „Petrikauer Straße, Łodz", czyli – Ulica Piotrkowska w Łodzi. Śniła się im niejeden raz, teraz mieli sny porównać z rzeczywistością. Oczekiwali, że film będzie nie mniejszym wydarzeniem niż ciągle jeszcze popularny szlagier sprzed kilkunastu lat: „Theo, wir fahr'n nach Lodz".

Im dłużej trwał pokaz, tym bardziej nie wierzyli własnym oczom. Film ukazywał smętną polską rzeczywistość – kraj biedny, brudny i bez przyszłości. Potwierdzeniem tego była Łódź i jej niegdyś reprezentacyjna ulica Piotrkowska, którą dzisiaj snuli się smutni i zrezygnowani ludzie. „To nie jest moja Łódź" – wykrzyknął ktoś, kto niedawno przyjechał z Polski. „I nie nasza" – odpowiedzieli inni siedzący w pokoju. Znowu rozdzwoniły się telefony. Postanowiono sprawy nie pozostawić bez echa. Należało bronić honoru ulicy Piotrkowskiej. Zdecydowano wysłać protest do Süd – West – Funk na ręce dyrektora generalnego. 27 września 1988 r. dwustronicowy list autorstwa inżyniera Jürgena Oberländera, występującego w imieniu Stowarzyszenia Wychowanków dawnego Łódzkiego Niemieckiego Gimnazjum, powędrował do Baden Baden.

Do głębi rozczarował

Film nas do głębi rozczarował – to najkrótsza jego ocena. Szczegółowych pretensji było wiele:

Rosyjska nazwa: „Łodz" – jaka pojawiła się w tytule filmu jest zupełnie nie na miejscu. Dla Polaków to: „Łódź", dla Niemców: „Lodz".

Piotrkower Straße – ulica Piotrkowa, wymieniana w filmie, nigdy nie istniała, powinno być „Piotrkowska", po niemiecku „Petrikauer Straße".

„Biała fabryka" na południowym krańcu ulicy nie jest dziś czynną fabryką, tylko Muzeum Włókiennictwa.
Pokazany w filmie pałac żydowskiego fabrykanta Poznańskiego nie znajduje się na ulicy Piotrkowskiej, ani w jej najbliższym sąsiedztwie.
Domy robotników z zatęchłymi od wilgoci mieszkaniami nie są przy ulicy Piotrkowskiej, ale na Księżym Młynie.
Nikt, kto dobrze zna Łódź, nie mógł na filmie rozpoznać ulicy Piotrkowskiej.
Teksty mówiące o powstawaniu miasta zostały dobrane błędnie, zawierały półprawdy i przeinaczenia, dezorientowały widza.

Ale z treści listu wybijało się najważniejsze ze wszystkich stwierdzenie:

... „ Die Petrikauer Straße in Lodz ist eine der wenigen Straßen dieser Welt, über die wegen der Schönheit Ihrer Häuser Bücher geschrieben worden sind. Der Film zeigt dagegen eine Slumgasse, die es dort nicht gibt."

(Ulica Piotrkowska w Łodzi jest jedną z wyjątkowych ulic świata, zaś niezwykłe piękno jej domów zostało opisane w wielu książkach. Film natomiast pokazuje uliczkę slumsów, których na niej nie ma).

W filmie wiele razy cytuje się fragmenty przetłumaczonej na niemiecki powieści Władysława Reymonta „Ziemia obiecana" – „Das gelobte Land". Powieść ta, przypomniano w liście, pisana była pośpiesznie i drukowana w odcinkach w gazecie. Zawiera sporo przejaskrawień i nie może być uznawana za wierny obraz łódzkiej rzeczywistości sprzed stu kilkudziesięciu lat. Należało więcej wysiłku poświecić studiowaniu historii Łodzi, wtedy i film byłby lepszy.

Riposta

Po miesiącu, dokładnie 28 października 1988 roku. przywędrowała z Baden Baden odpowiedź podpisana przez reżyser filmu dr Andreę Morgenhalter.
– Każdy ma prawo przedstawiać własny punkt widzenia. Mam prawo widzieć ulicę po swojemu i skupić uwagę na tym, co dla mnie ważne – stwierdzała.

Na zarzuty odpowiadała:
– ulica „Piotrkowa" jest cytatem zaczerpniętym z niemieckiego tłumaczenia „Ziemi obiecanej". Trudno dokonywać poprawek w cytowanym tekście pisarza,
–„Ziemia obiecana" towarzyszy całemu filmowi i jest jego spoiwem, wyraża ponadczasową prawdę o potędze kapitału i bezsile człowieka przez co, w artystycznej formie przekazuje prawdę o mieście – o żyjących w nim ludziach i rozgrywających się, dramatycznych wydarzeniach,

– zawilgocone mieszkania rzeczywiście znajdują się na osiedlu przy Księżym Młynie. Jednak teren dawnych fabryk Scheiblera rozpoczynał się przy ulicy Piotrkowskiej i ciągnął wieloma odnogami aż po robotnicze osiedle. Z dawnych fabryk Scheiblera pochodzą zdjęcia tkalni, jakie znalazły się w filmie,
– zdjęcia wnętrz pałaców, za wyjątkiem pałacu Poznańskiego, zostały nakręcone przy ulicy Piotrkowskiej – w Klubie Nauczyciela, Klubie Studenckim i banku przy pobliskiej, małej uliczce,
– tekst wiernie ukazuje chronologię najważniejszych wydarzeń, poczynając od 1820 r.

– Najżywiej interesowało mnie – tłumaczyła reżyser – życie ulicy. Jej narodzinom towarzyszył hałas krosen, później szum maszyn fabrycznych. Życie na Piotrkowskiej dla jednych oznaczało bogactwo i dobrobyt, natomiast niewyobrażalną nędzę dla wielu innych. To moja osobista opowieść o tej niezwykłej ulicy. Film nie jest dziełem historycznym, lecz utworem artystycznym w którym, w ciągu 45 minut musiałam zmieścić wszystko, co miałam do powiedzenia i pokazania.

Ku zgodzie

Jürgen Oberländer odpowiedział dopiero po 3 miesiącach – pod koniec stycznia 1989 r. Zgodził się, że 45 minut to za mało na zaprezentowanie ulicy Piotrkowskiej. Kiedy obejrzał film ponownie ze zdziwieniem stwierdził, że opowieść występującego w nim młodego łodzianina „Mirka" nakręcona została w bramie budynku przy ulicy Piotrkowskiej 149, domu dobrze mu znanym z lat dzieciństwa i młodości. Wspomnienia i sentymenty należało jednak odłożyć na bok, kiedy przychodziło mówić o wartości filmu. Pretensje powracały.

Tytuł: „Ulica Piotrkowska" zapowiadał że zobaczy się prawdziwą, piękną i ważną dla Łodzi ulicę, pozna jej historię. Niestety, powstała impresja, która z ulicą nie ma nic wspólnego. Na dodatek to nieszczęsne przekręcenie nazwy: „ulica Piotrkowa". To zgrzyt podobny do tego, jaki by przeżył mieszkaniec Berlina gdyby zamiast: „Unter den Linden" / „Pod lipami" – odpowiednik Piotrkowskiej w Berlinie – M. G/ usłyszał: „Linden Straße" /„Ulica Lipowa"/.

Jürgen Oberländer odkrył gdzie znajduje się źródło pomyłek i przeinaczeń. Jeszcze raz sięgnął do polskiego wydania „Ziemi obiecanej". Wszędzie: „ulica Piotrkowska". Sięgnął do tłumaczenia niemieckiego – a w nim nieszczęsne: „Piotrkower Straße" – „ulica Piotrkowa"! Okazuje się że tłumacz – Guttry – bardzo niechlujnie przetłumaczył powieść Reymonta. Chyba zupełnie nie znał Łodzi, dlatego można odnaleźć wiele rozmaitych błędów, szczególnie jeśli idzie o topografię miasta. Zagubiony też został wyrazisty język bohaterów powieści, tak istotny dla ich charakterystyki psychologicznej.

Koniec końców skupiło się na tłumaczu. Wymiana listów z twórczynią filmu – Andreą Morgenhalter była, zdaniem obrońcy honoru ulicy Piotrkowskiej – Jürgena Oberländera, interesująca dla niego i dla podobnie czujących jak on, dawnych łodzian. Zadeklarował pomoc przy realizacji następnego filmu o Łodzi, do której jego przodkowie przywędrowali przed 150 -ciu laty. Na tym wymiana korespondencji się zakończyła.

W 1994 roku telewizja niemiecka nakręciła film o innej łódzkiej ulicy – Kilińskiego. Pojawił się na ekranach telewizyjnych Niemiec i innych krajów Unii Europejskiej. Był starannie udokumentowany i ciekawie zrealizowany. Nie wzbudził jednak tak żywych emocji widzów jak film o Piotrkowskiej. Z Piotrkowską było inaczej – bo jest to jedyna w swoim rodzaju ulica. I było się o co kłócić.

O AUTORZE LISTÓW:

Jürgen Oberländer / łodzianin, rocznik 1918 / po pięćdziesięciu latach nieobecności przyjechał do rodzinnego miasta we wrześniu 1992 r. na I Światowe Spotkanie Łodzian. Uczestniczył wtedy w jubileuszu wychowanków Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. Później jeszcze kilkakrotnie odwiedzał Łódź – w Klubie Nauczyciela zaprezentował wystawę malarzy niemieckich związanych z Łodzią, uczestniczył w konferencjach naukowych zorganizowanych przez Wydział Historyczny UŁ i Ośrodek Badań Niemcoznawczych, obdarował też książkami łódzkie biblioteki, utrzymywał żywy kontakt z profesorami Politechniki Łódzkiej. Zmarł 30 czerwca 2003 r. w Niemczech.

Mieczysław Gumola

kroniki rodzinne

Czesko – niemiecka rodzina polska
Kopczyńscy
Małgorzata Golicka-Jabłońska
str. 180

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Drodzy Czytelnicy,

Łódź budowały tysiące rodzin polskich, żydowskich, niemieckich, rosyjskich i czeskich. Mieszkali w niej także Anglicy, Duńczycy i Holendrzy. Do miasta przybywali w poszukiwaniu lepszego bytu, znalezienia swojego „miejsca na ziemi". Powoli zapuszczali korzenie i czuli się łodzianami. Żyli i rozwijali się wraz z miastem.

Podczas II wojny światowej wiele łódzkich rodzin zginęło, wiele rozproszyło się po świecie. Pozostał po nich jednak trwały, materialny ślad.

Są rodziny, które dzieje swoich przodków skrzętnie notowały w domowych kronikach. Są i takie, które niedawno postanowiły spisać losy pradziadków i nie żałują na poszukiwania dokumentów i innych śladów przeszłości czasu i pieniędzy.

Rodzinne kroniki są dla krewnych bezcenną pamiątką, dla historyków, etnologów i archiwistów ważnym źródłem naukowym, a dla Czytelników lekcją dziejów miasta, oraz pokory i szacunku wobec przeszłości i zawiłości ludzkich losów.

W poprzednim numerze redakcja „Kroniki Łódzkiej „ zwróciła się do łodzian z prośbą o udostępnienie nam rodzinnych zapisków. Chętnie opublikujemy ich fragmenty na łamach naszego pisma.

Dziś otwieramy karty kroniki rodu Kopczyńskich, spisane w ostatnich latach przez Bronisławę Kopczyńską-Jaworską. Posłużyły nam do prześledzenia dziejów tej licznej, oddanej Łodzi rodziny.

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Czesko – niemiecka rodzina polska

Kopczyńscy

„Historia przybycia Kopczyńskich i rodziny naszej Babci, Wróblewskich, do miasta może służyć za wręcz podręcznikową ilustrację rozwoju kapitalizmu w Polsce" – tak napisała Bronisława Kopczyńska-Jaworska w opisie dziejów swojej rodziny.

Kopczyńscy pochodzili ze zubożałej szlachty i przyjechali do Łodzi w poszukiwaniu pracy. Pierwsze wzmianki o rodzinie znajdziemy w Księdze Ludności Stałej m. Łodzi. (Księga ta była prowadzona od 1843 r.) Zapisano w niej, że młynarz Ignacy Kopczyński urodzony 22 października 1822 roku w Izbicy Kujawskiej, syn Jana i Józefy posiadał przy ul. Piotrkowskiej 93 wiatrak i mały domek. Posesja sięgała aż do ulicy Wólczańskiej, przy której stał wspomniany wiatrak, aby zgodnie z przepisami nie zakłócać wiejskim wyglądem wystroju głównej ulicy miasta. Kilka lat później w Księdze odnotowano przyjazd do miasta brata Ignacego-Franciszka Kopczyńskiego, z zawodu kupca. Obydwaj bracia ożenili się z cudzoziemkami, których rodziny także osiedliły się w Łodzi, mając nadzieję na poprawę bytu.

Żoną Franciszka została Maria Lorbacher -Niemka, żoną Ignacego – Antonina Toma – Czeszka. Więcej uwagi poświęcimy Antoninie, gdyż to ona właśnie wpłynęła na późniejsze losy rodziny. Urodziła się w 1825 roku w Czechach. Nie pamiętała jednak swojej „pierwszej" ojczyzny, gdyż jako roczne niemowlę przyjechała w rodzicami i braćmi do Łodzi. Rodzina zamieszkała w czeskiej dzielnicy (w okolicach obecnej ul. Przybyszewskiego) zwanej Szlezyngiem. W jakich okolicznościach panna Antonina poznała przyszłego męża – nie wiadomo. Można jednak obliczyć, że pobrali się miedzy 1850 a 1851r., i to za posag żony Ignacy zakupił ów holenderski wiatrak. Pieniądze z przemiału zboża pozwalały pradziadkowi utrzymać liczną rodzinę. Małżeńska para doczekała się sześciorga dzieci. Najstarszy, Jakub zginął w dzieciństwie w wypadku, a średni syn Franciszek na wojnie bałkańskiej. Rodzice wychowali więc Józefa urodzonego w 1852 roku, Walentego ur. w 1856, Mariannę ur. w 1860 i Jana przyszłego na świat w 1866 r. Dwóch braci – Józef i Jan wybrało kariery pedagogiczne. Józef praco-

wał w czteroklasowej szkole przy ul Sienkiewicza 30. Był dwukrotnie żonaty i doczekał się siedmiorga dzieci. Po 1904 r. przerwał pracę w szkolnictwie i zajął się prowadzeniem piekarni przy Piotrkowskiej 93. Z ocalonego listu przyjaciela Marcellego Kozłowskiego do Józefa można się domyślać, iż grono jego przyjaciół – nauczycieli miało literackie i filozoficzne zainteresowania, znali język niemiecki na tyle dobrze, żeby czytać Goethego w oryginale i pasjonować się poezją. Zapewne Józef podzielał te zainteresowania i fizyczna nocna praca w piekarni nie odpowiadała jego aspiracjom.

Jan również pracował w szkole nr 16 przy ul. Sienkiewicza, w której uczył starszy brat. W 1894 r. został przeniesiony do szkoły nr 15. Solidarnie z kolegami nauczycielami podpisał w 1898 r. podanie do naczelnika dyrekcji oświatowej o podwyżkę poborów. Mając zaledwie 34 lata zmarł. Osierocił syna Stefana – późniejszego lekarza.

Jedyna córka Antoniny i Ignacego – Marianna poślubiła Adalberta Faltzmana z rodziny czeskich tkaczy. Ta liczna familia (dalbert miał dziewięcioro rodzeństwa) była w Łodzi dobrze znana. Stosowała jednak różną pisownię swego nazwiska, co utrudnia ustalenie jej genealogii. Bronisława Kopczyńska-Jaworska przypuszcza, że dalekim krewnym był proboszcz kościoła ewangelicko – augsburskiego w Zgierzu, pastor Aleksander Faltzmann, zamęczony przez hitlerowców podczas ostatniej wojny.

Pradziadek Ignacy, podobnie jak jego ojciec Jan, był wesoły, lubił się bawić, tańczyć i wypić. W 1869 r. powrót z hulanki przepłacił życiem. Podchmielony postanowił nocować w stodole. Noc była zimna, przeziębił się i umarł. Miał zaledwie 47 lat. Owdowiała Antonina okazała się praktyczną i dzielną kobietą. Za pożyczone od brata pieniądze założyła w domku przy Piotrkowskiej piekarnię i dzięki pomocy brata

Franciszka oraz synów wypiekała chleb i bułki. Nie posiadała uprawnień rzemieślniczych, miała jednak kobiecą intuicję i kiedy policmajster wezwał ją do siebie, poczęstowała go bułeczkami z własnej piekarni. Tak jak sądziła natychmiast otrzymała uprawnienia.

Z dzieci Antoniny i Ignacego najbardziej zaważył na przyszłości rodziny syn Walenty – inteligentny, energiczny i pełen fantazji. Mimo czesko-niemieckich powiązań rodzinnych uważał się za Polaka, co przez całe życie podkreślał.

20 kwietnia 1880 r. poślubił Bronisławę Wróblewską. Młoda żona w chwili ślubu miała 17 lat (ąż był o 6 lat starszy), pochodziła z rodziny łódzkich tkaczy. Wywodzący się z Ujazdu ojciec Bronki terminował u sukienników w Tomaszowie Mazowieckim. Po przyjeździe do Łodzi zatrudnił się u Scheiblera, a następnie przeniósł się do Poznańskiego, u którego przepracował jako majster 30 lat.

Spójrzmy jak wyglądała ówczesna organizacja pracy. Jan Wróblewski, czyli „majster salowy" opiekował się 60 warsztatami, a dwa warsztaty obsługiwał jeden robotnik. Zwierzchnikiem majstra był „obejmajster".

Jan rozpoczynał pracę o godz. 6.00, a o 8.00 jadł śniadanie: dwie bułki, które popijał osłodzoną kawą z mlekiem. O 12.00 przerywał pracę na trwający godzinę obiad, na który szedł do domu. Po południu przynoszono mu podwieczorek: dwie pajdy (oryginale kroniki – „sznytki") chleba z masłem, kawałek kiełbasy i butelkę piwa. Wiktuały do fabryki zanosiła ojcu córka Bronka. Widać z tego, że pożywienie majstrów było niezbyt urozmaicone, ale za to kaloryczne. Posiłki spożywali także bardzo regularnie, o stałych godzinach.

Emerytura w tamtych czasach zdarzała się sporadycznie, a jednak Jan Wróblewski otrzymywał taką od pracodawcy w wysokości 28 rubli miesięcznie.

W tej gałęzi rodu także znaleźli się czescy i niemieccy krewni, głównie w linii żeńskiej.

Żona Jana Wróblewskiego – Teresa z domu Plana miała ojca Franciszka – Czecha z Kutnej Hory i matkę Elisabeth – Niemkę z Kurlandii. W domu Planów rozmawiano po niemiecku, w domu Wróblewskich po niemiecku i po polsku. Dodajmy, że Teresa Plana była ewangeliczką i przeszła na katolicyzm po ślubie z Janem Wróblewskim.

Z tego mieszanego polsko-czesko-niemieckiego związku urodziło się sześcioro dzieci. Jedną z czterech córek była Bronisława – późniejsza Walentynowa Kopczyńska.

Bronka przekazała wnukom obraz Łodzi z czasów swego dzieciństwa. Jako dziecko mieszkała z rodzicami w drewnianym domku przy ulicy Dzielnej (obecnie Narutowicza) na wprost Sienkiewicza. Domek miał po trzy okna z każdej strony bramy i mały ogródek. Takie niewielkie domki stały wzdłuż całej ulicy i przy Piotrkowskiej, widocznej z ogrodu. Po obu stronach ulicy wykopano głębokie rowy, a domownicy wchodzili do mieszkań po drewnianych kładkach.

Wróblewscy często zmieniali mieszkania, żeby ojciec miał bliżej do pracy. Dlatego z Dzielnej przenieśli się na Wodny Rynek, a potem na Konstantynowską (obecnie Legionów). Mieszkali w jednej dużej izbie, której całe umeblowanie stanowiły trzy łóżka, kozetka, szafa na ubranie i szafa kuchenna. Kolejne mieszkanie znajdowało się na Starym Mieście nad rzeką Łódką w fabrycznym domu przeznaczonym dla majstrów. Z tamtej okolicy w pamięci Bronisławy Wróblewskiej utkwiły stragany nad Łódką pełne wstążek, haftów i innych kuszących dla dziewcząt drobiazgów. Handlowali tam wyłącznie Żydzi.

Jak wyglądała w tamtych czasach edukacja dziewczynek? Powszechnie uważano, że wykształcenie nie jest im potrzebne. Bronka uczyła się do dwunastego roku życia w rosyjskiej szkole przy ul. Konstantynowskiej, natomiast bracia kształcili się w szkołach państwowych: Alfons w handlowej, Teofil w przemysłowej.

Rozrywki młodych były nader skromne. W czwartki i w niedziele odwiedzali panny kawalerowie. Walenty Kopczyński kiedy zakochał się w Bronce też przychodził na towarzyskie spotkania. W zamożniejszych, a przede wszystkim większych domach, w których mieszkały panny na wydaniu organizowano „tańcujące wieczorki".

Ślub Walentego Kopczyńskiego i panny Bronisławy Wróblewskiej odbył się 20 kwietnia 1880 r. w kościele św. Józefa, który stał w miejscu obecnego murowanego kościoła Najświętszej Marii Panny.

17-letnia panna młoda ubrana była jak zwyczaj nakazywał w białą suknię z kamlotu z jedwabnym przybraniem wokół szyi, na głowie miała wianek i długi, aż do ziemi welon. Pan młody wystąpił w czerni. Przed wyjazdem do kościoła rodzice pobłogosławili młodą parę, która pojechała do ślubu dorożką w towarzystwie trzech znajomych par. Po powrocie powitano ich chlebem i solą, a obiad weselny o godzinie 22.00 zorganizowano w domu, przeznaczając na ten cel dwa pomieszczenia, gdyż uczynni sąsiedzi udostępnili nowożeńcom swój pokój. Ponieważ zaproszono muzykantów, można przypuszczać, że w programie były również tańce.

Uchylmy rąbka tajemnicy i zobaczmy, co otrzymała panna młoda w wyprawie ślubnej. Otóż od rodziny: 6 bawełnianych koszul, ręczniki, prześcieradła i pierzynę. Od gości: drewnianą kołyskę, kapę na łóżko, obrusy, żelazko, moździeż, mosiężne lichtarze i liny do wieszania bielizny.

Jak wieść rodzinna niesie pan młody był niezmiernie zakochany w żonie, ona znacznie mniej, ale wówczas nie pytano młodych dziewcząt o stan ich uczuć. Małżonkowie zamieszkali w domu przy ulicy Piotrkowskiej 93. Bronka „starała się", czyli opiekowała czeską teściową Antoniną, która straciła wzrok. W tym domu przyszły na świat wszystkie dzieci tej pary, a była ich spora gromadka – cztery córki: Helena, Zofia, Bronisława i Jadwiga, oraz czterech synów: Józef, Walenty, Stanisław i Jan.

W 1894 r. Walenty zbudował, od frontu posesji przy ulicy Piotrkowskiej, dwupiętrowy dom według projektu Hilarego Majewskiego. Powiększył również

piekarnię w oficynie. Piekarnia nieźle prosperowała i zapewniała utrzymanie licznej rodzinie. Mąż Bronisławy miał niskie wykształcenie, ale wrodzoną inteligencję, energię i wiele inicjatywy. Marzył, aby zbudować w Łodzi nowoczesną, dużą piekarnię według ostatnich rozwiązań technicznych.

Marzenie swoje Walenty zrealizował w 1900 roku. Wcześniej przy ulicy Juliusza pod numerem 31 (obecnie Dowborczyków) zakupił dwa place za 17 tysięcy rubli. Niestety nie dysponował tak znaczną sumą (łasnych pieniędzy miał tylko 5 tysięcy), a pozostałą kwotę pożyczył od znajomych. Jeszcze więcej, bo aż 95 tysięcy rubli kosztowała sama piekarnia wraz z wyposażeniem. Walenty sam opracował plany, a budowę powierzył Pawłowi Holzowi. Zaciągnięte długi spłacano przez dziesięć lat – do 1910 r.

„Pierwsza Łódzka Piekarnia Mechaniczna – Walenty Kopczyński" była wyposażona w maszyny i piece polskiej produkcji z firmy Warchałowski, a kolejne urządzenia właściciel kupił w Wiedniu w firmie Pfeider. W piekarni bardzo dbano o higienę. Hale produkcyjne wyłożone białymi kafelkami, w szatni zainstalowano prysznice, czeladnicy nosili białe płócienne ubrania i marynarskie trykotowe koszulki.

Przy piekarni czynny był sklep w którym oprócz pieczywa sprzedawano mleko i masło sprowadzane z majątku spod Rzgowa. Obok bramy frontowej umieszczono kantorek, gdzie prowadzono rachunki.

Piekarnia była czynna przez 7 dni w tygodniu z wyjątkiem Świąt Bożego Narodzenia. Pracowano w nocy, aby o 5 rano rozpocząć wysyłkę świeżego pieczywa. Dziennie wypiekano około 2 ton pieczywa. Chleb i bułki rozwożono po Łodzi 6 furgonami. W piekarni pracowało 20 osób: czeladnicy, terminatorzy, oraz parobcy zajmujący się końmi i rozwożący pieczywo.

Pracownicy piekarni byli w różnym wieku, często samotni dlatego mieszkali i żywili się u właściciela. Parobcy doglądający koni mieszkali nad stajnią.

Życie w tym wielkim domu płynęło ustalonym rytmem. Czas dzielono między pracę i odpoczynek. Jedną z rozrywek były sobotnie potańcówki dla młodzieży. W salonie do tańca przygrywał wynajęty pianista. Po zabawie częstowano gości kolacją. Walenty zakupił także prawdziwy stół bilardowy, z którego często korzystali zapraszani goście. Bronisława z dorastającymi dziećmi bywała w teatrze na ulicy Konstantynowskiej, oraz w Operetce. W niedzielę Kopczyńscy wybierali się do Helenowa, gdzie w ogrodzie koncertowała orkiestra dęta. Atrakcją Ogrodu były stawy, łódki i niewielki ogród zoologiczny. Teren rekreacyjny był ogrodzony, a wstęp płatny.

Wiosną i latem jeżdżono na majówki do dzisiejszego Parku 3 Maja i do lasu Milscha, przy końcu ulicy Milscha 9 (obecnie Kopernika). Umawiano się ze znajomymi, a cała rodzina jechała powozem z zapasami prowiantu. Wakacje spędzano niedaleko Łodzi na tak zwanym letnisku: w Żabieńcu, Kolumnie, Wiśniowej Górze, lub we Włodzimierzowie. Od 1904 r. rodzina Kopczyńskich przez kilka lat z rzędu wypoczy-

wała na letnisku w Rogowie. Właściciel Rogowa Wilski wybudował tam kilka domków letniskowych. Na wakacje zabierało się całe wyposażenie z Łodzi... i kucharkę. Odpoczywały tam zwykle żony z młodszymi dziećmi, a mężowie dojeżdżali na niedzielę. Przyjeżdżali także zaproszeni goście.

Na miarę swoich możliwości dbano o zaspokojenie potrzeb intelektualnych. Rodzina prenumerowała gazety i czasopisma: „Wolną Myśl", dla dzieci „Przyjaciela Dzieci „ i „Wieczory Rodzinne", a dla kobiet „Bluszcz". „ Czytano także „Tygodnik Ilustrowany". Nabywano także gazetę niemiecką, w której często ukazywała się reklama piekarni. Rodzice kupowali dzieciom książki, nie zawsze jednak orientowali się w odpowiedniej dla ich wieku lekturze. W domu nie było również nawyku głośnego czytania książek dzieciom.

Święta obchodzono skromnie. Choinkę strojono w bombki i papierowe łańcuchy. Dzieci wycinały same z papieru figurki do szopki. Do kolacji wigilijnej, zgodnie ze zwyczajem, zasiadano wieczorem. Dzielono się opłatkiem, spożywano tradycyjne wigilijne potrawy m. in. ryby, które podawano tylko podczas świąt. Pod choinką dzieci znajdowały prezenty: lalki, gry, książeczki.

Walenty Kopczyński miał rozległe zainteresowania. Grał na skrzypcach, przez pewien czas śpiewał w kościelnym chórze, interesował się polityką, chodził – jeśli mu czas pozwalał – na odczyty i wiece. Był towarzyski i w domu przy Juliusza często zapraszał panów na partyjkę preferansa i grę w bilard.
Najwięcej jednak czasu i serca poświęcał Ochotniczej Łódzkiej Straży Ogniowej. Przez wiele lat był wicekomendantem straży. Brał udział w każdym gaszeniu pożaru. Jako komendant, Walenty miał zainstalowany w domu jeden z pierwszych telefonów w Łodzi. Tworząc rodzinną tradycję w Straży Pożarnej udzielali się także synowie Jan i Stanisław. Ojciec dbał, aby uprawiali sporty, należeli do Towarzystwa Cyklistów, a później do „Sokoła".

W rękach rodziny Kopczyńskich piekarnia pozostawała do II wojny światowej. Po wojnie piekarnię przejęło PSS „Społem". Na początku lat 90-tych rodzina odzyskała zakład i wydzierżawiła go firmie Polpain Dakri.

Nazwisko Kopczyńskich łączy się także z łódzkim, a właściwie polskim przemysłem transformatorowym. W 1916 r. jedna z córek Walentego Bronisława (imię to było popularne w rodzinie) wyszła za mąż za Stanisława Jaroszyńskiego. Rok później Stanisław wraz z bratem Feliksem założyli przy ulicy Juliusza mały warsztat etektrotechniczny. W 1920 r. przenieśli się do większego lokalu przy ul. Przejazd 58 (obecnie Tuwima) wydzierżawionego od łódzkiej Elektrowni. W warsztacie zaczęto produkować asynchroniczne silniki elektryczne. W 1922 r. wytwórnię przekształcono w spółkę akcyjną pod nazwą „Elektrobudowa" – Wytwórnia Maszyn Elektrycznych. W 1923 r. bracia Jaroszyńscy dookoptowali do współpracy Walentego Kopczyńskiego – juniora, który został kierownikiem technicznym. W 1926 r. fabryka zatrudniała już 40

pracowników i mieściła się przy ulicy Kopernika 56/58. Była to pierwsza polska fabryka transformatorów, produkująca maszyny według projektów polskich inżynierów. Fabryka prężnie się rozwijała. W 1939 r. personel liczył już 260 robotników, 28 pracowników umysłowych i 4 inżynierów. Przez wszystkie działy przeszedł w fabryce stryja, po ukończeniu studiów w Warszawie inżynier Zbigniew Kopczyński – syn Stanisława, który już przed wojną objął w firmie stanowisko konstruktora transformatorów. Podczas wojny fabrykę przejęła niemiecka firma „Hanstill Elekrowerke" z Hamburga. Po wojnie Elektrobudowę upaństwowiono i na jej bazie powstała później słynna ELTA. Obecnie fabryka została sprzedana szwedzkiej firmie Brown-Boveri S. A.

Inżynier Zbigniew Kopczyński – dziś 91 letni senior rodu przepracował w fabryce 55 lat, aż do 1991 r. Do dziś mieszka z żoną Jolą w domu przy ul. Dowborczyków 31. W tym samym domu w którym się urodził i w którym jego dziadek otworzył piekarnię.

Dziś dom opustoszał. Z licznych niegdyś lokatorów pozostała jeszcze wdowa po Tadeuszu Kopczyńskim Maria z córką Agatą, a w oficynie ma kancelarię adwokacką córka Barbary Kopczyńskiej i Andrzeja Jaklicza – Elżbieta. Po podwórzu roznosi się zapach świeżego chleba, gdyż piekarnia nadal prężnie pracuje.

Szkoda, że na murze domu nie ma skromnej tablicy informującej: „Tu mieściła się pierwsza mechaniczna piekarnia w Łodzi."

Małgorzata Golicka – Jabłońska
foto: archiwum rodziny Kopczyńskich

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Z łódzkiego raptularza

LIPIEC

2 lipca

➔ Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki jako pierwszy szpital w Polsce postanowił wypuścić obligacje, aby zmniejszyć zadłużenie. Łódzka „Matka Polka" ma na koncie 60 mln. długów.

3 lipca

➔ Po raz dwunasty łódzki oddział PAN i Konferencja rektorów państwowych uczelni wyższych w Łodzi przyznały nagrody naukowe dla młodych badaczy. Laureatami zostali: Joanna Puławska z Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach, Łukasz Puławski z Katedry Biofizyki Molekularnej UŁ, Bogna Rudolf z katedry Chemii Organicznej UŁ i Marzena Pazgier z Instytutu Biochemii Technicznej PŁ. Nagrodzono również Dominika Połońskiego - wiolonczelistę z Akademii Muzycznej.

➔ Ewa Pilawska - dyrektor Teatru Powszechnego otrzymała nagrodę specjalną od Loży Przyjaciół Teatru Powszechnego. Za budowanie wizerunku teatru, akcję „Czytamy dzieciom" i za szacunek dla publiczności .Nagrodę aktorską otrzymał od Loży Jacek Łuczak.

➔ Mirosław Marcisz b. wicewojewoda łódzki jest podejrzany o kierowanie grupą przestępczą i wyprowadzenie z zakładów farmaceutycznych Aflopa 10 mln. zł.

➔ Do Łodzi przybyły Misjonarki Miłości Matki Teresy z Kalkuty. Władze miasta przekazały im budynek przy ul. Kilińskiego 206.Siostry założą tam przytulisko dla najbardziej potrzebujących pomocy.

➔ Na Politechnice Łódzkiej powstał prototyp robota kardiochirurgicznego stosowanego przy operacjach serca. W Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii prof.

Z. Religi w Zabrzu robot przejdzie serię testów. Jeśli wypadną pomyślnie urządzenie za trzy lata trafi do polskich szpitali.

9 lipca

→ Podczas sesji Rady Miejskiej nieomal jednogłośnie przegłosowano uchwałę w sprawie uczczenia pamięci ofiar łódzkiego getta. Rada Miejska zadeklarowała, że na wykonanie projektu może przeznaczyć milion złotych.

11 lipca

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki wydał zarządzenie w sprawie konkursu „O srebrną podkówkę". Nagrodę otrzyma najbardziej skuteczny patrol pieszy. Oceniani będą policjanci, strażnicy miejscy i ochroniarze. Konkurs rozpocznie się 1 sierpnia 2003 i trwać będzie do końca marca 2004. Pomysłodawcą konkursu był wiceprezydent Karol Chądzyński.

→ Gmach, w którym mieści się Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi został wybudowany w 1856 r. W lipcu br. rozpoczęto prace remontowe nad frontową ścianą budynku .Na gruntowną modernizację wnętrza dostosowaną do potrzeb nowoczesnego muzealnictwa i wygody widzów trzeba będzie poczekać i pozyskać niezbędne fundusze.

16 lipca

→ „Z tradycji rodzinnej. Ceramika Janiny, Katarzyny, Stanisława Koniecznych" - to tytuł wystawy oryginalnej, otwartej w lecie w Muzeum Włókiennictwa.

→ Lekarze i informatycy ze szpitala im. Barlickiego w Łodzi opracowali system archiwizacji obrazów diagnostycznych. Na komputerach będzie można obejrzeć wyniki USG, tomografii komputerowej, rezonansu magnetycznego i zdjęcia rentgenowskie nawet sprzed kilku lat. Wyniki będą zapisywane na twardym dysku i płytach CD.

17 lipca

→ Łódź odwiedziła delegacja merostwa partnerskiego miasta Lyonu. Członkowie delegacji rozmawiali z prezydentem Jerzym Kropiwnickim o obchodach 60 rocznicy likwidacji łódzkiego getta, powołaniu centrum promocji mody, oraz zwiedzili plac budowy Manufaktury na terenie fabryki Poznańskiego.

19 lipca

→ Artysta fotografik Tomek Sikora pracujący od 1996 r. w Australii wykonał w łódzkim kinie „Cytryna" zdjęcia do planowanej wystawy „Nie do wiary - do pary". Z fotografii twarzy dwóch osób artysta tworzył jedną.

21 lipca

→ W Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi otwarto wystawę modeli sprzętu wojskowego. Znani modelarze prezentują na niej kartonowe i plastikowe modele samolotów, okrętów, broni pancernej oraz sceny batalistyczne w skali 1: 9 i 1: 400.

22 lipca

→ Firma piekarnicza DAKRI Bis otrzymała zezwolenie na działalność w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Firma zobowiązała się do remontu hali z zabytkowymi beczkami Grohmana przy ulicy Targowej.

→ Podczas lata codziennie o godzinie 12.00 przy ławeczce Tuwima fotoreporter „Gazety Łódzkiej" fotografował turystów z kraju i zagranicy, oraz łodzian. Następnego dnia zdjęcie ukazywało się w Gazecie.

24 lipca

→ Rektor Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr hab. Wiesław Puś podpisał z Amerykanami umowę offsetową. Stronę amerykańską reprezentowali: ambasador USA w Polsce, Christopher Hill i Joel Viggins z Uniwersytetu w Austin. Ze strony polskiej był obecny - premier Leszek Miller i minister nauki -Michał Kleiber. Wartość umowy jest utajniona.

→ W IV kwartale 2003 r. rozpocznie w Łodzi działalność Centrum Usług Księgowych stu europejskich zakładów należących do koncernu Philips. Umowę podpisali w Łódzkim Urzędzie Wojewódzkim Bogdan Rogala - prezes Philips Polska i wiceminister gospodarki-Andrzej Szejna. W nowej placówce znajdzie zatrudnienie 500 specjalistów.

25 lipca
→ W galerii Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego prezentowane były zdjęcia wykonane przez członków Koła Fotograficznego ze Schroniska dla Bezdomnych Mężczyzn

29 lipca
→ w 580 rocznicę nadania Łodzi praw miejskich na frontowej ścianie Urzędu Miasta Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 104 odsłonięto pamiątkową tablicę upamiętniającą nadanie Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II honorowego obywatelstwa miasta Łodzi. Na tablicy umieszczono słowa papieża skierowane do delegacji miasta, która 27 maja przekazała w Watykanie akt prawny, symboliczne klucze do miasta i pierścień z herbem Łodzi.

Personalia

7 lipca
→ W Urzędzie Miasta prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki uroczyście wręczył Grzegorzowi Królikiewiczowi oficjalną nominację na dyrektora artystycznego Teatru Nowego. Tym samym zamknięto trwający pół roku spór wokół kandydatury dyrektora artystycznego.
→ Wiceprezydent m. Łodzi Marek Pyka poddał się do dymisji, ponieważ jednocześnie z pełnieniem funkcji w Urzędzie prowadził działalność gospodarczą. Pyka objął stanowisko prezesa Wodociągów i Kanalizacji. Nowym wiceprezydentem miasta został Marek Michalik.

SIERPIEŃ

3 sierpnia
→ Tego dnia wyruszył na turystyczna trasę po Łodzi tramwaj linii „O" zbudowany w 1960 r. Chętnych na przejażdżkę zorganizowaną dzięki Klubowi Miłośników Starych Tramwajów było tak wielu, że zdecydowano się powtórzyć wycieczki przez cały sierpień i wrzesień.
→ Anna i Jacek Lewkowscy otrzymali z Ministerstwa Kultury dotację finansową na inwentaryzację polskiego cmentarza w Żółkwi. Wspólnie z Wojciechem Walczakiem b. konserwatorem zabytków w Łodzi zbadali już polskie nekropolie na Białorusi i na Litwie. Są grupą niezależną, nie powiązaną z żadną uczelnią.

➔ Łódzcy archeolodzy odkryli pod Bełchatowem pierwszą w Polsce odkrywkową kopalnię wapienia i pozostałości po osadzie sprzed półtora tysiąca lat.

8 sierpnia

➔ W Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto wystawę prac Leona Wyczółkowskiego, Leszka Wyczółkowskiego i Lynn Huntley- Wyczółkowski. Wystawę przywieziono z Muzeum Narodowego w Krakowie.

18 i 19 sierpnia

➔ Na wniosek prezydenta Jerzego Kropiwnickiego łodzianie wzieli udział w sondażu na temat organizowania w mieście Parady Techno. Referendum wykazało, że mieszkańcy miasta życzą sobie parady. W tym roku parada nie odbyła się.

27 sierpnia

➔ Tragicznie zakończyła się wyprawa dookoła Polski trzech łódzkich riksiarzy. Wyruszyli z Łodzi 4 sierpnia z zamiarem pobicia rekordów i wpisania do Księgi Guinessa. W drodze powrotnej , niedaleko Siedlec na rikszę Adama Bieleckiego najechał samochód osobowy.19-letni Adam zginął na miejscu pozostali członkowie wyprawy zostali ranni.

31 sierpnia

➔ „Wieczór Trzech Króli" W. Szekspira w reżyserii Bogusława Kierca otworzył nowy sezon w Teatrze „Logos", znajdującym się przy Duszpasterstwie Środowisk Twórczych. Ruch sceniczny opracowała Ewa Wycichowska.

Personalia

29 sierpnia

➔ Artur Ostrowski , szef SLD w Piotrkowie Trybunalskim, absolwent dziennikarstwa, radny, nauczyciel historii w szkole średniej otrzymał nominację na wicewojewodę łódzkiego. Jest odpowiedzialny za politykę regionalną, migracje i kuratorium.

WRZESIEŃ

5 września

➔ W Łódzkim Domu Kultury otwarto wystawę fotografii „Łodzianie na przełomie wieków".Autorami byli etnolodzy : Ewa Karpińska (Katedra Etnologii UŁ), Alicja Woźniak,(Muzeum Archeologiczno- Etnograficzne w Łodzi) oraz artysta plastyk Zbigniew Janeczek. Z organizatorami współpracował Michał Urbański. Sponsorem był Wydział Kultury i Ochrony Zabytków Urzędu m. Łodzi. Na wystawie pokazano zdjęcia ze zbiorów muzealnych i prywatnych kolekcji łodzian.

➔ W kościele salezjanów w Lutomiersku zakończył się IV festiwal „Kolory Polski", którego głównym organizatorem była Filharmonia Łódzka. W finałowym koncercie wystąpili członkowie Scholi Teatru Wiejskiego „Węgajty" w repertuarze średniowiecznych pieśni z XII w. Honorowy patronat nad Festiwalem sprawowała wicemarszałek województwa łódzkiego - Krystyna Ozga.

6 września

➔ Rozpoczęło nadawanie „Dobre Radio" - nowa stacja radiowa na Teofilowie, wg pomysłu Jacka Klepackiego. Nowa stacja będzie nadawała program skierowany głównie do kobiet.

6-7 września

➔ Podczas dwudniowego Święta Ziemi Łódzkiej na ulicy Piotrkowskiej i Starym Rynku odbył się Jarmark na którym samorządy, firmy i instytucje prezentowały m.in. zdrową żywność, agroturystykę i folklor.

13 września

➔ Po czterech latach modernizacji udostępniono łodzianom Palmiarnię zbudowaną w 1925 r.

14 września

Rozpoczął się II Festiwal Dialogu Czterech Kultur, skromniejszy niż w ubiegłym roku, ale wierny koncepcji pomysłodawców.

15 września

→ Ogród Botaniczny w Łodzi obchodził jubileusz 30-lecia. Placówka prowadzi bogatą kolekcję roślin, w tym Narodową Kolekcję Róż liczącą ponad 90 odmian. W skład Ogrodu wchodzi także Palmiarnia w Parku Źródliska - udostępniona zwiedzającym po generalnym remoncie. Jubileusz Ogrodu uczczono międzynarodową konferencją naukową poświęconą ochronie i popularyzacji roślin ze strefy klimatu ciepłego.

16 września

→ Dariusz Chętkowski - polonista i nauczyciel etyki w XXI LO w Łodzi - zdobył I nagrodę w Poznańskim Przeglądzie Nowości Wydawniczych za książkę: „Czy spuścić ucznia z łańcucha"?

17 września

→ Niespodziewanie zmarła mec. Bożenna Banasik, dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Łodzi, znacząca postać polskiej adwokatury, przewodnicząca Komisji Praw Człowieka NRA, prezes Instytutu Praw Człowieka.

19 września

→ Na premierę „Starej baśni" - najnowszego obrazu Jerzego Hoffmana - przyjechali do Łodzi odtwórcy głównych ról: Małgorzata Foremniak, Ewa Wiśniewska, Michał Żebrowski oraz realizatorzy filmu.

20 września

→ Zmarł prof. dr Władysław Reimschüssel, b. kierownik Katedry Chemii Fizycznej, długoletni zastępca dyrektora Międzyresortowego Instytutu Chemii Radiacyjnej Politechniki Łódzkiej, wybitny organizator badań naukowych, wychowawca wielu pokoleń chemików.

22 września

→ W sali lustrzanej Muzeum Historii Miasta Łodzi odbyła się uroczysta inauguracja roku kulturalnego 2003/2004 z udziałem prezydenta miasta Jerzego Kropiwnickiego i marszałka województwa łódzkiego Mieczysława Teodorczyka. Zasłużeni twórcy kultury zostali uhonorowani odznaczeniami i dyplomami. Następnie wysłuchali koncertu w wykonaniu zespołu Rubinstein Quartet.

➔ Dziesięć lat temu powstało IFE czyli Centrum Kształcenia Międzynarodowego Politechniki Łódzkiej. W Centrum można studiować kierunki techniczne oraz organizację i zarządzanie. Wszystkie zajęcia odbywają się w języku francuskim i angielskim. W Centrum studiują zarówno Polacy jak i cudzoziemcy.

27 września

➔ W Teatrze Powszechnym odbyła się premiera „Pieknej Lucyndy" Mariana Hemara w reżyserii i choreografii Eugeniusza Korina.

➔ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto międzynarodową wystawę tkanin artystycznych. Jest to wystawa objazdowa. Do Łodzi dotarła z Görlitz.

➔ Janusz Gajos będzie w nowym roku akademickim prowadził zajęcia na wydziale aktorskim w łódzkiej filmówce.

➔ W Łodzi powstało nowoczesne Telefoniczne Centrum Obsługi Klienta, należące do sieci Era, w którym znalazło zatrudnienie 115 osób. Całe Centrum zatrudni 400 pracowników. W otwarciu uczestniczył premier Leszek Miller.

30 września

➔ W kościele o.o. jezuitów przy ulicy H. Sienkiewicza rozpoczął się I Festiwal Sakralny dla uczenia srebrnego jubileuszu pontyfikatu Jana Pawła II. W 1960 r. bp. Karol Wojtyła prowadził w tym kościele rekolekcje akademickie. W programie obok wybitnych dzieł muzyki klasycznej, znalazły się popularne utwory i pieśni oazowe w wykonaniu scholi. Wykonawcy zrzekli się honorariów, a datki od widzów przeznaczono na remont kościoła.

Personalia

1 września

➔ Grażyna Wasilewska b. dyrektor Teatru Nowego została powołana z dniem 1 września przez Zarząd Województwa Łódzkiego na stanowisko dyrektora Teatru Wielkiego w Łodzi. Zbigniew Lasocki - dyrektor naczelny Filharmonii Łódzkiej i Marek Pijarowski- dyrektor artystyczny zostali zatrudnieni na czas nieokreślony.

12 września

➔ Dr Krzysztof Wąsowicz dotychczasowy wiceprezes MPK w Krakowie został powołany na stanowisko prezesa Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Łodzi na miejsce Pawła Dziwisza.

➔ Dr Piotr Okoński został dyrektorem Klinicznego Szpitala Uniwersyteckiego w Łodzi.

16 września

➔ Tomasz Rosset b. dyrektor PLL Lot w Łodzi wygrał konkurs na dyrektora zarządzającego Radiem Eska Łódź.

➔ Maria Maciaszczyk - dotychczasowa dyrektor Biura Partnerstwa i Funduszy UMŁ objęła stanowisko prezesa i dyrektora generalnego Międzynarodowych Targów Łódzkich. Poprzedni prezes Piotr Oleś pozostał członkiem Zarządu.

20 września

➔ Paweł Osiborski szef Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Łodzi został wiceprzewodniczącym Rady Pomocy Społecznej przy ministrze Gospodarki i Pracy.

PAŹDZIERNIK

1 października

➔ Na Uniwersytecie Łódzkim przystąpiło do nauki 9 tysięcy studentów.

Podczas inauguracji doktoraty honoris causa przyznano prof. prof. Ronaldowi Langackerowi - językoznawcy z USA i Denisowi Sinou- chemikowi z Francji.

➔ Referendum przeprowadzone w mieście wykazało, ze łodzianie chcą, aby sklepy przy ulicy Piotrkowskiej były otwarte dłużej.

➔ Uczniowie XXX LO rozpoczęli akcję Book crossing" czyli celowego „gubienia książek". Zgodnie z regułą gry po przeczytaniu należy książkę zgubić ponownie, aby znalazł ją nowy czytelnik.

2 października

➔ Podniosłym momentem inauguracji nowego roku akademickiego na Politechnice Łódzkiej było nadanie doktoratów honoris causa prof. prof. Tsuned Someya z Japonii

i Marianowi Mikołajczykowi z Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi. Na wszystkich kierunkach studiów kształci się na Politechnice 20 tysięcy studentów.
➔ Rozpoczęły się uroczystości związane z obchodami 60-ej rocznicy likwidacji getta w Łodzi. Prezydent miasta Jerzy Kropiwnicki podkreślił, znaczenie tej historycznej rocznicy dla Łodzi, w której pozostało najwięcej materialnych śladów związanych z tragedią Holokaustu.
➔ Podczas uroczystości w Muzeum Historii Miasta Łodzi z rąk ambasadora Izraela w Polsce Szewacha Weissa medale „Sprawiedliwy wśród narodów świata" otrzymali: Stanisław i Stefan Gawlikowscy, oraz Edmund Holka.
➔ Na terenie Manufaktury (d. fabryki Poznańskiego) odbył się koncert pt: „Dzieci z łódzkiego getta". Muzykę na tę uroczystość napisał specjalnie Andrzej Krauze. Widzowie obejrzeli także animowany film „Ostatnie pokolenie" wg scenariusza Jerzego Ficowskiego i w reżyserii Wojciecha Gierłowskiego. Na zakończenie koncertu Tovy - Ben-Zwi z Izraela, która jako dziecko przeżyła łódzkie getto odśpiewała psalm „Z głębokości wołam do Ciebie Panie".
Uroczystości organizowane będą do października 2004 r.

4 października
➔ W sobotę łodzianie sadzili drzewa w wybranych przez ogrodnika miasta miejscach. Pomysł upiększenia w ten sposób miasta wysunęła łódzka „Gazeta Wyborcza", a pomoc zaoferował Urząd Miasta. Łodzianie kupili drzewka i umieścili na nich identyfikatory z nazwiskami darczyńców.
➔ Rozpoczęła się akcja „Serce-obiad-ekologia" – zainicjowana przez Fundację Pomocy dzieciom „Jaś i Małgosia", Gimnazjum nr 37 i „Gazetę Wyborczą" w Łodzi. Pieniądze uzyskane ze sprzedanych tonerów do drukarek przeznaczone będą na obiady dla potrzebujących uczniów.
Patronat nad akcją objął prezydent miasta Jerzy Kropiwnicki.

6 października
➔ 115 lat temu w Łodzi w gmachu teatru „Viktoria" (obecne kino Polonia) wystawiono sztukę Kazimierza Zalewskiego: „Małżeństwo Apfel", otwierając tym samym pierwszą stałą scenę teatralną w Łodzi, czyli teatr im. S. Jaracza.

➔ Rzymsko-katolicka parafia pod wezwaniem św. Teresy i św. Jana Bosko prowadzona przez księży salezjanów obchodziła jubileusz 75-lecia. Z tej okazji Jan Paweł II nadesłał telegram z życzeniami i błogosławieństwem dla duchownych i parafian.

7 października

➔ Na gmachu Biologii UŁ odsłonięto tablicę ku czci zmarłego przed rokiem prof. Bernarda Zabłockiego - wybitnego uczonego, twórcy Instytutu Mikrobiologii UŁ.

➔ Christopher Hill -ambasador USA w Polsce i prof. Wiesław Puś - rektor UŁ podpisali porozumienie o powołaniu w Łodzi Amerykańskiego Centrum Kultury i Informacji.

➔ Program Dni Austrii w Łodzi obejmował szeroki wachlarz problemów gospodarczych związanych z przynależnością do Unii Europejskiej.(Swymi doświadczeniami dzielili się z łodzianami przedstawiciele Regionalnej Izby Gospodarczej ze Styrii). W drugim dniu imprezy rozstrzygnięto konkursy na temat wiedzy o Austrii w wybranych placówkach oświatowych.

➔ Do Łodzi przyjechała z krótką wizytą Ellen Steward założycielka awangardowego teatru LaMaMa w Nowym Jorku. Legendarna „Mama" pokazała w Teatrze Studyjnym spektakl „9 okien".

8 października

➔ „Andrzej Frycz Modrzewski – wielki Polak i Europejczyk" – to tytuł sesji popularnonaukowej zorganizowanej przez Urząd Marszałkowski w Łodzi, Bibliotekę im. Marszałka J. Piłsudskiego i Zarząd Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Referaty wygłosili: prof. prof. Maria Wichowa i Jerzy Starnawski. W części artystycznej uczestnicy obejrzeli spektakl „Rozważania o poprawie Rzeczypospolitej" w reżyserii Grzegorza Królikiewicza.

➔ Witold Kaliński - prof.ASP w Łodzi otrzymał nagrodę specjalną na Międzynarodowej Wystawie Grafiki i Rysunku w Tajlandii za grafikę pt. „Odejście" wykonaną w technice linorytu.

➔ Po trzech latach budowy oddano do użytku nowy obiekt w PWSFTv i T. Zorganizowano w nim uroczystą inaugurację nowego roku akademickiego.
Na czterech wydziałach rozpoczęło studia 70 studentów. Wśród 12 studentów reżyserii połowę stanowią cudzoziemcy.

10 października

→ W Archiwum Państwowym w Łodzi odbyły się dwudniowe „Dni Otwarte" pod hasłem „Źródła twojej przeszłości". Zainteresowani mogli dotrzeć do najcenniejszych zbiorów archiwum oraz do dokumentów rodzinnych: metryk, akt stanu cywilnego, świadectw zawarcia małżeństw.

12 października

→ Z inicjatywy prezydenta Jerzego Kropiwnickiego odbyło się w Warszawie spotkanie założycielskie Chrześcijańskiego Ruchu Samorządowego. W swej działalności Ruch będzie się opierał na nauczaniu społecznym Jana Pawła II, troszczył o społeczności lokalne i „małe ojczyzny". Przewodniczącym Rady Naczelnej Ruchu został prezydent Jerzy Kropiwnicki, a prezesem CHRS - Ryszard Tur, prezydent Białegostoku.

16 października

→ Z okazji 25-lecia pontyfikatu Jana Pawła II w Małej Sali Obrad Rady Miejskiej odbyło się uroczyste spotkanie. Na zaproszenie prezydenta Jerzego Kropiwnickiego przybyli: arcybiskup Archidiecezji Łódzkiej - Władysław Ziółek, biskup Adam Lepa, duchowni innych wyznań, reprezentanci administracji rządowej, prokuratury, policji, straży pożarnej i mediów. Spotkanie upłynęło w refleksyjnej, podniosłej atmosferze.

→ Miesięcznik „Piotrkowska 104" opublikował specjalne wydanie z okazji 25-lecia pontyfikatu Jana Pawła II. Bogato ilustrowany numer daje Czytelnikowi obraz kontaktów biskupa, a później kardynała Karola Wojtyły z naszym miastem i przypomina atmosferę historycznej wizyty Ojca Świętego w Łodzi w 1987 r. Pismo otwierają refleksje ks. abp. Władysława Ziółka związane z pobytem Wielkiego Polaka w Łodzi i wezwanie do otoczenia Papieża modlitwą w dowód wdzięczności za wszystkie dokonania Jana Pawła II dla łódzkiego Kościoła i Ojczyzny. Miesięcznik zamieszcza również relację z pielgrzymki samorządowców łódzkich do Watykanu 21 maja 2003 r. Łodzianie zawieźli Ojcu Świętemu insygnia Honorowego Obywatela m. Łodzi. Przewodniczący Rady Miejskiej Sylwester Pawłowski wręczył symboliczny klucz do miasta i podziękował Papieżowi za to, że zechciał przyjąć Honorowe Obywatelstwo Łodzi. Prezydent Jerzy Kropiwnicki przekazał Janowi Pawłowi II pierścień z herbem Łodzi „jako symbol zaślubin z naszym miastem".

16 października

➔ Uczniowie należący do Klubu Szkół Tolerancji przyznali dr Markowi Edelmanowi Order Tolerancji.

➔ Georg Weiss - ambasador Republiki Austrii w Polsce złożył wizytę prezydentowi Jerzemu Kropiwnickiemu. Podczas spotkania omawiano m.in. problem inwestycji austriackich w Łodzi .

22 października

➔ British Council i Ambasada Brytyjska w Łodzi zorganizowały 5-dniowy Festiwal Brytyjski UK21. Można było zapoznać się z brytyjską sztuką i nauką, obejrzeć wystawy i uczestniczyć w warsztatach z okazji 50 rocznicy odkrycia DNA.
Z okazji festiwalu premier Tony Blair wystosował okolicznościowy list do łodzian,

➔ Za dwa lata Biblioteka Uniwersytecka otrzyma dwukrotnie większy, niezmiernie potrzebny gmach, który będzie przylegał do obecnego budynku. Kamień węgielny pod budowę nowej Biblioteki wmurowała delegacja w składzie: premier Leszek Miller, prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki, przewodniczący Rady Miejskiej Sylwester Pawłowski, minister finansów Andrzej Reczko i wicewojewoda łódzki Artur Ostrowski.

23 października

➔ Lekarz miasta - dr Jacek Grabowski ogłosił nowy program profilaktyki kardiologicznej. Program obejmie ok. 5000 łodzian w okresie od października do końca grudnia.
Działania profilaktyczne są niezbędne, gdyż ryzyko zawału serca wśród mieszkańców Łodzi jest największe w Polsce.

➔ W Urzędzie Miasta odbyła się polsko-szwedzka konferencja na temat „Kształtowanie przestrzeni miejskiej elementem zrównoważonego rozwoju".
W obradach uczestniczyli przedstawiciele z Örebro w Szwecji – partnerskiego miasta Łodzi, reprezentanci urzędów wojewódzkiego i marszałkowskiego, oraz środowisk naukowych. Konferencji towarzyszyły warsztaty poświęcone m.in. gospodarce odpadami i planowaniu przestrzennemu.

24 października

➔ Organizacje pozarządowe dyskutowały o współpracy z władzami Łodzi w 2003 r. podczas konferencji pod hasłem:

„Sami o sobie". 31 organizacji przedstawiło programy pracy związane m.in. z ochroną zdrowia, osobom niepełnosprawnym, ekologią, kulturą i działalnością charytatywną.

27 października

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki odwiedził targowiska w Rzgowie i w Głuchowie, spotkał się z właścicielem Centrum „Ptak" - Antonim Ptakiem, aby omówić warunki handlu po wprowadzeniu wiz dla obywateli zza Buga.

29 października

→ Radni wybrali 779 ławników spośród rekordowej liczby 3500 kandydatów.
Ławnicy przystąpią do pracy w styczniu 2004 r. Wśród nowowybranych przeważają kobiety, osoby młode wiekiem i z wyższym wykształceniem.

Personalia

3 października

→ Prof. dr hab. Wiesław Katner - prawnik, specjalista prawa gospodarczego i finansowego otrzymał nominację na dyrektora akceleratora przedsiębiorczości, a dr Elżbieta Guzek na dyrektora Centrum Innowacji. Powstanie tych placówek przewiduje program offsetowy podpisany między Uniwersytetem Łódzkim, a uczelnią w Austin.

5 października

→ Witold Jabłoński dyrektor Śródmiejskiego Forum Kultury został zwolniony ze stanowiska. Do wiadomości publicznej podano, iż władze miasta planują zmianę koncepcji działania Forum, co wymaga zmian kadrowych.

19 października

→ Leszek Krawczyk został nowym prezesem Spółki Port Lotniczy Łódź Lublinek.
L. Krawczyk jest dr nauk technicznych, jako b. prezes zarządu Portu Lotniczego we Wrocławiu przeprowadził jego modernizację i dostosował do potrzeb ruchu międzynarodowego.

Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska

WiMBP im. J. P. w Łodzi
10671-A